

ODPOWIEDZI NA TRUDNE PYTANIA
DZISIEJSZEGO ŚWIATA
TOM XI

Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata Tom jedenasty

Konwersatoria
w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
poświęcone przesłaniu Ojca św. Jana Pawła II

Pod redakcją
Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło



Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin

Warszawa 2016

Wydawnictwo
Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
ul. Marii Grzegorzewskiej 10
02-778 Warszawa
tel. (48) 22 644-07-97
lpilch@swpr.pl
www.swpr.edu.pl

ZAPISU Z NAGRANIA DOKONAŁ:
Marcin Borzęcki

OKŁADKA:
Joanna Łokietek

SKŁAD, ŁAMANIE, REDAKCJA TECHNICZNA:
Joanna Łokietek

KOREKTA:
Urszula Kossowska-Cezak

FOTOGRAFIE W TEKŚCIE:
Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

DRUK FINANSOWANY:
Jacek Waksmundzki

DRUK:
ELPIL Siedlce

Wydanie I
ISBN: 978-83-61140-66-5

SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
<i>Jak być w mediach świadkiem wiary?</i> Ks. Adam Zelga, Przemysław Babiarez, ks. Henryk Drozd, Paweł Lisicki, Jan Turnau	9
<i>Wrażliwość na potrzeby bliźnich. Jak realizuję miłosierdzie w swoim życiu?</i> Grzegorz Polak, Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, Zbigniew Kaliszuk, o. Hubert Matusiewicz, Renata Trzeszczak, Elżbieta Byrtek	49
<i>Kim jest dla mnie uchodźca, bliźnim czy zagrożeniem?</i> Ks. Adam Zelga, o. Mariusz Batuzi, o. Zygmunt Kwiatkowski, Shadi i Lady Kassis, Zeinab Hashmat-Makowska	81
<i>Fair play w moim życiu. Czy uczciwość popłaca?</i> Ks. Adam Zelga, Dorota i Jacek Cichoccy, Jerzy Engel, Małgorzata Ludwikowska, Grzegorz Polak	117
<i>Jak rozumiem feminizm?</i> Ks. Adam Zelga, Aneta Gawkowska, Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, Zofia Ratajska, Biruta Przewłocka-Pachnik	151
<i>Polsko, co zrobiłaś ze swoim chrztem? Jak to widzę?</i> Grzegorz Polak, Iwona Waksmundzka, Krzysztof Zanussi, Marek Barański, Tadeusz Wyszomirski ..	183
<i>Czym jest dla mnie praca społeczna i jak ją realizuję?</i> Ks. Adam Zelga, ks. Kardynał Kazimierz Nycz, Jacek Waksmundzki, Maria Środoń, Marta Bejnar-Bejnarowicz, Adam Wiśniewski, Szymon Fulara, Ignacy Dembiński	209

<i>Podziały społeczne – czy mam na nie wpływ?</i> <i>Czy działam na rzecz pojednania?</i> Włodzimierz Wieczorek, Kazimierz Kloc, Michał Łuczewski, Andrzej Ciepiela	241
Spis treści dziesięciu tomów „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”	279
Wydawnictwo SWPR – przegląd wydanych pozycji.....	286

Przedmowa

Tom jedenasty, podobnie jak wszystkie tomy poprzednie, zawiera teksty ośmiu Konwersatoriów, które odbyły się regularnie, w odstępach comiesięcznych, w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie (ul. Grzegorzewskiej 10, na Ursynowie) w roku akademickim 2015/2016. Każdy tekst Konwersatorium poprzedzony jest cytatami, które zawierają wypowiedzi na dany temat.

Większość tegorocznych tematów Konwersatoriów dyktowało samo życie. Tematami były: problemy uchodźców, realizacja miłości wobec bliźnich, feminizm, podziały społeczne w Polsce, a także temat pracy społecznej i jej realizacji, połączony z prezentacją filmu „Koncert dla Izy” dedykowanego wieloletniej prezesse i założycielce Stowarzyszenia Przymierze Rodzin Izabeli Dzeduszyckiej. W panelu tego Konwersatorium zgodził się wziąć udział Ksiądz Kardynał Kazimierz Nycz, któremu za to serdecznie dziękuję.

Podobnie jak w tomach poprzednich, na końcu jedenastego tomu został umieszczony spis wszystkich tematów Konwersatoriów (z nazwiskami panelistów) wydanych w dziesięciu tomach „Odpowiedzi...” oraz spis książek, które ukazały się w Wydawnictwie Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie.

Podobnie jak w latach ubiegłych, większość Konwersatoriów (pięć z ośmiu) prowadził ks. Adam Zelga, któremu składam serdeczne podziękowanie. Dwa Konwersatoria poprowadził pan Grzegorz Polak, a jedno dr Włodzimierz Wieczorek. Obu Panom serdecznie dziękuję.

Wszystkim, którzy przyczynili się do powstania jedenastego tomu i wysokiej jego wartości zarówno merytorycznej, jak i edytor-skiej, jestem winna prawdziwą wdzięczność. W pierwszej kolejności dziękuję wszystkim autorom wypowiedzi, zarówno tym wypowiadającym się w czasie spotkań, jak i tym przysyłającym swoje wypowiedzi pocztą e-mailową. Dziękuję również serdecznie dr Urszuli

Kossowskiej-Cezak, która, podobnie jak w latach ubiegłych, dokonała korekty wszystkich tekstów Konwersatoriów, jak i złożonej już książki, oraz pani Joannie Łokietek, która łąmie i składa przygotowane do druku tomy i projektuje okładki kolejnych tomów. Dziękuję również bardzo panu Marcinowi Borzęckiemu, który spisuje z nagrań teksty Konwersatoriów oraz drukarni ELPIL w Siedlcach, z którą wieloletnia współpraca układa się nam bez najmniejszych zastrzeżeń.

Druk kolejnych tomów „Odpowiedzi...” nie byłby możliwy bez wsparcia finansowego pana Jacka Waksmundzkiego. Serdecznie mu za to dziękuję.

Wszystkie informacje dotyczące Konwersatoriów i wydawanych u nas książek można znaleźć na naszej stronie internetowej (www.swpr.edu.pl). Książki można nabywać za pośrednictwem internetu (lpilch@swpr.pl), zaliczenia pocztowego lub bezpośrednio w sekretariacie Uczelni (ul. Grzegorzewskiej 10, 02-778 Warszawa, tel. 22 644 07 97).

Nowy cykl spotkań planujemy rozpocząć tak jak zwykle w październiku (22 października o godz. 11.00 w dużej auli, ul. Grzegorzewskiej 10, wejście od strony ul. Rosoła).

Prof. dr hab. Elżbieta Mycielska-Dowgiatło

Warszawa, lipiec 2016 r.

*Jak być w mediach
świadkiem wiary?*

Cytaty

Ks. Paweł Rozpiątkowski **Odpowiedzialność za wiarę swoją i innych** (fragmenty)

...Wielu dziś chwieje się w wierze. Z różnych powodów. Ulegają atakom grup niechętnych Kościołowi, gorszą się grzechami chrześcijan, ale także – nie czują wsparcia w wierze, bo dziś wielu wyznawców Chrystusa o swojej wierze milczy.

...Tymczasem chrześcijanin powinien swoją wiarę wyrażać. W tym kontekście przypomina mi się niedawne kuriozalne badanie jednej z sondażowni, w którym zapytano grupę ludzi, czy katolicy mają prawo wyrażać swoje poglądy w życiu publicznym. Przytłaczająca większość odpowiedziała, że mają oni takie prawo, ale 12 proc., czyli całkiem sporo, odmówiłoby takiego prawa. Zatrważające jest to, że takie pytanie w ogóle padło, a także to, że całkiem spora grupa ludzi odmawia dużej grupie współobywateli jednego z fundamentalnych praw do wolności wyrażania poglądów. To wymowny znak naszych czasów, w których chrześcijan najchętniej by zakneblowano.

Benedykt XVI – Aby mówić o Bogu w naszych czasach Audycja generalna 28 listopada 2012 (fragmenty)

...Główne pytanie, jakie zadajemy sobie dzisiaj, jest następujące: jak mówić o Bogu w naszych czasach? Jak przekazywać Ewangelię, by otwierać jej zbawczej prawdzie drogę do niejednokrotnie zamkniętych serc naszych współczesnych i do ich umysłów, których uwagę niekiedy pochłaniają zbyt liczne blaski społeczeństwa?

...Przekazywanie wiary dla św. Pawła nie oznacza, że przynosi samego siebie, lecz że otwarcie i publicznie mówi o tym, co widział i słyszał podczas spotkania z Chrystusem, o tym, czego doświadczył w swoim życiu, teraz już przemienionym przez to spotkanie: jest głosem Jezusa, który – jak czuje – jest w nim obecny i nadał praw-

dziwe ukierunkowanie jego życiu, ażeby wszyscy zrozumieli, że On jest światu koniecznie potrzebny i ma decydujące znaczenie dla wolności każdego człowieka. Apostoł nie zadowala się głoszeniem słów, lecz angażuje całe swoje życie w wielkie dzieło wiary. Aby mówić o Bogu, trzeba Mu zrobić miejsce, z ufnością, że to On działa w naszej słabości: zrobić miejsce bez lęku, z prostotą i radością, w głębokim przekonaniu, że im bardziej stawiamy w centrum Jego, a nie nas, tam bardziej owocny będzie nasz przekaz. Odnosi się to także do naszych wspólnot chrześcijańskich: są one powołane do tego, by pokazywać przemieniające działanie łaski Bożej, przezwyciężając indywidualizm, zamknięcie, egoizm, obojętność i w codziennych relacjach żyjąc miłością Boga. Zadajmy sobie pytanie, czy takie właśnie są nasze wspólnoty. Musimy się zmobilizować, by rzeczywiście stawać się zawsze głosicielami Chrystusa, a nie nas samych.

Ks. Paweł Rozpiątkowski
Świat potrzebuje świadectwa waszej wiary!
(fragmenty)

...W czasie obchodów madryckiego Światowego Dnia Młodzieży świat żył gospodarczymi perturbacjami. Na pierwszych stronach gazet głównego nurtu pisano o giełdach, ratingach, walucie, stagnacji, jednym słowem – o kryzysie. A w Madrycie mówiono o Bogu, człowieku i moralności. Dwa różne światy? Właśnie w tym tkwi dramat i przyczyna obecnych kłopotów gospodarczych, których nie da się rozwiązać bez implementacji etyki do ekonomii. „Gospodarka działa nie na zasadzie samoregulacji rynkowej, lecz dla swego funkcjonowania potrzebuje zasad etycznych” – tłumaczył w drodze do Hiszpanii na pokładzie samolotu Alitalii Benedykt XVI, odpowiadając na pytanie dziennikarza. „W centrum działalności gospodarczej musi stanąć człowiek, a nie chciwość” – Benedykt XVI stawiał tę diagnozę, mówiąc o przyczynach pierwszej fali kryzysu w 2008 r. Niestety, nie posłuchano tego apelu, szukając recept, które Chrystus w Ewangelii nazywał wlewaniem nowego wina do starych bukłaków, co – jak wiadomo – kończy się tym, że i wino się zepsuje, i bukłaki.

Benedykt XVI
Serwisy społecznościowe: portale prawdy i wiary;
nowe przestrzenie ewangelizacji (fragmenty)
Orędzie na XLVII Światowy Dzień Środków
Społecznego Przekazu 2013 r.

...Chciałbym skupić się na rozwoju cyfrowych serwisów społecznościowych, dzięki którym powstaje nowa „agora” – otwarta przestrzeń publiczna, gdzie ludzie dzielą się swoimi pomysłami, informacjami, opiniami i gdzie mogą również tworzyć się nowe więzi i formy wspólnoty.

...Przestrzenie te, kiedy są wykorzystywane we właściwy i zrównoważony sposób, przyczyniają się do umacniania form dialogu i debaty, które z kolei – jeśli są prowadzone z szacunkiem, troską o prywatność, z odpowiedzialnością i w duchu prawdy – mogą umacniać więzy jedności między ludźmi i skutecznie promować harmonię w rodzinie ludzkiej.

...Autentyczność ludzi wierzących w serwisach społecznościowych staje się widoczna dzięki dzieleniu się głębokim źródłem ich nadziei i radości: wiarą w Boga bogatego w miłosierdzie i miłość objawioną w Chrystusie Jezusie. To dzielenie się polega nie tylko na wyraźnym wyrażaniu wiary, ale również na świadectwie, to znaczy na sposobie, w jaki przekazuje się „wybory, preferencje, opinie, które są głęboko spójne z Ewangelią, nawet wtedy, kiedy nie mówi się o niej w sposób wyraźny” (Orędzie na Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu 2011 r.). Szczególnie znaczącym sposobem składania świadectwa będzie chęć dawania siebie innym przez gotowość do cierpliwego i naznaczonego szacunkiem zainteresowania się ich pytaniami i wątpliwościami na drodze poszukiwania prawdy i sensu ludzkiego istnienia. Pojawienie się w serwisach społecznościowych dialogu na temat wiary i wierzenia potwierdza znaczenie i wagę religii w debacie publicznej i społecznej.

...Serwisy społecznościowe mogą być nie tylko narzędziem ewangelizacji, ale również czynnikiem rozwoju człowieka. Na przykład, w niektórych sytuacjach geograficznych i kulturowych, gdzie

chrześcijanie czują się odizolowani, mogą one umacniać ich poczucie rzeczywistej jedności z powszechną wspólnotą wierzących. Portale ułatwiają dzielenie się bogactwem duchowym i liturgicznym, sprawiając, że ludzie mogą modlić się z silnym poczuciem, że są blisko tych, którzy wyznają tę samą wiarę. Prawdziwe i interaktywne obcowanie z pytaniami i wątpliwościami tych, którzy są dalecy od wiary, powinno nam uzmysłwić potrzebę umacniania modlitwą i refleksją naszej wiary w obecność Boga oraz naszej konkretnej miłości bliźniego: „Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęiący” (1 Kor 13, 1).

KONWERSATORIUM LXXXI

(17 października 2015)

Jak być w mediach świadkiem wiary?

Prowadzący: ks. **Adam Zelga**, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; **Przemysław Babiaryz**, dziennikarz, sprawozdawca sportowy; ks. **Henryk Drozd**, były dyrektor „Radia Podlasie” i Diecezjalnego Muzeum w Siedlcach; **Paweł Lisicki**, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”, były redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”, pisarz; **Jan Turnau**, publicysta „Gazety Wyborczej”, wieloletni redaktor „Więzi”, działacz ekumeniczny.

Ks. Adam Zelga

Temat dzisiejszego konwersatorium brzmi: „Jak być w mediach świadkiem wiary?”. Może na początku warto uświadomić sobie, że życie ludzkie przebiega na dwóch płaszczyznach – doczesnej i nadprzyrodzonej. Doczesnej, z której zdajemy sobie doskonale sprawę i gdzie media pełnią ogromną rolę i dysponują wielką siłą. Zdajemy sobie z tego sprawę w przeróżnych okolicznościach życia, jesteśmy w mediach jakby zanurzeni. Jesteśmy niejako uzależnieni od mediów.

Kiedyś na obozie z 50 dziećmi w Ratułowie w Tatrach zauważyliśmy, że mówią one sloganami z reklam. Zastanawialiśmy się, jak to zmienić, zmienić język. Było ze mną dwoje dobrych kompozytorów młodzieżowych – codziennie, z Ewangelii dnia, układałem słowa, a oni melodię. Po dwóch tygodniach dzieci mówiły cytatami z Ewangelii. Mówiły między sobą Słowem Bożym. Siła słowa jest niezwykła. Państwo pewnie znacie to sformułowanie Norwida, że:

„do epoki chrześcijańskiej siła stawa się słowem,
od epoki chrześcijańskiej słowo stało się siłą”.



Ks. Adam Zelga

Drugą płaszczyzną, na której rozgrywa się nasze życie, jest nadprzyrodzona: niezwykle intymna, metafizyczna... Niewidzialna, więc niedotykalna zmysłami, pozazmysłowa, a jednak rzeczywista. I trzeba pamiętać, że jedną z tajemnic naszej egzystencji na tych dwóch płaszczyznach jest fakt, że jeżeli staramy się być świadkiem wiary, na przykład w mediach, miejscach pracy, życiu towarzyskim itp., to na płaszczyźnie metafizycznej znajdzie się taka dziedzina, gdzie będziemy szczególnie atakowani przez siły zła, gdzie będziemy szczególnie zachęcani, żeby zdradzić, nie być wiernym, nie być świadkiem. Na płaszczyźnie nadprzyrodzonej inteligencja zła, z którą mamy do czynienia, przerasta nawet siłę wszystkich mediów razem wziętych...

Jan Turnau

Nie jestem mówcą, jestem od pisania, nie od mówienia. W przeciwieństwie do pozostałych panelistów, którzy na różny sposób występują w mediach, ja tylko piszę. Jestem pracownikiem „Gazety



Jan Turnau w panelu, obok ks. Adam Zelga

Wyborczej”, pisuję również w dzienniku „Metro”, to też jest pismo wydawane przez wydawnictwo Agora, bezpłatne.

Jak ja tam świadczę o wierzę? W „Gazecie Wyborczej” co jakiś czas ukazuje się mój felietonik pod tytułem „Turnau na święto”, na Zaduszki, na Boże Narodzenie, na Wielkanoc. Staram się zauważać na tych łamach różne uroczystości kościelne, przedstawiać wiarę chrześcijańską, w szczególności rzymskokatolicką, w taki sposób, żeby była zrozumiała dla czytelników „Gazety Wyborczej”, „Metra”, ludzi nieraz dalekich od Kościoła. Z Adamem Michnikiem, naczelnym „Gazety”, ustaliliśmy, że czytelnikami „Gazety” są przeważnie ludzie, których można określić jako agnostyków wyznania rzymskokatolickiego, czyli agnostyków, którzy jeżeli przyznają się do jakiegoś Kościoła, to raczej do tego, bo taka jest ich rodzinna tradycja. W gazetach tych walczę o ekumenizm w informacjach, ale zainteresowanie innymi chrześcijanami jest tutaj z powodu statystyki takie jak w ogóle w Polsce.

Co zatem piszę? Zacznę od Trójcy Świętej. Katolicy i luteranie wspominają Ją liturgicznie w pierwszą niedzielę po Zielonych Świątkach, prawosławni już w ten dzień. Otóż ja mam taki pogląd dyskusyjny i uważany pewnie za naiwny nawet przez teologów, że

w pojęciu Trójcy nie ma logicznej sprzeczności, bo nie jest to tak, że Jeden równa się Trzy. Kto powiedział, że Bóg musi być w jednej osobie? Natomiast jest to sprzeczność etyczna: wyobraźmy sobie wspólnotę trzech osób, które nie będą się nigdy kłóciły. To jest nie do wyobrażenia.

Kolejny temat – sakramenty. Sakrament Eucharystii – staram się podkreślać, że jest to sakrament właśnie komunii, wspólnoty, przyjaźni i to tej największej, jaka jest możliwa, bo w Jezusie Chrystusie, który jest obecny rzeczywiście w chlebie i winie. Ta rzeczywistość nie oznacza jednak po prostu rzeczywistości materialnej, dialoguje się na ten temat z chrześcijanami innych wyznań. Prawosławni mówią to samo, luteranie mniej więcej to samo, natomiast inaczej ewangelicy reformowani, zwani kalwinistami, oraz pozostali ewangelicy – oni powiadają, że jest to obecność Chrystusa duchowa czy wręcz tylko symboliczna.

Sakrament pokuty. Papież Franciszek podkreśla, że konfesjonał to nie jest sala tortur, tylko najserdeczniejsze przyjęcie grzesznika w duchu miłosierdzia i ja staram się to podkreślać.

Zbliżają się Zaduszki. Jest inny świat, tylko – co też podkreślam – nie można sobie tego świata wyobrazić, bo się nie da. Legenda głosi, że pewien mnich w swoim śnie mistycznym rozmawiał z nieżyjącym już człowiekiem i zapytał, jak to jest na tamtym świecie. I tamten odpowiedział po łacinie: *totaliter aliter* – całkiem inaczej. Jeżeli będziemy rozumieli, że całkiem inaczej, to będzie nam łatwiej chyba przyjąć, że tamten świat w ogóle jest. Tamten świat, czyli – jak wierzą katolicy – czyściec, piekło albo niebo, ale Chrystus zstąpił na ziemię, stał się człowiekiem po to, żeby nas zbawić, a nie aby nas potępić. Nadzieję powszechnego zbawienia bardzo mocno akcentuje u nas ksiądz Wacław Hryniewicz, Jan Paweł II bliski był tej nadziei. Papież Franciszek nieustannie mówi o Bożym Miłosierdziu, że Bóg nigdy nie męczy się przebaczeniem, tylko my nie możemy się zdobyć na to, żeby się o nie modlić.

Mógłbym powiedzieć jeszcze na zakończenie to, że w moim piśmieniu o Soborze Watykańskim II, którego większość z obecnych tu słuchaczek i słuchaczy nie pamięta, a może nawet niewiele wie na

ten temat, akcentuję, że po tym soborze inaczej pojmujemy Kościół. Ten Sobór nie dokonał rewolucji w doktrynie, wierzymy w dalszym ciągu w Trójcę Świętą, w rzeczywistą obecność Jezusa w Eucharystii, ale inaczej widzimy Kościół – jako naprawdę otwarty. Wierzymy właśnie w Boga miłosiernego, nie ma tak, że ten, kto nie jest katolikiem lub nie jest nawet ochrzczony, pójdzie do piekła. A kiedyś tak wierzono. Zbawienie jest dla wszystkich – Ewangelia jest Dobrą Nowiną, nie złą.

Ks. Henryk Drozd

Mam przedstawić krótkie osobiste świadectwo w nurcie zagadnień, które rozważamy. Kilka dni temu moi koledzy, słynący z ostrego dowcipu, przestrzegali mnie, że podczas prezentowania świadectwa muszę wiedzieć, gdzie istnieje niewidzialna granica między świadczeniem o interwencji Boga w sprawy mojego życia a zwykłymi przechwałkami. Postaram się zachować szacunek dla tej granicy!



Ks. Henryk Drozd

Był maj 1991 roku. Przeżywałem radość bycia wiejskim proboszczem, którą przerwało wezwanie do Kurii. Stałem przed moimi biskupem Janem Mazurem i sufraganiem Alojzym Orszuli-

kiem (wtedy także sekretarzem Konferencji Episkopatu Polski). Obaj oświadczyli, że mam podjąć kroki zmierzające do zorganizowania rozgłośni katolickiej w naszej diecezji. Byłem zaskoczony tym poleceniem. Próbowałem zniechęcić moich biskupów do takiego rozwiązania personalnego, ale nie chcieli mnie słuchać, a nawet wysłuchać. Wróciłem do domu zbuntowany i pełen emocji, a gdy te w końcu opadły, pomyślałem, że skoro jestem wierzący, to wiara daje mi moc. Daje mi też przekonanie, że gdy polecenie wydają biskupi, to sam Pan Bóg w tym macza palce, niech więc i On martwi się tą sprawą. Zacząłem układać scenariusz wydarzeń, które prawdopodobnie będą mnie czekać. Wynikało z niego, że nie mam zielonego pojęcia, jak powinna wyglądać radiowa rozgłośnia katolicka, jej struktura, organizacja i program. W seminarium tego nie uczono, a moja profesja historyka sztuki też na wiele się nie przydała w tym zadaniu.

Zacząłem więc gwałtownie poszukiwać pewnych wzorców. Odwiedziłem Radio Lublin, w którym pracował mój kolega ze szkolnych lat. Potem obejrzałem przygotowujące się do pierwszej emisji Radio Kolor w Warszawie, pod wodzą Wojciecha Manna i Krzysztofa Materny, oraz Radio „S”, inspirowane jeszcze wtedy przez NSZZ Solidarność. Miałem jednak wciąż pewien niedosyt, że to jeszcze nie to, czego poszukuję. Dzięki życzliwości przyjaciół zobaczyłem również małe rozgłosnie radiowe we Włoszech i w USA. Obserwowałem, pytałem, robiłem długie notatki i we wrześniu 1991 roku wydawało mi się, że jestem gotowy do rozpoczęcia prac zmierzających do powstania stacji radiowej, obejmującej swoim zasięgiem diecezję siedlecką.

Skoro wiedziałem już, czego chcę, przygotowanie strony technicznej okazało się w miarę proste. W Warszawie, w Siedlcach i w stacji nadawczej Łosice-Chotycze było wielu specjalistów, ludzi życzliwych i znających to zagadnienie „od podszewki”. Ówczesny wiceminister łączności, p. Marek Rusin, pomógł nam w otrzymaniu koncesji radiowej. Wraz z inżynierem Kaszyńskim zakupiłem w Monachium pierwszy nadajnik radiowy. Firma „Zarat” z Lublina zamieściła anteny na maszcie, pozwalające odbierać sygnał rozgłośni w promieniu 100 km, na częstotliwości 101,7 mHz. W Va-

rese, w północnych Włoszech, kupiłem radiolinie transmitującą sygnał ze studia do nadajnika w Chotyczach, w Berlinie zaś nabyłem pozostały potrzebny do emisji sprzęt. Dzięki temu, po 10 miesiącach przygotowań, mogliśmy 9 lipca 1992 roku nadać pierwszy sygnał, który brzmiał: „tu Katolickie Radio Podlasie”.

Gdy trwały przygotowania techniczne, zacząłem organizować zespół redakcyjny. To już niestety nie było takie proste. Wprawdzie zgłosiło się wielu młodych ludzi, mających doświadczenie w dziennikarstwie prasowym, przekonanych, że będą mieli wiele do powiedzenia także w radio, ale okazało się, że prezentacja radiowa wymaga czegoś więcej. Nie mając innych możliwości, podjąłem starania, aby samemu nauczyć się i innym pomóc w zdobyciu profesjonalnych umiejętności.

Na spotkania szkoleniowe wiele razy przyjeżdżał do Siedlec p. Tadeusz Sznuć – znany prezenter radiowy i telewizyjny, p. Anna Wasak – siedlczanka, prezenterka w piątym Programie Polskiego Radia dla Zagranicy, a także Olgierd Religioni – producent audycji o muzyce poważnej w pierwszym Programie Polskiego Radia i wielu innych. To oni przygotowali zespół redakcyjny i przyczynili się do powstania jedenastu redakcji terenowych w większych miastach regionu, dzięki którym dość szybko wzrastała słuchalność naszego radia.

W trakcie tych przygotowań uświadomiłem sobie, że katolicka rozgłośnia radiowa ma sens istnienia o tyle, o ile będzie przedłużeniem nauczania Kościoła Powszechnego, gdyż z punktu widzenia prawa kanonicznego i statutu radia, który napisałem, taki był jej cel i powód istnienia. Chciałem więc, aby przyszli radiowcy głębiej poznali kulturę chrześcijańską, podstawowe zasady teologii, strukturę hierarchicznego Kościoła i jego historię. Wszystko po to, by popełniali jak najmniej błędów podczas tworzenia audycji. Niezwykle cenne były w tym zakresie rady głównego inspiratora powstania Radia Podlasie, biskupa Alojzego Orszulika i przewodniczącego Komisji ds. Mediów Katolickich przy Konferencji Episkopatu Polski biskupa Jana Chrapka (wtedy sufragana drohiczyńskiego, rezydującego w Sokołowie Podlaskim). Poświęcili oni moim radiowcom wiele swego czasu.

Już w pierwszych latach istnienia rozgłośni słuchacze wyraźnie dawali nam do zrozumienia, że postrzegają radio jako głos Kościoła. Marzyłem o tym, by ten głos był prawdziwy, a pracownicy radia byli świadkami wiary. Przypominałem im, że jeśli chcą być jej autentycznymi świadkami, nie mogą być w życiu osobistym teoretykami wiary, ale jej praktykami – wzorcem, na którym mogą polegać inni. Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że wielu z nich tak właśnie potraktowało swoją pracę w rozgłośni, która trzy miesiące temu rozpoczęła 24. rok istnienia.

Dziś, spośród 50 pełnoetatowych pracowników radia, aż 8 osób pracuje tam od samego początku jego istnienia. Są pasjonatami radia, można na nich zawsze liczyć, bez względu na to, jak trudne sprawy ma rozgłośnia do rozwiązania. Dzięki nim powstała również rozsądna struktura ekonomiczna radia, które dziś nie jest ciężarem ani dla diecezji, ani dla rzesz drobnych ofiarodawców, gdyż większość rocznego budżetu radia, wynoszącego około 3500000 złotych, pochodzi z reklam. Umiejętne pogodzenie zestawu informacji światowych, krajowych, lokalnych i religijnych (łącznie z modlitwą) przyciąga wielu słuchaczy naszego regionu. Wyniki badań rankingowych słuchalności, prowadzone przez „Radio Track” i „GFK Polonia”, zachęcają reklamodawców do korzystania z usług tego radia. Ważną rolę spełnia także działający w ramach radia portal www.podlasie24.pl, mający ponad 5 milionów odsłon miesięcznie.

Postawione na dzisiejszym Konwersatorium pytanie: „Jak być w mediach świadkiem wiary”? zadawałem sobie w czasie sześciu lat mojej posługi w radiu. Nie miałem tyle odwagi, aby osobiście przedstawić analizę swoich przemyśleń. Wpadłem więc na pomysł, by zrobiły to wyższe uczelnie. Po odejściu z rozgłośni jesienią 1997 roku, mając na świeżo w głowie retrospekcję przeżytych wydarzeń, prowadziłem rozmowy z wykładowcami i studentami różnych uczelni. Dzięki nim powstało pięć prac magisterskich i dwie doktorskie o Katolickim Radiu Podlasie, wśród których, na pytanie – które dziś zadajemy – najlepiej odpowiada praca doktorska Leszka Andrzeja Stojanowskiego-Hana, pt. „Nauczanie Kościoła posoborowego w mediach na przykładzie Katolickiego Radia Podlasie”.

Powstała ona na KUL-owskim Seminarium Edukacji Medialnej pod kierunkiem ks. prof. dr. hab. Tadeusza Zasępy – tu warto dodać, że organizatora i pierwszego dyrektora Katolickiego Radia Lublin. W powstawaniu tych prac osobiście brałem czynny udział. Mają one różną wartość, pokazują jednak różnorodność „radiowych” problemów, a dla młodych pracowników Katolickiego Radia Podlasie są dziś kopalnią koniecznej wiedzy.

We mnie pozostało głębokie przekonanie, że jeśli chcę być w radio świadkiem wiary, muszę sam głęboko wierzyć w to, co głoszę, być narzędziem w ręku Boga i zrobić to, co jest możliwe do zrobienia. To, co niemożliwe, trzeba pozostawić Bogu, gdyż tam, gdzie my już nic nie możemy zrobić, On potrafi jeszcze wiele. O tym jestem głęboko przekonany, dziś daję swoje świadectwo, ponieważ widziałem to w ciągu kilku lat mojej radiowej „kariery”.

Przemysław Babiarz

Pałeczka sztafetowa powędrowała do moich rąk. Chciałbym zacząć z trochę innej strony. 16 października mieliśmy 37. rocznicę wyboru Karola Wojtyły na głowę Kościoła. Miałem 15 lat, kiedy był ten niezwykle październikowy wieczór. Zadzwoiła ciocia przez telefon. Byliśmy w takiej dobrej sytuacji, że mieliśmy telefon, bo nie wszyscy wtedy mieli telefony. Biły dzwony i atmosfera była bardzo podniosła. Przypuszczam, że nie byliśmy wtedy w stanie sobie wyobrazić, co to zmieni na świecie i co to zmieni w świecie mediów. Żyliśmy wtedy w rzeczywistości PRL-owskiej.

Polska Rzeczpospolita Ludowa w sposób ostentacyjny w pierwszym okresie swojej historii, a potem w sposób nieco bardziej zawołowany walczyła z Kościołem rzymskokatolickim. Mam nadzieję, że wszyscy znają z historii najnowszej (choć lekcji historii jest teraz coraz mniej w szkole średniej) sprawę uwięzienia Prymasa Tysiąclecia w 1953 roku, a potem w czasie wędrówki kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej po polskich diecezjach „uwięzienie” jej w jubileuszowym roku 1966 na całe 6 lat. W przyszłym roku mamy 1050-lecie Chrztu Polski. Wszystko to powodowało, że katolicy czuli się w PRL ludźmi drugiej kategorii. Jeżeli



Przemysław Babiarczyk

chcieli robić karierę, to musieli w jakiś sposób ukryć swoją wiarę, najlepiej było zapisać się do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej lub którejś z przybudówek tej partii. Wielu z tych ludzi, należących do partii, starało się wieść życie uczciwe, nawet wypełniać praktyki religijne dosyć regularnie, jednak konieczność ukrywania się z wiarą powodowała poczucie, że jest się obywatelem drugiej kategorii, człowiekiem osaczonym. I oto w takich realiach następuje wybór Polaka na Papieża. Media PRL-owskie, w tym w szczególności telewizja, służyły głównie szerzeniu doktryny komunistycznej. Oczywiście były różne wartościowe programy, które wspomi-

namy do dzisiaj, filmy, programy rozrywkowe, ale tembr tych mediów to była propaganda marksistowska, ateistyczna. Nawet jeśli tego nie zauważało się na pierwszym planie, to gdzieś tam podskórnie to wychodziło. I nagle w tych mediach trzeba było opowiedzieć i o samym wyborze Papieża, i o tym, kto został wybrany, bo rzecz bez precedensu, od pół tysiąca lat tylko Włosi zostawali papieżami, a tu nagle został wybrany Polak. To wszystko zmusiło do niezwyklej gimnastyki umysłowej ówczesnych dziennikarzy telewizji polskiej, a rok później jeszcze trudniejsze zadanie, Karol Wojtyła przyjeżdża do Polski i trzeba transmitować Msze święte. Raz udało się powstrzymać przyjazd Papieża do Polski, właśnie na jubileusz 1966 roku. Papież Paweł VI chciał przyjechać, ale nie został wpuszczony, swojego rodaka jednak już nie dało się nie wpuścić, żeby nie było oczywistym dla całego świata, że władze PRL szykanują katolików w swoim kraju. Oni zawsze dbali o dobrą reputację. No więc trzeba

było przedstawiać, trzeba było transmitować Msze święte, trzeba było wejść w język wiary, trzeba było wreszcie pokazać, choć oczywiście unikać pokazywania tłumów. Wojciech Młynarski podsumował to w piosence, przedstawiając sytuację, w której jakiś szef spotyka się z operatorami kamer przed kolejną transmisją papieską i powiada do nich: „Posłuchajcie mnie, chłopaki, problem jest ogólnie taki. Przyjdzie dużo, a pokazać trzeba mało”, a w następnej zwrotce dotyczącej już stanu wojennego i zawieszonej „Solidarności” i utworzonych przez władze nowych związków zawodowych: „Posłuchajcie mnie, chłopaki, problem jest ogólnie taki, przyjdzie mało, a pokazać trzeba dużo”.

Na Mszach papieskich był pokazywany zwykle sam Ojciec Święty i tylko najbliższe otoczenie, tak żeby ludzie nie zorientowali się, że tam są miliony osób. Można było pokazywać tylko starszych ludzi, osoby zakonne, tych, których władze uważały, że są wierzący, bo nie mają nic lepszego do roboty. Ta operacja się całkowicie komunistom nie udała, zbyt wielu ludzi przyszło na miejsca, gdzie były sprawowane Msze papieskie. Zbyt wielu ludzi dało prywatne świadectwa. Między innymi po to jesteśmy Kościołem, żebyśmy nawzajem dawali o sobie świadectwo.

Co nam uświadamiają te wydarzenia sprzed trzydziestu paru lat, pierwsza pielgrzymka Ojca Świętego, a także wszystkie kolejne? Uświadamiają nam, że obowiązkiem naszym jest świadczyć o naszej wierze, także w mediach. W tej chwili minęło już sporo lat od końca PRL-u, ale dalej mamy duży nacisk na absolutną świeckość, rozumianą w duchu rewolucji francuskiej. Świeckość, przy której ludzie mogą wyznawać wiarę, gdzieś głęboko w sercu, może w Kościele, ale na pewno nie publicznie. Na pewno nie w mediach. Są postulaty, żeby dziennikarze nie zdradzali tego, że są ludźmi wierzącymi. Niedawno mój kolega Krzysztof Ziemięcki został zaatakowany przez dużą część mediów za to, że ośmielił się zaprosić i przeprowadzić rozmowę po głównym wydaniu „Wiadomości” w TVP z Ojcem Johnem Bashoborą. Ojciec John opowiadał o cudach uzdrowienia i o tym wszystkim, co stanowi o mocy wiary. W mediach liberalnych wolno mówić o przedsięwzięciach charytatywnych, ale tylko tyle.

Druga rzecz, o której się chętnie pisze i mówi w mediach, to afery lub niedociągnięcia w Kościele. To są główne tematy, na których skupiają się media. Natomiast „nie wypada” mówić w mediach o mocy wiary i o objawieniach Bożej mocy, tak że wywiad zorganizowany przez Krzysztofa Ziemca z Ojcem Johnem Bashoborą z Ugandy, który dawał świadectwo ze swojego życia, uznano za skandal, a Krzyśka posądzono, że nie jest dziennikarzem, ale „wynawcą”. Wtedy pomyślałem sobie, że żyjemy w stanie jeśli nie wojny, to mocnego zmagania różnych światopoglądów i nie mamy co udawać, że tak nie jest. Jest to zmaganie o tyle chytre ze strony przeciwnej, że nie stosuje się ona do reguł, które próbuje sama narzucić. Na dowód tego, co mówię, proponuję państwu takie ćwiczenie intelektualne. Pierwsze zdanie będzie następujące: „dziennikarz nie powinien przyznawać się do tego, że jest wierzący” (to postulat liberalnych mediów) i zdanie przeciwne: „dziennikarz nie powinien przyznawać się do tego, że jest niewierzący”. Czy takie zdanie byłoby równie chętnie zaakceptowane przez media? Obawiam się, że stwierdzonoby wtedy, że każdy ma prawo powiedzieć, że jest niewierzący.

W różnych sprawach, które odbiegają nie tylko od nauczania Kościoła, ale też od prawa naturalnego, ludzie w imię wolności jednostki mają prawo do ich manifestowania, choćby nawet były one sprzeczne z dobrem publicznym rozumianym jako pewien rodzaj ładu publicznego. Dlaczego w takim razie ograniczane jest proste prawo do powiedzenia, że jestem człowiekiem wierzącym? Oczywiście chodzi tu o zasadę. Nie chodzi tu o mnie. Nie jestem specjalistą od spraw religijnych, nie przemawiam na co dzień w programie „Między Niebem a Ziemią”. Jestem po prostu człowiekiem wierzącym, takim, który jest zainteresowany i żyje swoją wiarą, który stara się o niej czytać, który dobrze się czuje, kiedy inni o niej świadczą. Na przykład, czytam teksty tu obecnego Pawła Lisickiego w tygodniku „Do Rzeczy”, który zawsze z niezwykłą przenikliwością i erudycją, pisząc wstępy, zwłaszcza do wydań świątecznych, pisze o kwestii zmartwychwstania, o materialnych śladach zmartwychwstania, o przeróżnych interesujących mnie zagadnieniach. Ojciec Ma-

ciej Zięba w artykule pt. „Najdziwniejsi ludzie świata” zamieszczonym w „Plusie i Minusie”, dodatku do „Rzeczpospolitej”, pisze o niereprezentatywności współczesnej elity. Interpretuje w nim tekst amerykańskich naukowców, którzy zauważyli, że w psychologii amerykańskiej większość badań prowadzi się na ludziach, którzy w stosunku do całej populacji świata stanowią małą garstkę. Ojciec Maciej Zięba idzie nieco dalej w tej tezie i pokazuje, że ludzie określani mianem *singli*, ludzie pojedynczy, nie obarczeni rodziną, ateści albo agnostycy, że ci ludzie dominują w przekazie medialnym. To oni są wskazywani jako ludzie sukcesu, ludzie modni, ludzie, którzy uprawiają jakiś rodzaj *life'stylu*, których należy naśladować, a ci wierzący, obarczeni rodziną, to są ludzie niedzisiejsi.

Z takim schematem można i trzeba walczyć. Aby stanąć do walki, z całym taktem dla poglądów przeciwnika, trzeba mieć minimum odwagi. Nie da się bez tego. Bywamy w różnym otoczeniu. Zdarzało mi się nieraz występować w programie telewizyjnym przeciwko wyczuwalnemu pogładowi większości prowadzących, jak i wszystkich innych zaproszonych gości. Ale jest coś, co daje człowiekowi tę śmiałość. Jest nią właśnie nasza wiara. Przeczytałem kiedyś o pewnym epizodzie z życia Karola Wojtyły, jeszcze wtedy biskupa krakowskiego. Miał do odbycia bardzo trudną rozmowę z jakimś wysokim urzędnikiem partyjnym, powiatowym czy wojewódzkim. Władze partyjne chciały zabrać budynek seminarium krakowskiego, który Kościół pracowicie po wojnie odnowił i przystosował do użytku. Władze podały, że chcą zabrać to seminarium na Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Było to perfidne działanie komunistów, którzy uważali, że Kościołowi nie będzie wypadało odmówić, gdy celem będzie obiekt dobra publicznego. Karol Wojtyła, idąc na to spotkanie, miał pomodlić się do Anioła Stróża swojego, a także do Anioła Stróża tego urzędnika, z którym miał rozmawiać. Zaproponował następujące rozwiązanie: „dobrze, Kościół jest gotów odstąpić dwa piętra wyremontowanego budynku, ale pozostałe dwie kondygnacje zachowuje dla siebie”. Wytrąciło to broń z ręki urzędnikowi, który spodziewał się, że przyjdzie do niego biskup i zacznie się napraszać, tłumaczyć, a on tymczasem wybrał pe-

wien rodzaj bardzo rozsądnej taktyki i osiągnął cel, ponieważ nie wypadło odmówić tego rodzaju kompromisowemu rozwiązaniu. Myślę, że to jest świetny przykład na to, jak należy działać. Należy działać śmiało, stanowczo, z pomocą Ducha Świętego, skromnie i taktownie, i do przodu.

Paweł Lisicki

Wygląda na to, że na ostatniej prostej to ja będę biegł. I muszę jakoś zwycięsko wbiec na metę. Proszę państwa, gdy zastanawiałem się nad tym tematem, który nam został tutaj zadany, czyli mówieniu o sobie jako o świadku wiary, to powiem szczerze, że ja za specjalnego świadka siebie nie uważam. Świadek kojarzy mi się z kimś, kto doświadczył czegoś nadzwyczajnego, ma nadzwyczajną komunikację z najwyższymi siłami, z Panem Bogiem, coś nadzwyczajnego przeżywał. Ja w tym sensie niczego nadzwyczajnego nie przeżyłem. Jeśli patrzę na swoje świadectwo w kategorii religijnej, to ono od samego początku wydaje mi się wyjątkowo racjonalne. Kiedy analizuję moje teksty z 1995 roku, które znalazły się w książce „Nieludzki Bóg” i potem w różnych następnych tomach esejów, to myślę, że ci, którzy je czytali, zauważyli, że są to książki, które wymagają zrozumienia. Jeśli ktoś już zrozumie i do czegoś jest przekonany, to już przy tym trwa. Napisałem kiedyś taki tekst „Świadek i zakładnik”, gdzie starałem się wyjaśnić, co to znaczy być świadkiem we współczesnym świecie. Być świadkiem to znaczy kierować się głosem sumienia i odróżniać ten głos od tego, co nam usiłują wcisnąć media, współczesna kultura i cywilizacja. Jeśli się do tego dotrze, jeśli się w to autentycznie wierzy, to można tego bronić, ale bronić w taki sposób, żeby umieć też drugiego człowieka przekonać za pomocą argumentów i rozumu.

Drugi element mojej obawy przed byciem świadkiem wiary w mediach jest to, że moja obecność w mediach, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, była dosyć przypadkowa. Pierwszą gazetą, dla której pracowałem, było „Życie Warszawy”, już nieistniejące. Tam trafiłem do działu zagranicznego i zajmowałem się wtedy sytuacją polityczną w Afryce i pisałem teksty o dyktatorze Mobutu Sese Seko. Jak widać, moje pierwsze teksty dziennikarskie niewiele miały współ-

nego z religią i z wiarą, tylko były opisem sytuacji politycznej. Potem przeszedłem do „Rzeczpospolitej” i to był pierwszy moment, kiedy zacząłem pisać w gazetach o sprawach związanych z religią. Wyjechałem do Wiednia jako korespondent „Rzeczpospolitej” i tam zetknąłem się z sytuacją, która wtedy, był to 1995 rok, wydawała mi się mocno ambarasująca. Spotkałem Kościół, który był całkowicie inny od polskiego Kościoła. Trafiłem na ludzi, którzy podważali naukę katolicką, przeciwstawiali się powszechnie znanym doktrynom katolickim, w odróżnieniu od tego, co mówił



Paweł Lisicki

Kościół w Polsce, co więcej – zgadzali się z tym biskupi albo ich ówcześni zwierzchnicy. I powiem szczerze, że to było jedno z ważniejszych doświadczeń, jakich doznałem, jeśli chodzi o obecność Kościoła w religii. Trafiłem do kraju, który wydawał mi się, że powinien być bliski Polsce. Ta sama tradycja katolicka, piękne kościoły, katedra i tak dalej, tylko jakby Bóg stamtąd kompletnie wyparował. Prawdę powiedziawszy, to zetknięcie z austriacką formą katolicyzmu sprawiło, że z nieporównywalnie większym sceptycyzmem i krytycyzmem zacząłem podchodzić do tego, jak rozwija się współczesny Kościół.

Wracam do tematu mojego świadectwa wiary. Otóż mam wrażenie, że dzisiejszy świadek wiary jest skazany na przeciwstawienie się, czy na walkę, na kilku frontach. Ten front jest zewnętrznym światem tak zwanych liberalnych mediów, które uważają, że dla Kościoła w przestrzeni publicznej miejsca być nie powinno, a jeśli jest, to tylko na zasadzie tak zwanego dziwactwa. Jedni wierzą w to, że są jakieś wróżki, inni wierzą w Pana Jezusa, jeszcze inni boją się

czarnego kota. Krótko mówiąc, jest tak zwana sfera dziwactwa i absurdu, i religia doskonale mieści się w tej sferze. Jest to pewna forma obecności, która oznacza, że religia jest sprawą prywatną, to znaczy możemy, gdzieś tam zamknęci w czterech ścianach, jeszcze hołdować i ulegać tym zabobonom, natomiast nie wolno nam z tych czterech ścian wyjść na zewnątrz. Na pewno nie wolno nam uważać, że to nie są prywatne zabobony, że to nie są rzeczy, które są jakimś wybrykiem natury, tylko że jest to coś, co wszystkich obowiązuje, coś, co powinno mieć swoje miejsce w sferze publicznej, co więcej, coś co powinno mieć wpływ na prawo i moralność publiczną. Ten format obecności religii wydaje się być przez dużą część świata odrzucany. Jest to coś, z czym spotykamy się w mediach liberalnych, ale też w dużej części świata politycznego. Znamy głosy różnych polskich polityków, którzy domagają się usunięcia krzyży czy to zmiany nazwy ulic, choć powiem, że Polska na tle innych krajów, szczególnie Europy Zachodniej, i tak jest krajem szczególnym. Po pierwsze – kwestie religijne odgrywają tutaj poważną rolę, po drugie – ogół społeczeństwa szanuje swoją tradycję, a po trzecie – uznaje, że prawo stanowione powinno być odniesione do prawa boskiego, czyli reprezentowanego przez Kościół. To są te aspekty, o których bym powiedział, że bycie świadkiem wiary w mediach oznacza właśnie ich obronę albo próbę przekonania do nich. Wbrew temu co można usłyszeć w mediach, to nie strona katolicka jest ekspansywna. Jeśli popatrzymy na to w kategoriach debaty publicznej, to mam wrażenie, że sytuacja jest odmienna. Tradycyjnemu społeczeństwu usiłuje się narzucić pewne rewolucyjne zmiany, a opór przeciwko temu jest przedstawiany jako atak na rzekomo świeckie czy tolerancyjne państwo.

Możemy krok po kroku prześledzić różne punkty tej debaty i moim zdaniem tę tezę będzie można spokojnie uzasadnić. Najprostszym, najbardziej oczywistym przykładem jest zmiana stosunku różnych grup politycznych i medialnych do par homoseksualnych. Kto 30 czy jeszcze 20 lat temu w ogóle o tym dyskutował? I czy, na przykład, Kościół pierwszy postawił postulat, żeby im coś przyznawać albo czegoś zabraniać? Oczywiście nie.

Pewna tendencja kulturowa, która pojawiła się w zachodniej Europie i przyszła do nas, znalazła swoich popleczników w grupach, czy to partyjnych, politycznych, dziennikarskich czy medialnych i próbuje wpłynąć na zmianę naszego prawodawstwa, naszej obyczajowości i naszych postaw, co powoduje w naturalny sposób opór u tych, którzy te wartości uznają.

Warto zwrócić uwagę na słowa, które są używane w debacie publicznej. Państwo może nawet nie zdają sobie sprawy z tego, jak ważne jest, jakich słów się używa. Czy używa się słowa obrona, czy mówi się o ataku, agresji czy o tolerancji. Bardzo często niestety we współczesnej debacie ten, kto kontroluje słowa, kontroluje też przebieg debaty, z czego często ludzie nie zdają sobie sprawy i na tym to ma polegać. Przeciwnie – ci, którzy zdają sobie sprawę, wiedząc o znaczeniu poszczególnych słów, mogą narzucić w związku z tym odbiór całej debaty. Inaczej wygląda debata, podczas której się mówi, że jakiejś grupie coś się narzuca, to wtedy człowiek jest automatycznie po stronie tych, którym się narzuca, bo to są ludzie słabsi. Zupełnie inaczej wygląda debata w sytuacji, w której ci, którzy tak naprawdę przynoszą ze sobą te rewolucyjne treści, próbują zmienić powszechny porządek i zmusić innych do przyjęcia tego. Jak wygląda w tym przypadku rola świadka, czyli kogoś, kto stara się być wierny temu, co zostało odziedziczone, i temu, co zostało uznane za prawdziwe. Świadek po pierwsze – uznaje tę tradycję, która została odziedziczona, a po drugie – broni jej, bo uważa ją za prawdziwą, bo uważa ją za ważną i to jest pewien element racjonalny, pewien element argumentatywny w tej całej sprawie.

I tutaj przechodzę do drugiej części. Niestety jest też tak, że współczesny świadek wiary nie tylko walczy na tym froncie zewnętrznym, liberalnego świata, który próbuje zmienić odziedziczoną tradycję. On niestety musi również walczyć na froncie wewnętrznym. Jeśli popatrzymy, jak wygląda współczesny katolicyzm, jak wyglądają debaty w nim obecne, to nie da się ukryć, że mamy do czynienia z bardzo dużymi różnicami odnoszącymi się do tego, czym jest wiara, jak ona wygląda, jak należy ją głosić i jakie jest jej miejsce. To już nie my, katolicy, kontra świat zewnętrzny.

Myślę, że jest to debata nieporównywalnie większa niż kiedykolwiek w przeszłości, która przeniosła się do samego Kościoła. Jeśli mówimy o tym, co dzieje się współcześnie, wystarczy popatrzeć, jak wygląda współczesny Synod biskupów, gdzie mamy, niezależnie od tego, z kim sympatyzujemy, do czynienia z czymś niewyobrażalnym, kiedy część biskupów uważa, że czymś niekatolickim jest to, co uważają inni biskupi. Po jednej i po drugiej stronie mamy kardynałów i biskupów. Teoretycznie każdy z nich w sensie formalnym ma takie samo prawo do reprezentowania opinii o tym, jaki jest Kościół. Otóż mamy daleko idący spór na temat istotnych, podstawowych kwestii, które dotyczą każdego wierzącego czy zwykłej moralności. Na przykład, w życiu rodzinnym jest to pytanie, czy wyrażamy zgodę na związki homoseksualne. Sięga to samej istoty tego, czym jest płeć, czym są różnice między płciami, samego początku Stworzenia Boskiego, które mamy opisane w Księdze Rodzaju. I w tych, dla zwykłych ludzi najważniejszych sprawach mamy do czynienia z radykalną różnicą poglądów na najwyższych szczeblach hierarchii katolickiej. Dlatego pozycja świadka wiary staje się wyjątkowo niewygodna. Ma być świadkiem wiary, ale przez kogo wypowiedanym? Dawniej sprawa była prosta. Katolik był świadkiem wiary Kościoła przeciwko światu. Teraz okazuje się, że musi się jeszcze zdefiniować również w obrębie Kościoła, po której jest stronie. Czy jest po stronie, na przykład, arcybiskupa Gądeckiego, który ogłosił, że to, co głosi kardynał Kasper, jest wypaczeniem? Kardynałowie z jednej grupy twierdzą, że ta druga grupa, która broni przeciwnej tezy, faktycznie odbiega od nauczania Kościoła albo z nim zerwała. I tu jest paradoks świadka w dzisiejszym Kościele, że on musi występować nie tylko w starciu ze światem zewnętrznym, ale też w starciu ze światem wewnętrznym. I stąd na przykład to, co na przykład wyraża „Gazeta Wyborcza” i jej sposób podejścia do rzeczywistości w radykalny sposób różni się od tego, co ja mogę zaprezentować w tygodniku „Do Rzeczy”, czy czytelnicy przeczytają w innych tygodnikach, takich jak „W Sieci” czy „Gościu Niedzielnym”. Front sporu, czym jest wiara, jak powinna ona funkcjonować, przebiega między nie tylko światem katolickim a

światem na zewnątrz, ale wewnątrz świata katolickiego. Dlatego ten spór jest wyjątkowo głęboki i zmienia, moim zdaniem, pozycję współczesnych świadków wiary w porównaniu z ich poprzednikami z wieku XIX czy okresu przedsoborowego.



Słuchacze

Następną sprawą, dla mnie zapewne najtrudniejszą, jest to, że w przeciwieństwie do obecnych tutaj pozostałych panelistów, i nie tylko, jestem wyjątkowo sceptycznie nastawiony do tych zmian, które dokonały się w Kościele w czasie Soboru, a szczególnie do dialogu międzyreligijnego czy ekumenizmu. Otóż mój sceptycyzm, jakkolwiek by to brzmiało, wynika właśnie z tego, co mówiłem na początku, czyli co oznacza być świadkiem wiary. Jeśli świadectwo wiary polega na tym, że człowiek postępuje zgodnie z własnym sumieniem, z tym, co odbiera jako prawdziwe, to moim zdaniem nie da się pewnych nowych podejść, które Kościół reprezentuje, obronić rozumowo i nie da się tego udowodnić oraz uzasadnić ciągłości między tymi zachowaniami a między tym, co było wcześniej. A brak ciągłości, brak zdolności racjonalnego uzasadnienia sprawia, że traci się wiarygodność. Jednym z takich najważniejszych myślicieli katolickich XIX wieku, a pewnie i późniejszych też, był kardynał John Henry Newman. Napisał on bardzo ważną książkę, która do-

prowadziła go do chrześcijaństwa „Rozwój doktryny chrześcijańskiej”. On tam przedstawił siedem zasad, które sprawiają, że mamy do czynienia z tożsamością wiary. Jedną z tych najistotniejszych jest ciągłość, to znaczy przeświadczenie, że to, co mówi się dzisiaj, wynika z tego, co mówiło się wcześniej. Stwierdził on, że jeśli występuje brak tej ciągłości, to nie można mówić o tożsamości. Otóż jeśli rozpatrywałbym to zagadnienie jako świadek wiary, starałbym się odkryć podstawowy problem współczesnego chrześcijaństwa, którym byłby, moim zdaniem, właśnie ten brak ciągłości. Brak ciągłości musi skutkować brakiem wiarygodności, a brak wiarygodności musi oznaczać osłabienie. To są tezy dość kontrowersyjne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że jesteśmy w środowisku przychylnym ekumenizmowi i dialogowi międzyreligijnemu, ale siebie nie zmienię i to jest moje świadectwo.

Dyskusja

Krzysztof Fus (aktor, pierwszy polski kaskader filmowy, trzykrotnie przeżył śmierć kliniczną)

Mówimy o wielkich sprawach, o świadectwie wiary, ja natomiast chciałbym wrócić do tych drobnych oznak wiary. Obserwuję mojego syna przechodzącego przed kościołami. Poza moim synem nie spotkałem dziecka, które przechodząc przed kościołem zrobiłoby znak krzyża. Uczestniczyłem trzykrotnie w audycji Tele-Echo, które prowadziła od 1956 roku pani Irena Dziedzic. Gdy wchodziłem z krzyżem, kazano mi go chować. To były czasy PRL, ale jeszcze dziesięć lat temu, kiedy wróciłem z Kazachstanu do telewizji, a jestem członkiem zakonu trynitarzy, kazano mi wypiąć czerwono-niebieski krzyż, który miałem przypięty do marynarki. Spojrzałem na panią, która mi takie polecenie wydała. Dlaczego nie mamy zwyczaju powiedzieć – tak, ja jestem wierzący.

Wchodzę do pomieszczenia, gdzie jest krzyż, bardzo pięknie, ale ile jest takich domów, gdzie się przed posiłkiem modlimy, a kto



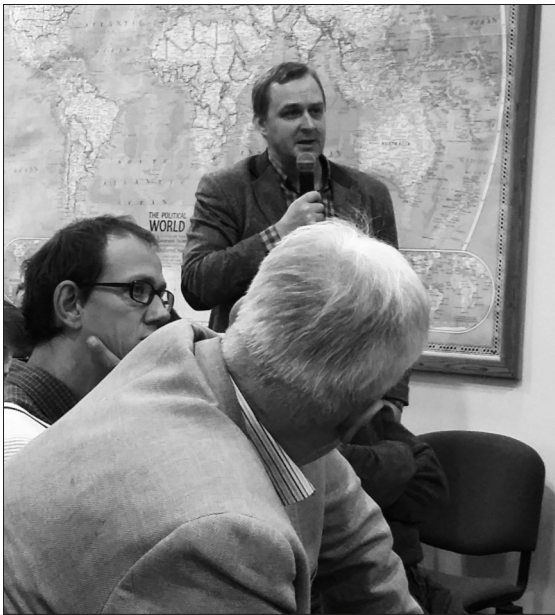
Krzysztof Fus, w ostatnim rzędzie (z mikrofonem)

z obecnych tu na sali ma krzyżyk? Ja noszę krzyż od papieża Jana Pawła II. W moim CV piszę, że nie przyjmuję żadnych odznaczeń, a pod spodem piszę Krzyż zakonu, medal świętego Jana de Mathy. Trzeba przeciwstawiać się bierności, bezwładności, chowaniu się. Dziewczynka, która miała wejść na wizję, mówi do mamy, że ona sobie schowa ten medalik. Coś musimy robić. To nie zadanie dinozaurów, którym osiemdziesiątka się zbliża i trzeba się będzie żegnać. W waszych rękach, młodzi, jest wielka siła. Wy będziecie wychowywać naszych Polaków, których może jeszcze na świecie nie ma, i macie ich wychowywać w sposób godny. Wy macie ukształtować tych, którzy nie będą się wstydzili, że Chrystusa noszą i w sercu, i na zewnątrz.

Włodzimierz Wieczorek

W nawiązaniu do przykładu z poprzedniej wypowiedzi o kardynale J. H. Newmanie chciałbym przywołać inną jego cenną wypowiedź, zawartą w Liście do Księcia Norfolku. Newman wyraził w niej swoje podejście do potrzeby równowagi między subiektywnym sumieniem a prawdą obiektywną. Napisał, że gdyby miał wznieść pierwszy toast o charakterze religijnym, to wzniósłby go za

sumienie, nie wcześniej jednak niż za papieża. Rozwijając tę myśl, podkreślał, jak duże znaczenie ma wolność sumienia w życiu religijnym, ze względu na to, że w sumieniu przemawia do człowieka Bóg. Z drugiej strony, subiektywny wymiar sumienia wymaga tego, by jego oceny weryfikować przez opinie uznanego autorytetu. Indywidualna interpretacja pewnych faktów musi być obiektywizowana, żeby znaleźć prawdę równoważącą subiektywne podejście sumienia z głosem autorytetu.



Włodzimierz Wiczorek

Zagadnienie to ma swoje znaczenie również w dziedzinie przekazywania informacji w mediach, bo tu również mamy do czynienia z procesem poznawania prawdy i łączenia się subiektywnych opinii z faktami. Rolą dziennikarza jest przekazywanie informacji odnoszących się do faktów, zdarzeń, wygłoszonych poglądów. W dziennikarstwie informacyjnym głównym zadaniem jest przekaz informacji co do faktów. Oczywiście dziennikarz w swojej pracy pozostaje osobą i ma prawo do własnych poglądów, jednakże nie

powinny one zniekształcać przekaz. Innymi słowy, subiektywna interpretacja dziennikarza nie powinna przesłaniać obiektywnych treści przekazu. Spotkałem się z taką opinią dziennikarza BBC, który powiedział, że w polskich mediach, w porównaniu do zachodnich, widzi ten problem w fakcie odwróconych proporcji między informacją a interpretacją. O ile przyjętym standardem jest proporcja między informacją na dany temat a komentarzem własnym dziennikarza informacyjnego jak 70% do 30% , o tyle w Polsce dostrzega odwrotne proporcje – 30% informacji o faktach i 70% komentarza sugerującego, co należy myśleć o tej informacji. W takim przekazie fakty są punktem wyjścia do interpretacji ukierunkowanej sposobem myślenia widza – myślenia zgodnego z oczekiwaniami. Uwidacznia się tu pewien problem zaangażowania politycznego mediów, na czym cierpi obiektywizm przekazywanych informacji.

W związku z tym mam pytania odnoszące się do „dziennikarskiej kuchni” – na ile dziennikarz, jako człowiek sumienia, ma swobodę tego, żeby pozostać wiernym sztuce dziennikarskiej, przekazywania informacji i swojej ocenie zdarzeń, a na ile warunkuje ten przekaz właściciel mediów, który może wymagać określonych komentarzy, nawet jeśli kłóci się to z tym, jak sprawy widzi dziennikarz? Czy w tym wymiarze należałoby coś zmienić?

Druga sprawa dotyczy kwestii kulturowej i definicji prawdy. Problem uwidacznia się w tym, że np. jest jakaś grupa medialna, która w duchu zaangażowania ideologicznego czy politycznego, nie kieruje się klasyczną definicją prawdy jako opisu faktów, ale raczej założeniem, że prawda z definicji jest tym, co wyzwala jak największy entuzjazm do działania – postmodernistyczne podejście. Powoduje to wiele nieporozumień i frustracji. Ale czy na przykład media, które są w opozycji do danej grupy medialnej, nie robią czegoś na zasadzie „anty”: „Jeśli oni w ten sposób karykaturalnie przekazują pewne treści, to my będziemy tworzyć przekaz symetrycznie przeciwny, też zniekształcony w drugą stronę, ale wtedy uzyska się pewną równowagę i w ten sposób widz czy czytelnik wyrobi sobie zrównoważoną opinię?” Dla przykładu, jeśli jakieś środowisko me-

dialne opisie dane zdarzenie polityczne jako skrajnie negatywne dla społeczeństwa, to druga strona sporu medialnego, dla równowagi odbioru społecznego, będzie to opisywać jako bardzo pozytywne zdarzenie, żeby w efekcie wytworzyć stan równowagi ogólnego przekazu medialnego? Czy panowie redaktorzy, czy księża dostrzegają też takie aspekty w naszym życiu medialnym?

Alina Wóycicka

Są dwie rzeczy, które mnie uwierają w przekazie medialnym. Po pierwsze, w niektórych mediach brak precyzji, jeżeli mówią o katolicyzmie, to mówią pewne rzeczy niedokładnie i to jest antyprzekaz. Jako przykład podam informację, że Kościół nie może znieść celibatu, bo nie może zmienić doktryny. A w Kościele katolickim jest 27 Kościołów obrządku wschodniego, gdzie nie ma celibatu. Celibat został wprowadzony dużo później, niż powstał Kościół, i nie należy do doktryny. I takich kwiatków mogłabym przytoczyć więcej.

Druga rzecz, jeśli chodzi o świadectwo, to wydaje mi się, że powinniśmy przywiązywać dużą większą wagę do znaków, jakimi ope-



Alina Wóycicka

rujemy. Na przykład, nie mam nic przeciwko temu, żeby w sejmie był krzyż, jeżeli na to posłowie się godzą, ale jeżeli ma być ten krzyż, to nie może on wisieć jedynie jako ozdoba. Jeśliby zapytać posłów, którzy przychodzą na salę obrad, ile razy się przed tym krzyżem przynajmniej zatrzymali, to odpowiedzi byłyby wręcz szokujące. Moim zdaniem, nie może wisieć krzyż czy stać figura Jana Pawła II w miejscu, gdzie ludzie żyją nienawiścią jedni do drugich. A ponadto jeżeli w ogóle coś robimy, na przykład budujemy pomniki, to niech one będą także estetyczne. Niestety figury Jana Pawła II często nie spełniają tego wymogu.

Paweł Lisicki

Może odpowiem na zadane przed chwilą pytania. Po pierwsze, sumienie to nie jest głos prywatny, czyli widzimi się, bo wtedy odeszlibyśmy od doktryny katolickiej, tylko tak zwane sumienie dobrze uformowane, czyli sumienie, które jest głosem z góry, ale opartym na Tradycji i Urzędzie Nauczycielskim.

Drugie pytanie dotyczyło roli właścicieli mediów. Mają ogromną rolę. Z punktu widzenia dziennikarza sytuacja bardzo się zmieniła w stosunku do tego, jak wyglądała w czasach PRL, kiedy działał zinstytucjonalizowany system cenzury. Natomiast obecnie jest tak, jeśli to nie jest zabezpieczone w liberalnej demokracji, że wielu dziennikarzy, czasem całkiem nieświadomie albo świadomie, w którymś momencie dostosowuje się do oczekiwań właściciela. Problem polega na tym, że istnieją miększe sposoby kontrolowania tego, co ktoś mówi, czy tego, co ktoś uważa, niż w formie cenzury. Cenzura może być tylko środkiem radykalnym, brutalnym, ale tak naprawdę niewystępującym albo występującym bardzo rzadko w zachodnim świecie. Jeśli mówimy o BBC, z całym szacunkiem dla tej rozgłośni, to trzeba powiedzieć, że w dużej części prasy brytyjskiej czy niemieckiej te tematy często stanowią tabu. Na przykład, żywa debata na temat aborcji. Czy można znaleźć w poważnej gazecie brytyjskiej kogoś, kto napisałby, że aborcja jest zabójstwem drugiego człowieka? Nie sądzę. Również w prasie niemieckiej, nawet w bardzo konserwatywnych gazetach. Stało się tak dlatego, że wielu liberal-

nych właściciele mediów narzuca im swoje zdanie. Bo to nie jest tak, że ktoś coś napisze i to zostanie mu wycięte, bo ten tekst nie pójdzie. Ludzie mają to do siebie, że działają często też w sposób koniunkturalny, dostosowują się, chcąc robić karierę, zarabiać duże pieniądze, utrzymać pozycję, dostosowują swoje działania, swoje myślenie do tego, co – jak sądzą – jest od nich oczekiwane. Dlatego jeśli popatrzymy na większość najsilniejszych gazet czy pism tych mediów zachodnich, to na przykład stałym elementem jest tam bardzo krytyczne podejście do Kościoła katolickiego. Nie tylko dlatego, że oni tak uważają, ale to jest efekt wielu lat takiego właśnie funkcjonowania. Moim zdaniem realna forma zabezpieczenia polegałaby na tym, że dziennikarze powinni być współwłaścicielami mediów. Ich pozycja powinna być na tyle niezależna, że od tego, co napiszą czy powiedzą, nie jest bezpośrednio zależny ich los. Istnieje ogromna masa powiązań życiowych, która powoduje, że człowiekowi bardzo często trudno jest wyrażać tezę, która jest uważana za kontrowersyjną albo która może ściągnąć na niego całą masę nieprzyjemności.

Uważam, że trzeba odróżnić dziennikarstwo informacyjne od publicystyki, bo publicysta siłą rzeczy musi przedstawić wyrazistą tezę, a dziennikarz musi starać się dokładnie poinformować o tym, co się zdarzyło. BBC to jest jednak telewizja informacyjna i trudno, żeby jej sposób działania był przeniesiony na media, które przede wszystkim starają się przekazać pewien pogląd, pewną opinię, która musi być wyraźna i która nie może negować faktów, ale też może je w inny sposób interpretować. Ja uważam, że Polska pod względem wolności słowa jest krajem wyjątkowym i że ta wolność słowa w Polsce jest często większa niż w wielu krajach zachodnich. Jest to, na przykład, kwestia dotycząca uchodźców. Takiej debaty nie mieliśmy ani w Szwecji, ani w Niemczech, ani we Włoszech. Nikt nie ośmieliłby się tam w tak jasny sposób wyrazić swojego sprzeciwu wobec przyjmowania uchodźców. To świadczy o tym, że w Polsce w debacie jest więcej wolności, bo ludzie mówią to, co myślą. Moim zdaniem, w wielu krajach zachodnich mamy do czynienia z odwrotnym problemem, polegającym na tym, że wąski establishment me-

dialny i polityczny sprawia, że tak zwany głos ludu nie dociera do opinii publicznej. Ludzie co innego mówią czy myślą w swoich prywatnych przestrzeniach, a co innego mówią publicznie, ponieważ pewien typ sądu w ogóle nie dociera, nie występuje w tak zwanych mediach. Porównajmy, na przykład, w ilu dużych mediach francuskich można znaleźć kogoś, kto głosiłby poglądy zbliżone do tego, co uważa Marine Le Pen, która według sondaży mogłaby wygrać wybory prezydenckie. Czyli mimo że 50% Francuzów uważa coś na dany temat, to ich głos jest nieobecny w mediach, pojawia się tylko w drobnych, niszowych pisemkach. W Polsce tak nie jest, ponieważ jedna czy druga strona medialna dysponuje mediami o nieporównywalnie większym zasięgu, o nieporównywalnie większej sile działania. Z całym szacunkiem dla BBC uważam, że polski system przy wielu swoich wadach wcale nie jest taki zły.

Przemysław Babiaryz

Jest takie zagadnienie czy też tendencja, która wynika z przeobrażania całego rynku medialnego, a szczególnie rynku mediów elektronicznych, że mamy do czynienia z sytuacją, w której wszystko zamienia się w widowisko. Proszę zwrócić uwagę, że jeszcze 20-25 lat temu mieliśmy w telewizji różne gatunki programów, a w tej chwili dążymy do tego, żeby były informacje, seriale i jakieś widowisko. Może być sportowe, może być niesportowe. Dzieje się tak, ponieważ widowisko generuje największą widownię, która powoduje przyływ pieniędzy. W związku z tym bardzo często w tej wojnie o widza, czyli wojnie o pieniądze, tak naprawdę ofiarą jest prawda. Świadcstwa znajdziemy na przeróżnych polach pracy poszczególnych dziennikarzy. Zwróćmy uwagę na jedną rzecz. W tej chwili telewizje mają prawo do pokazywania różnych imprez sportowych, ale do pokazywania innych imprez sportowych nie mają prawa. Jeszcze 20 lat temu istniało takie dobre, niepisane prawo, że każdy ma prawo do pokazania 20 sekund nawet z imprezy, do której nie wykupił praw transmisyjnych, ale gwoli właśnie informacji. Zostało to skreślone, o co mam wielkie pretensje do ustawodawcy szeroko rozumianego, dlatego, że w ten sposób mamy do czynienia z

kompletną partykularyzacją poszczególnych imprez. Nie możemy przekazać w informacjach tego, co jest najważniejszym wydarzeniem, wydarzeniem numer dwa lub trzy, według pewnej hierarchii, którą mamy, tylko pokazujemy swoje. Telewizje prywatne pokazywały w swoich informacjach to, co miały, mimo że w hierarchii wydarzeń, na przykład sportowych, nie miały one szczególnego znaczenia. Bardzo często nie można było pokazać czegoś, ponieważ nie było prawa do wyemitowania chociażby tych 20 sekund.

Widowisko rządzi się zupełnie innymi prawami niż informacja. W informacji adekwatność, prawda, zgodność z rzeczywistością – to są podstawowe kryteria. W widowisku natomiast najważniejsze jest to, co najbardziej atrakcyjne, czyli jeśli kłamstwo jest atrakcyjne, to kłammy. Nikt wprawdzie wprost tak nie wypowie, ale tak się to realizuje.

To, o czym pan mówił, o tej stopniowo coraz większej przewadze komentarza w stosunku do informacji, wynika z tego, że komentarz w większym stopniu napędza widowisko niż informacja. Informacja jest sucha, natomiast komentarz, w zależności jak go się napisze i kto go wygłosi, może właśnie generować widowisko. Zresztą proszę zobaczyć, że w różnych częściach naszej rzeczywistości mamy do czynienia z takim rodzajem pewnej redukcji. Jeżeli bowiem wszystko sprowadzamy do pieniądza, to siłą rzeczy o wszystkim zaczniemy tak właśnie myśleć. W służbie zdrowia w różnego rodzaju ustawach zrezygnowaliśmy z tradycyjnych określeń pacjent i lekarz na rzecz usługodawca i usługobiorca. To jest niby drobna zamiana, ale proszę zwrócić uwagę, jak wielkie robi ona spustoszenie w głowach. Nagle główną troską tej mniej refleksyjnej części usługodawców będzie nie tyle dobro pacjentów, ale to, czy uda im się rozliczyć wobec tych, którzy nimi zarządzają, z takich, a nie innych usług. To nie znaczy, że ekonomię należy lekceważyć. Chodzi tylko o to, że cały szereg instytucji zostało powołanych do innych celów, niż w tej chwili one służą. Dam przykład: Międzynarodowy Komitet Olimpijski, szlachetna idea, igrzyska nowożytnie, pierwsze w 1896 roku. Otóż od momentu, czyli mniej więcej od początku lat 1970., kiedy sport olimpijski zaczął głównie nastawiać

się na sport zawodowy, a ten na zarabianie pieniędzy, to wszelkie kwestie idei zaczęły z niego wyparowywać. Doszło do tego, że ostatnio MKOL sprzedał prawa do transmisji igrzysk w Europie nie którejś z telewizji europejskich, nie Europejskiej Unii Nadawców, czyli stowarzyszeniu telewizji publicznych w Europie, tylko sprzedał jakiejś telewizji amerykańskiej. Dlaczego? Dlatego, że więcej zapłaciła, czyli posłużył się wyłącznie kryterium finansowym. Ostateczną konsekwencją takiego stanu rzeczy będzie to, że podzieli się coś, co było wspólnotą. Igrzyska były wielkim świętem, a poszczególne sporty istniały w kontekście tego święta. A teraz wybierzmy z tego te najbardziej popularne, najbardziej oglądalne, przynoszące największe pieniądze, posprzedawajmy prawa do nich, a wszystko inne jednym machnięciem ręki zlekceważmy. W ten sposób nastąpi dekonstrukcja tego ruchu. Właśnie wykonano krok w tym kierunku. I tak jest w każdej dziedzinie. Jeśli dana instytucja nie będzie działała zgodnie z ideą, dla której została powołana, ale ponad tę ideę będzie ceniła sobie środki, czyli pieniądze, to musi się rozsypać, zdegenerować.

Dominacja „pijaru” (PR – *public relations*) nad dziennikarstwem wydaje się w dzisiejszym świecie oczywista, niestety. W „pijarze” lepiej się zarabia, gdyż broni się tam czyichś interesów, tych, którzy więcej płacą. A w dziennikarstwie trzeba być wiernym pewnym regułom. Dlatego często dziennikarze, czasem niepostrzeżenie, przechodzą na stronę „pijaru”, czyli zachwalania produktu, a nie rzetelnego informowania o nim.

Krzysztof Haman

Chciałem poruszyć troszkę inny temat. Mianowicie nie używam ani facebooka, ani twittera, ale zdarza mi się dosyć często włączać w różne dyskusje prasowe czy internetowe w postaci listów do redakcji. Na wszelki wypadek zastrzegam, że moje dane personalne są do wiadomości redakcji, bo bywa, że po obróbce przez redakcję z mojego pierwotnego tekstu powstaje coś, czego sam bym nigdy nie napisał. W internecie jest o tyle prościej, że tam już nic nie jest zmieniane ani wycinane. Zdarzały mi się polemiki światopoglądowe

i jest rzeczą bardzo ważną, żeby próbować z naszymi polemistami znaleźć jakąś wspólną bazę, tak żeby argumenty się nie mijają. Często się zdarza, że w dyskusji, w której każdy wychodzi ze swoich założeń i ma pretensje do dyskutanta, że operuje argumentami, które jego zdaniem są wzięte z powietrza, polemika się nie udaje. Argumenty się mijają i nie trafiają do odbiorcy. Na to trzeba zwracać uwagę. Ja nigdy w takim wypadku nie ukrywam swojej wiary, ale nie eksponuję jej, gdy to nie jest potrzebne, bo czasem to może nawet negatywnie nastawić odbiorcę.



Krzysztof Haman (z mikrofonem)

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Warto zastanowić się wspólnie nad tym, czy my, każdy z nas, ma możliwość wypowiedzenia się na interesujące nas tematy, czy zostawiamy to wyłącznie parlamentarzystom, dziennikarzom, księżom, a my tylko siedzimy i obserwujemy. Ja uważam, że fantastyczną rzeczą w tej chwili w Polsce jest to, że jest bardzo dużo możliwości wypowiedzenia się właśnie na forach internetowych. Jako przykład dam CitizenGo, w których mamy możliwość wyra-

żenie opinii, swojego poglądu, przez poparcie lub nie dla proponowanej inicjatywy. Polską edycję CitizenGo prowadzi Magda Korzekwa, którą znam od wielu lat. Jest fantastyczną, młodą osobą, znakomicie wykształconą i przesyłane przez nią propozycje do naszej akceptacji są świetnie redagowane i dotyczą istotnych spraw. Następnie są wysyłane do posłów, senatorów, przedstawicieli rządu, do ludzi, którzy będą decydować o danej sprawie. Pamiętam, że raz jeden dostałam coś, co bardzo mi się nie podobało. Zrobiłam sondaż wśród przyjaciół i wszyscy ocenili, że to nie jest dobry pomysł, więc napisałam do Magdy i ona natychmiast to wycofała, wyjaśniając, skąd taka sprawa wynikła. Czyli my możemy również decydować o tym, co na tych forach internetowych się znajduje. Naprawdę trzeba się w to włączyć. Jest naszym obowiązkiem wyrazić swoje zdanie bezpośrednio, a nie tylko przez pośredników.

Maciej Kledzik

Jak odnaleźć się ze swoją wiarą w dzisiejszych mediach? Podpisuję się pod tym, co powiedziała pani rektor. Telewizja po 1989 roku miała być zupełnie inna, niż jest obecnie. Telewizja pozostaje we władzy i pod kontrolą rządzącej partii politycznej, nie ludźmy się, że tam króluje demokracja. Dotrzeć z prawdą opartą na wierze w telewizji jest bardzo trudno. Płaci za to wspomniany redaktor Krzysztof Ziemięczyński czy inni redaktorzy. A jak jest w prasie papierowej? Jest bardzo dziwnie. Na przykład, redakcja „Naszego Dziennika” odpowiada na propozycje publikacji, że mają swoich autorów. I w porównaniu do innych gazet mało miejsca. Tygodnik „Idziemy” nie potwierdza wysłanych do redakcji tekstów. Jest w obiegu kilka tygodników ogólnopolskich sprzyjających wierze katolickiej, naczelny jednego z nich jest obecny na sali. Jak wyglądają możliwości publikowania w tych tygodnikach? Wszystkie strony, poza kilkoma, są obsadzone przez stałych autorów. Przedostać się na ich łamy ludziom z zewnątrz jest bardzo trudno, zazwyczaj skrócone teksty redakcja publikuje w rubryce „listy czytelników”. A jak w tej sytuacji wyglądają honoraria autorów? Od dziesięciu lat zmniejszają się honoraria, w związku z tym redaktorzy muszą do-

rabiać, drukują dwa, nawet trzy teksty w jednym wydaniu pisma, często trzeci podpisując inicjałami. Można to zrozumieć, prasa papierowa sprzedaje się coraz gorzej, zmierza ku upadkowi i przechodzi do internetu.

To, co powiedziała pani rektor, jest nadzieją dla państwa, dla ludzi młodych, którzy nie mogą się przebić do mediów, o których mówiliśmy. Internet stwarza tę nadzieję, że mogą powstać takie portale, jak katolicki facebook, który będzie platformą porozumienia, platformą głosów dla ludzi w wierze. Zajmuję się tym naukowo i wiem, że coś takiego powstanie. Zachęcam państwa, jeżeli sami nie podejmiecie próby, o której mówiła pani rektor, to proponuję śledzić internet. Taki portal może powstać także wśród was, z waszym udziałem i o was.

Ks. Henryk Drozd

Zadaniem zleconym nam dziś przez panią rektor, organizatorkę tego spotkania, było odpowiedzieć na pytanie „Jak być świadkiem wiary w mediach?”. Pytanie zasadne, bo zaproszeni prelegenci mieli lub mają bliski kontakt z mediami i doświadczyli, że własnych przekonań dotyczących wiary nie da się całkowicie oddzielić od „zawodowej” służby w mediach, co więcej, jako ludzie wierzący są przekonani, że nawet tam świadczenie o wierze jest ich obowiązkiem, chociaż nieraz w praktyce bywa to bardzo trudne.

Z wypowiedzi wynikało, że dawanie świadectwa ma różnoraki wymiar. Najpierw polega na świadomej akceptacji tego, czego naucza Kościół i co jest zawarte w Słowie Bożym. Świadectwem jest także wskazywanie, że ta przyjęta wiara Kościoła ma praktyczny wpływ na nasze życie. Ważnym elementem świadectwa, jak mówili o tym prelegenci i uczestnicy tego spotkania, jest jasne samookreślenie się, mające różnorodne przejawy, poczynając od noszenia medalika lub krzyżyka, przez publiczne wykonanie znaku krzyża przy okazji ważnych czynności, aż do jasnego zadeklarowania swojej postawy etyczno-moralnej, często przy braku akceptacji otoczenia.

Z wypowiedzi wynikało także, że najskuteczniejszą formą świadectwa – także w mediach – wobec ludzi wątpiących i poszukują-

cych jest własne wyznanie wiary, nie w formie trudnej do uzasadnienia deklaracji słownej, ale jasno określonego i wyrażanego przekonania, że Bóg przez dobro zainterweniował w moim życiu, zmieniając je na lepsze, pozwalając lepiej żyć oraz spełniać obowiązki zawodowe, rodzinne i osobiste.

Te właśnie przedstawione nurty – akceptacja i wyznanie wiary Kościoła oraz apostołstwo i świadectwo stały się odpowiedzią na zadane dziś pytanie. „Jak być świadkiem wiary w mediach?”

Jan Turnau

Najkrócej można powiedzieć, że dyskusja była przejawem zdrowego pluralizmu, bo różniły się w niektórych poglądach czy sprawach, na przykład, ja z panem redaktorem Lisickim. Szczerze mówiąc, inaczej wyobrażałem sobie dyskusję, że będzie mniej o mediach, a więcej o Kościele. Ale może ja się bardziej interesuję Kościołem.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

C.d. wypowiedzi otrzymany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Słowo, czy to w formie pisanej czy też audiowizualnej, dociera obecnie do każdego prawie mieszkańca naszego globu. Media w dzisiejszych czasach jak nigdy dotąd mają ogromną siłę przekazu. Informują, kształtują opinie odbiorców, ale także potrafią manipulować – i robią to niezwykle sprytnie.

Kilkanaście lat temu na pierwszych stronach australijskich gazet i czasopism, w radiowych i telewizyjnych dziennikach padały ciężkie słowa oskarżenia pod adresem (wówczas) arcybiskupa Georga Pella. Media prześcigały się w przytaczaniu coraz bardziej szokujących szczegółów oskarżonego o pedofilię Kapłana. Dostarczał tych opowieści „poszkodowany w dzieciństwie” świadek – obecnie dorosły mężczyzna.

Ksiądz arcybiskup wydał oświadczenie, że jest niewinny i na czas toczącego się śledztwa postanowił zawiesić pełnienie funkcji kościelnych. Trwało to kilka lat. Nawet niektórzy katolicy zwątpili w niewinność Kapłana. W końcu jednak sumienie ruszyło rzekomego świadka. Odwołał wszystkie oskarżenia, jakie złożył pod adresem księdza. Wskazał także, od kogo miał otrzymać znaczną sumę pieniędzy za spreparowanie tego oskarżenia. Kapłan został uniewinniony. Na szóstej stronie dziennika ukazała się jedna linijka przeproszenia. Oczywiście gazeta została zasypana listami czytelników. Nie wszystkie zostały wydrukowane, ale wystarczyło kilka, żeby zwrócić uwagę opinii publicznej na wielką niesprawiedliwość, jaka rozegrała się na naszych oczach.

Co każdy z nas, uczestniczący w życiu społecznym katolik, powinien zrobić? Jeśli jesteśmy tylko odbiorcami – piszmy i dzwońmy do redakcji pism i audycji. Nie, nie tych katolickich, ale tych przeznaczonych dla ogółu odbiorców. Wyrażajmy swoją opinię na tematy poruszane w tych pismach i w audycjach. Identyfikujmy się jako katolicy, jest nas przecież zdecydowana większość. Komentujmy pozytywnie to, co nam się podoba, ale nie bójmy się krytykować tego, co rani nasze uczucia. Pamiętajmy jednak, żeby była to krytyka rzeczowa, na poziomie. Absolutnie niedopuszczalne są wulgaryzmy, a one niestety rozpleniły się w naszych mediach.

Jeśli piszemy – piszmy o wydarzeniach religijnych. Nawet jeśli wydają się one być błahe. Kropla draży skalę nie siłą, lecz ciągłym padaniem, uczy nas łacińskie przysłowie. Tutaj, na emigracji sprawa jest nieco prostsza. Każdy, zwykle tylko jeden redaktor pisma czy też portalu internetowego chętnie akceptuje sprawozdania z uroczystości religijnych lub z udziałem dostojników Kościoła.

Reportaż o spotkaniu w Konsulacie RP, który napisałam tuż po tej uroczystości, opublikowały natychmiast dwa polskojęzyczne portale internetowe – Puls Polonii oraz Bumerang Polski. W następnym tygodniu ukaże się w „Tygodniku Polskim” (wydawany w Melbourne), a także w „Polsko-Australijskim Expressie”, dwutygodniku wydawanym w Sydney.

*Wrażliwość na potrzeby bliźnich.
Jak realizuję miłosierdzie w swoim życiu?*

Cytaty

Papież Franciszek, *Bulla Misericordiae vultus*

(fragment)

...Jesteśmy wezwani do życia miłosierdziem, bo nam zostało najpierw udzielone miłosierdzie. Przebaczenie zniwag staje się najbardziej ewidentnym wyrazem miłości miłosiernej, a dla chrześcijan jest nakazem, którego nie możemy pominąć. Jakże wydaje się nieraz trudne! A jednak jest ono narzędziem złożonym w nasze ręce, abyśmy byli w stanie osiągnąć spokój serca. Porzucić żal, złość, przemoc i zemstę – to warunki konieczne do tego, by żyć szczęśliwie. Przyjmujemy zatem zachętę Apostoła: „Niech słońce nie zachodzi nad waszym gniewem” (Ef 4, 26). Słuchamy przede wszystkim słowa Chrystusa, który przedstawił miłosierdzie jako ideał życia i jako kryterium wiarygodności dla naszej wiary: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią” (Mt 5, 7). To jest błogosławieństwo, które powinno się stać dla nas inspiracją w tym Roku Świętym.

Ze smutkiem obserwujemy, jak doświadczenie przebaczenia w naszej kulturze staje się coraz rzadsze. W niektórych przypadkach zda się nawet, iż znika już samo słowo przebaczenie. Jednak bez doświadczenia przebaczenia pozostaje nam droga bezpłodna i sterylna, jakbyśmy żyli w jakimś miejscu pustynnym i odosobnionym. Przebaczenie to siła, która przywraca do nowego życia i dodaje odwagi, aby patrzeć w przyszłość z nadzieją.

W Roku Świętym będziemy mogli doświadczyć otwarcia serc na tych, którzy żyją na najbardziej beznadziejnych peryferiach egzystencjalnych, które tak często świat stwarza w sposób dramatyczny. Ileż sytuacji niepewności i cierpienia! Ileż ran na ciele wielu, którzy nie mają już więcej głosu, ponieważ ich krzyk osłabł i zgasł z powodu obojętności bogatych narodów. Nie wpadajmy w obojętność, która upokarza, przyzwyczajenie, które usypia ducha i nie pozwala odkryć nowości, w cynizm, który niszczy. Otwórzmy oczy, aby dostrzec biedę świata, rany tak wielu braci i siostr pozbawionych godności...

Wyobraźnia miłosierdzia

„Miłosierdzie świadczone za życia,
jest najlepszym biznesem po śmierci...”

św. Brat Albert

Młody człowiek wpadł w złe towarzystwo. Jego naganne postępowanie rujnowało życie rodziców. Liczne przestępstwa doprowadziły go do aresztu. Wyrokiem sądu został skazany na odbycie kary: 10 lat pozbawienia wolności.

Długi pobyt za kratami pozwolił mu szczegółowo przeanalizować własne postępowanie. Sumienie, twarde jak diament, zaczęło się krużyć. Serce, zimne jak lód, powoli topniało. Do umysłu wciskała się tęsknota za domem i świadomość bólu, jaki sprawił bliskim... Mijały lata, czas kary dobiegał końca. W liście do rodziców napisał: „Niedługo wyjdę z więzienia. Będę wolny. Ale nie wiem, czy zechcecie mnie przyjąć. Dlatego proszę o znak. Gdy będę przejeżdżał pociągiem obok waszego domu – zawieście białą chustę na drzewie, w ogrodzie...”

Lęk i niepewność targała jego serce. Nieśmiało spoglądał za okno pędzącego pociągu. Nagle zamarł ze wzruszenia. Drzewo w ogrodzie rodziców było całe obwieszane białymi kokardami... To wydarzenie skłania nas do refleksji: na ile jesteśmy miłosierni względem bliźnich? Na ile ból, czy żal potrafimy zamienić w gest miłosierdzia?

To trudne pytanie, bo dotyczy wrażliwej sfery duszy. Często zadziwia nas własna reakcja na tych, którzy zbliżyli się do horyzontu zła. Wydaje się nam, że sami krocymy Drogą Przykazań, a jednak nasze miłosierdzie stoi pod znakiem zapytania. Odpowiedź jest „zawieszona”. Czy zdążę podać rękę i powiedzieć „wybaczam”? Czy może zabiorę ze sobą bagaż skrywanej nienawiści do grobu? Jakże często usprawiedliwiamy się przed sobą, mimo, że może setki razy słyszeliśmy już to ewangeliczne: „77 razy” (Mt 18,22). Obyśmy za brak przebaczenia i miłosierdzia nie usłyszeli: „Idźcie precz ode Mnie przekłęci, w ogień wieczny...”

Papież Jan Paweł II powiedział na Krakowskich Błoniach w 2002 r.: „Potrzeba *wyobraźni miłosierdzia*, by dostrzec obok siebie

brata, który wraz z utratą pracy doznaje poczucia opuszczenia, zagubienia i beznadziei. Potrzeba *wyobraźni miłosierdzia*, by przyjść z pomocą dziecku zaniedbanemu duchowo i materialnie. Potrzeba *wyobraźni miłosierdzia* wszędzie tam, gdzie ludzie wołają w potrzebie do Ojca Miłosierdzia. Pomóżcie współczesnemu człowiekowi zaznawać Miłosiernej Miłości Boga! Niech w jej blasku i ciepłe ocala swe człowieczeństwo!”

Jan Paweł II, *Dives in Misericordia* – O Bożym Miłosierdziu
(30 XI października 1980) (fragmenty)

Umysłowość współczesna, może bardziej niż człowiek przeszłości, zdaje się sprzeciwiać Bogu miłosierdzia, a także dąży do tego, ażeby samą ideę miłosierdzia odsunąć na margines życia i odciąć od serca ludzkiego. Samo słowo i pojęcie „miłosierdzie” jakby przeszkadzało człowiekowi, który poprzez nieznaną przedtem rozwój nauki i techniki, bardziej niż kiedykolwiek w dziejach stał się panem i czynił sobie ziemię poddaną ...

... Miłosierdzie bywa rozumiane i praktykowane w sposób jednostronny jako dobro czynione drugim. Tylko wówczas bowiem jest ono naprawdę aktem miłości miłosiernej, gdy świadcząc je, żyjemy głębokie poczucie, iż równocześnie go doznajemy ze strony tych, którzy je od nas przyjmują. Jeśli tej dwustronności, tej wzajemności brak, wówczas czyny nasze nie są jeszcze prawdziwymi aktami miłosierdzia. Wówczas nie dokonało się jeszcze w pełni to nawrócenie, którego drogę ukazał nam Chrystus swoim słowem i przykładem aż po krzyż; wówczas też nie uczestniczymy jeszcze całkowicie we wspólnym źródle miłości miłosiernej, które zostało nam przez Niego objawione.

Tak więc droga, którą ukazał nam Chrystus w kazaniu na górze poprzez błogosławieństwo miłosiernych, jest o wiele bogatsza od tego, co nieraz w obiegowych sądach ludzkich słyszymy na temat miłosierdzia. Sądy te uznają miłosierdzie jako akt czy proces jednostronny, który zakłada i pozostawia dystans pomiędzy czyniącym je a doznającym go, pomiędzy dobroczyńcą a dobrobiorcą. I stąd

dążenie i żądanie, ażeby stosunki międzyludzkie i społeczne wyzwałać od miłosierdzia, a opierać na samej sprawiedliwości. Jednakże owe sądy o miłosierdziu nie dostrzegają tego podstawowego związku pomiędzy miłosierdziem a sprawiedliwością, o jakim mówi cała tradycja biblijna, a nade wszystko mesjańskie posłannictwo Jezusa Chrystusa. Autentyczne miłosierdzie jest jakby głębszym źródłem sprawiedliwości. Jeśli ta ostatnia sama z siebie zdolna jest tylko rozsądzać pomiędzy ludźmi, rozdzielając wśród nich przedmiotowe dobra słuszną miarą, to natomiast miłość, i tylko miłość (także owa łaskawa miłość, którą nazywamy „miłosierdziem”, zdolna jest przywracać człowieka samemu człowiekowi ...

KONWERSATORIUM LXXXII

(21 listopada 2015)

Wrażliwość na potrzeby bliźnich.

Jak realizuję miłosierdzie w swoim życiu?

Prowadzący: **Grzegorz Polak**, dziennikarz, działacz ekumeniczny, współtwórca Centrum Działań Społecznych bł. Edmunda Bojanowskiego; **Magdalena Korzekwa-Kaliszuk**, prawnik, publicystka, pisarka, dyrektor CitizenGO w Polsce; **Zbigniew Kaliszuk**, działacz społeczny, publicysta, pisarz, redaktor naczelny gazety „Niecodziennik”; o. **Hubert Matusiewicz**, Zakon Bonifratrów, wicedyrektor Caritas Polska; **Renata Trzeszczak**, pielęgniarka, Wspólnota „Chleb Życia”, prowadzi schronisko dla osób bezdomnych i chorych; **Elżbieta Byrtek**, katechetka, wykładowca Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, była koordynatorka europejskiego wolontariatu Diakonii Kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Grzegorz Polak

Bardzo mi miło powitać wszystkich obecnych na kolejnym konwersatorium, zatytułowanym tym razem „Wrażliwość na potrzeby bliźnich. Jak realizuję miłosierdzie w swoim życiu?”. Miłosierdzie to temat – rzeka, znak firmowy chrześcijaństwa. Myślę, że ludzie nieuprzedzeni do wyznawców Chrystusa kojarzą chrześcijaństwo przede wszystkim jako religię miłosierdzia. Temat jest bardzo ważny, gdyż zawsze będziemy potrzebować miłosierdzia. Wydaje mi się jednak, że tego pojęcia nadużywamy, gdyż miłosierdzie jest często pozorowane, takie „na pół gwizdka”. Przytoczę dwa przykłady, które powinny dać do myślenia.



Paneliści: od lewej Elżbieta Byrtek, Renata Trzeszczak,
O. Hubert Matusiewicz, Grzegorz Polak,
Magda Korzekwa-Kaliszuk i Zbigniew Kaliszuk

Zbliża się okres Bożego Narodzenia i wiele instytucji kościelnych urządza „wigilie” dla bezdomnych i ubogich dwa lub trzy dni przed 24 grudnia. Dla mnie to przypadek religijnej schizofrenii. Można byłoby zapytać: co to za Wigilia, skoro pojęcie to oznacza przeddzień święta czy jakiegoś wydarzenia. Z jednej strony chcemy pokazać, jacy to jesteśmy miłosierni, a sami będziemy tę Wigilię obchodzili 24 grudnia w gronie ludzi bliskich, czystych, nieśmierdzących. Czy człowiek bezdomny, biedny nie ma prawa do świętowania Wigilii w takim samym terminie co inni?

Drugi przykład. Uczestniczyłem w święcie rodzin urządzanym przez Caritas w dużym mieście. Jako sponsora reklamowano wielki supermarket, który przygotował prezenty dla rodzin. Drodzy państwo, to był chłam, wartość owego „daru” wynosiła jakieś 7-8 złotych, a odbywało się to pod szumnym hasłem, że supermarket ofiaruje rodzinom paczki. Były w nich dwa sparciałe jabłuszka, zeszyt 16-kartkowy i dwa batoniki po złotówce. Czy jest to czyn miłosierdzia?

Papież Jan Paweł II użył genialnego zwrotu – wyobraźnia miłosierdzia, który uważam za klucz do chrześcijańskiej postawy. Oznacza to, że na podstawie pewnych przesłanek wyobrażam sobie sytuację drugiego człowieka, widzę jego potrzeby i staram się tym potrzebom zaradzić. Na całe szczęście katolicy nie są sami w czynieniu miłosierdzia. Oczywiście robią to ludzie nie tylko z inspiracji ewangelicznych, ale głównie my, chrześcijanie, jesteśmy do tej służby miłości powołani z motywów, które wszyscy dobrze znamy. Dlatego cieszę się, że jest wśród nas przedstawicielka Kościoła ewangelicko-augsburskiego, czyli luterańskiego. Często zapominamy o istnieniu mniejszych Kościołów w naszym społeczeństwie, a one robią bardzo dużo dobrego. Gdybyśmy zechcieli przejrzeć „Kalendarz ewangelicki”, zauważylibyśmy długi rejestr placówek świadczących miłosierdzie. Proporcjonalnie jest to bardzo dużo jak na niewielki Kościół, którego liczebność zmieściłaby się w dwóch, trzech sporych parafiach rzymskokatolickich. Mam nadzieję, że uczestnicy panelu będą mówić nie tylko o sobie, ale także o wspólnotach, o instytucjach, które – mówiąc w sposób uproszczony – czynią miłosierdzie.

Chciałbym bardzo serdecznie powitać panią Magdalenę Korzekwę-Kaliszuk, która jest prawnikiem, publicystką i dyrektorem CitizenGO w Polsce. To organizacja, która uwrażliwia na prześladowania chrześcijan w świecie. Zapewne niektórzy z nas pamiętają panią Magdę jako gwiazdę programu „Ziarno”. Obok niej siedzi jej mąż, pan Zbigniew Kaliszuk, który też jest działaczem społecznym, a ponadto publicystą, pisarzem, redaktorem naczelnym gazety „Niecodziennik”.

Witam serdecznie o. Huberta Matusiewicza, bonifratra, ze wspaniałego zakonu, który założył św. Jan Boży, święty zbyt słabo u nas znany. Zakon ten ma wpisane miłosierdzie w swój charyzmat, gdyż został powołany do służby chorym. Z życiorysu św. Jana Bożego zapamiętałem wstrząsający obraz, jak z założonego przez siebie szpitala w Granadzie wynosi na własnych barkach chorych i ratuje ich, ryzykując własnym życiem. To jest właśnie powołanie bonifratrów – ratować innych, nawet kosztem własnego życia. Oj-

ciec Hubert jest wieloletnim dyrektorem Caritas Polska, czyli instytucji, która zajmuje się miłosierdziem na co dzień.

Mamy też wśród nas panią Renatę Trzeszczak, pielęgniarkę ze wspólnoty „Chleb Życia”, która prowadzi schronisko dla osób bezdomnych i chorych. Ta wspólnota kojarzy się nam z osobą założycielki siostry Małgorzaty Chmielewskiej. Jest też z nami pani Elżbieta Byrtek, katechetka, wykładowca Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, uczelni, która przygotowuje kadry dla różnych Kościołów chrześcijańskich w Polsce. Pani Elżbieta była kiedyś koordynatorką europejskiego wolontariatu Diakonii Kościoła ewangelicko-augsburskiego i liczymy na to, że powie nam też o tej formie zaangażowania, bo nie można czynić miłosierdzia na dużą skalę bez kadr ludzi.

Proponuję zacząć od ojca Huberta, który z tu obecnych ma najdłuższy staż, jeśli chodzi o działalność charytatywną.

O. Hubert Matusiewicz

Ciąży na mnie podwójny obowiązek, albo dodatkowy ciężar. Wynika on z tego, co już zostało tutaj wywołane, czyli przynależności do zakonu szpitalnego, gdzie składamy dodatkowy ślub szpitalnictwa. Zobowiązujemy się tym ślubem do służby ludziom chorym, potrzebującym bez jakiegokolwiek dyskryminacji, słowem każdemu i do pełnienia każdej, nawet najmniejszej posługi, aż do gotowości oddania własnego życia. Takie zobowiązanie wypowiedane przed Bogiem jest więc zobowiązaniem bardzo odpowiedzialnym. Nie są to tylko słowa. Jeżeli patrzymy na historię mojego zakonu w Polsce, ponad czterowiekową, to spotykamy w naszym nekrologu, gdzie są spisywani wszyscy bracia, którzy odeszli już do Pana, różne adnotacje: zmarł, ratując życie innym w czasie epidemii, np. cholery, itp.

Natomiast przechodząc do celu, w jakim zostałem tutaj zaproszony, myślę, że przede wszystkim powinienem się podzielić tym, że niejednokrotnie stawiam sobie pytanie, jak to miłosierdzie powinienem czynić. Czy moje poszczególne decyzje, czy te osobiste, czy wynikające z misji zakonu, czy wreszcie te pełnione, a związane



Od lewej: Elżbieta Byrtek, Renata Trzuszczak, O. Hubert Matusiewicz i Grzegorz Polak

z funkcją w Caritas Polska, są decyzjami, pod którymi Pan Bóg się podpisał, właśnie takimi, przepelnionymi miłosierdziem. I wtedy odwołuję się do tej dobrze nam znanej przypowieści, zapisanej przez św. Łukasza, o miłosiernym Samarytaninie. Zadaję sobie pytanie, jakby ów Samarytanin zachowałby się w mojej sytuacji, jakby postąpił, jaką decyzję by podjął. I to niejednokrotnie daje mi wiele nowych natchnień do tego, co mam w danej chwili zdecydować, jak też stanowi nieustannie nową inspirację. Dlatego też, pozwólcie państwo, że wrócę jeszcze raz do tej przypowieści odczytanej trochę inaczej, może właśnie po mojemu, w mojej praktyce. Tak jak pan redaktor przywołał tutaj zdanie św. Jana Pawła II o potrzebie nowej wyobraźni, to faktycznie ta przypowieść o miłosiernym Samarytaninie otwiera na nowo oczy, uczy nowego spojrzenia. Na czym to polega? Na tym, że człowiek, którego w pierwszej chwili widzimy jako kogoś obcego, staje się naszym bliźnim. To nie tylko ten, któ-

rego znamy z kart Ewangelii, poraniony, napadnięty. Może to być również przybysz, Syryjczyk czy Irakijczyk, cudzoziemiec, to może być osoba, którą spotykamy na ulicy, właśnie ktoś bezdomny, młody człowiek odurzony takimi czy innymi środkami, to może być dziewczyna sprzedająca swoje ciało.

Jeżeli chodzi o moje decyzje, to przede wszystkim próbuję prześledzić postawy tych wszystkich, którzy przechodzili obok człowieka leżącego przy drodze. Jak wiemy, najpierw przyszedł kapłan. Ewangelista Łukasz dokładnie zaznacza „zobaczył go i minął”. Zobaczył, czyli widział go. Potem lewita i znów padają słowa „zobaczył go i minął”. Dopiero kiedy opisuje postawę Samarytanina, też używa słów „zobaczył go”, po czym dodaje „wzruszył się głęboko” i dopiero zaczął działać. A więc łatwo zauważamy, że punktem wyjścia do naszej postawy, jeśli chcemy wypełniać to, co Jezus w konkluzji mówi „i wy czyńcie podobnie”, znajduje się tutaj. Gdy dalej śledzimy w myśli znaną nam przypowieść, zauważamy kolejny ważny do wykorzystania element. Jest to uwaga, którą notuje św. Łukasz, gdy opisuje, co zaczął czynić Samarytanin: „opatrzył jego rany, zalewając je oliwą i winem”. Być może tym handlował, na pewno miał to przy sobie. Jakie wynika z tego przesłanie dla nas? Często przyłapujemy się, spotykając proszącego nas o wsparcie, na myśl „a co ja mam, co ja mogę zrobić w tej sytuacji”. Samarytanin użył tego, co miał, ze swoich własnych zapasów. A co ja mam, czym mógłbym się podzielić?

Trzeci element, który łatwo zauważamy, podążając za postępowaniem Samarytanina, to ten, że udzielił mu pomocy i przekazał go do instytucji, zawiózł do gospody i tam zlecił właścicielowi tej gospody opiekę nad nim. Jeszcze przyrzekł, że wracając, ureguluje wszelkie wydatki z tym związane. Myślę, że jest to ważna przesłanka nie tylko dla mnie. Moje możliwości są ograniczone, czasem mogą działać tylko w tych granicach i na miarę środków, którymi w danej chwili dysponuję, ale są instytucje, z których na pewno należy skorzystać. Wśród nich jest też Caritas. I jeśli pytanie dotyczyłoby mnie, to na pewno powiedziałbym, że taką gospodą jest Caritas, gdzie też powinno się przyjmować tego drugiego, nie pytając kto

to jest, kto go napadł, dlaczego tu przyszedł, kto zapłaci, po prostu trzeba postępować tak jak gospodarz z ewangelicznej przypowieści, który przejął troskę nad tym człowiekiem i czynił to z dużą otwartością. A więc nowe oczy, nowe spojrzenie, tak jak powiedziałem. Wprowadza nas to w tajemnicę miłosierdzia, tego Bożego Miłosierdzia, które Pan Bóg podzielił z nami. Wtedy potrafimy zupełnie inaczej popatrzeć na tych, których Pan Bóg stawia na drodze naszego życia.

Pozwólcie państwo, że podzielę się pewnym świeżym doświadczeniem. Niecały miesiąc temu byłem na spotkaniu w Brukseli, gdzie w tym spotkaniu uczestniczył jeden z profesorów Uniwersytetu w Louvain, który opowiadał o swojej koleżance, profesor teologii praktycznej. Do jednego ze schronisk dla bezdomnych przychodziła jako wolontariuszka pewna kobieta. Regularnie, co tydzień, poświęcała całe popołudnie temu, co należało przy nich wykonać. Dopiero po dłuższym czasie rozpoznano w niej wspomnianą panią profesor. Było ogólne zdziwienie – co ona tam robi? Na pytanie do niej skierowane wyjaśniła „jeżeli ja mam nauczać o Jezusie, jeżeli mam pisać o Nim, jeżeli mam narzędziami naukowymi poddawać analizie to, co Jezus nam zostawił jako swoje przesłanie, czyli uprawiać teologię, to nie mogę tego robić bez spotkania z Jezusem zarówno w Jego Słowie, jak i w drugim człowieku”. To jest to bezpośrednie doświadczenie Boga i bliźniego w naszym czynieniu miłosierdzia. Nie tylko danie monety czy paczki, ale rzeczywistość prawdziwego spotkania z Chrystusem. Zatem gdy myślimy o zbliżającym się roku miłosierdzia, to czytając chociażby bullę Ojca Świętego Franciszka, znajdujemy tam wiele takich właśnie przesłań, prawdziwego, mistycznego spotkania. Tę samą myśl znajdziemy też w encyklice *Deus Caritas Est* Benedykta XVI, który mówi, że zarówno głoszenie Ewangelii, sprawowanie sakramentów, jak i czynienie dobra i pełnienie miłosierdzia, są w gruncie rzeczy równie dla Kościoła potrzebne.

I dlatego też, powracając do przywołanego tutaj faktu z życiorysu św. Jana Bożego, pamiętajmy, że kiedy trzeba było ratować chorych z płonącego szpitala, św. Jan nie patrząc na niebezpieczeń-

stwo, sam poszedł ich ratować. I jeszcze inny przekaz z życia mojego założyciela utrwalony na obrazie Murillo, który pokazuje Jana Bożego, który dźwiga z wysiłkiem na swoich barkach chorego muzułmanina. Zakon powstał w Granadzie, krótko po tym, jak wypędzono muzułmanów z Hiszpanii, ale ci najubożsi zostali. Ta reguła do dzisiaj obowiązuje. Uciekają ci, których na to stać. Najubożsi zostają.

Wracając do płótna Murillo – Jan Boży niesie chorego, a anioł oświetla mu drogę. Życzę państwu, żebyście jak najczęściej w swoim życiu mogli dostrzegać taki zapalony blask w związku z tym, że czynicie dobro drugiemu człowiekowi.

Grzegorz Polak

Dziękuję bardzo. Ojciec przedstawił wspaniały obraz pod względem artystycznym, jak i pod względem chrześcijańskiej wymowy. Teraz chciałbym poprosić panią Renatę o danie świadectwo ze swojej służby miłosierdzia we wspólnocie „Chleb Życia”.

Renata Trzeszczak

Na początek powiem parę słów o wspólnocie, bo może nie każdy wie, jak żyjemy. Wspólnota „Chleb Życia” jest to grupa osób, które żyją razem w jednym miejscu, w jednym domu. Są to osoby bardzo różne, w różnym wieku, kobiety i mężczyźni, różnego pochodzenia, w różnych stanach, tzn. są osoby, które złożyły śluby, tak jak znana państwu siostra Małgorzata Chmielewska. Są też rodziny, ale są również osoby samotne, i są ubodzy. Żyjemy razem w jednym domu i skupiamy się wokół Eucharystii. W domach wspólnoty jest kaplica, jest Najświętszy Sakrament, co oznacza, że Pan Jezus jest tym głównym generatorem w każdym z naszych domów. On nam daje moc i siłę. Codziennie jest adoracja Najświętszego Sakramentu. Dzielimy nasze życie z ubogimi. Realnie żyjemy w jednym miejscu, dzielimy warunki materialne, jemy to samo, ubieramy się tak samo. Zazwyczaj w naszych domach jest permanentne przepełnienie, a że ściany są z gipsu, to znosimy też hałasy i różne ograniczenia. Nie chodzi tutaj jednak tylko o skromne warunki

materialne, bo zdajemy sobie sprawę, że wiele rodzin w Polsce nie ma nawet tego, co my mamy. We wspólnym życiu wspieramy się nawzajem. Cieszymy się całym bogactwem naszych braci, tym, że zdarzają się osoby, które mają różne dary i talenty. Jest kucharz, fryzjer, elektryk. Każdy służy tak, jak może. Żyjąc razem, niesiemy niestety również całą nędzę naszych braci i oni niosą nas, naszą grzeszność, ubóstwo, upadki, niemoc, smutek.

Ja żyję razem z dwójką moich braci w schronisku dla osób bezdomnych, chorych. Jest tam średnio 80 osób, niektóre bardzo chore. Czasami jest nas jeszcze dużo więcej, zwłaszcza w zimie. Żyję w tym domu od wielu lat i widziałam bardzo wiele cierpienia, niewyobrażalnego bólu psychicznego, duchowego, każdego możliwego. Widziałam też śmierć młodych osób, widziałam różnego rodzaju zmagania, widziałam ból z powodu odrzucenia. Na przykład, była u nas pani Wiesia, matka piątki dzieci, w tym jednej lekarki. Na starość zachorowała na raka kości, nikt nie miał czasu, by się nią zająć i dzieci przywiozły ją do przytułku. Jest to straszne. Bywa u nas wiele starszych osób, gdzieś porzuconych. Widzę twarze tych osób, cierpiących z powodu odrzucenia, ale widzę też ich zmartwychwstanie, kiedy wracają do życia. Często trafiają do naszego domu osoby znalezione gdzieś na śmietniku, bez kontaktu, w skrajnym wyniszczeniu, pogryzione przez szczury, albo z ciałami już wyzartymi, w dużej części, przez różnego rodzaju robactwo. Przyjmujemy te osoby, opiekujemy się nimi, jesteśmy razem i widzę, jak wraca do nich życie, jak powoli powstają, jak regenerują siły fizyczne, ale też jak powoli podnoszą głowę, zaczynają się nieśmiało uśmiechać. Zaczynają się bardziej angażować w nasze życie, w modlitwę i to jest właśnie to powstawanie.

Mieliśmy w naszym domu pana „Liska”, nie pamiętam, jak miał na imię. Był on sprawcą przemocy, znęcał się nad żoną i nad dziećmi, był za to wielokrotnie karany. Opuścił swoją wioskę i znalazł się w Warszawie, gdzie spędził kilkadziesiąt lat. Zestrzał się, bardzo rozchorował i wymagał całodobowej opieki. Znaleźliśmy mu miejsce w domu pomocy społecznej w jego rodzinnej miejscowości, gdzie został przez nas odwieziony. Wszyscy zastanawialiśmy

się, jak to będzie, gdy stanie oko w oko ze swoimi ofiarami. Po jego przyjeździe zebrała się najbliższa rodzina i sąsiedzi. Jego dzieci oświadczyły „to jest nasz tato i będziemy się nim opiekować”.

Historie są bardzo różne. Mieszka u nas pan Tadeusz, który trafił do nas jako osoba sparaliżowana. Jest już u nas parę tygodni i choć nie mówi, to widzimy, że gdy poczuł się w naszym domu bezpiecznie, dobrze zaopiekowany i chciany, zaczął się uśmiechać i wodzi za nami oczyma, śledzi nas, a ostatnio udało się jednemu mieszkańcowi go rozśmieszyć. Opowiadał mu dosyć długo różne „głupotki” tak, że pan Tadeusz się pierwszy raz głośno roześmiał. Ucieszyło nas to wszystkich, bo tak to jest w naszym domu, że mieszkańcy opiekują się sobą nawzajem, są razem w jednych salach, w jednych pokojach, pomagają sobie tak, jak potrafią, są nawzajem dla siebie ważni, nikt nie pozostaje niezauważony. Oczywiście najważniejszy jest ten, kto jest najbardziej chory i najbardziej bezradny, i zawsze w sercu naszego domu jest osoba umierająca, która odchodzi. Nie stosujemy nigdy żadnych parawanów ani izolatek, wręcz przeciwnie, im ktoś jest bardziej chory, tym jest w większej sali, żeby wszyscy mogli do niego dojść i być przy nim. Jeden go goli, drugi go poi, a inny go karmi i bardzo często jest tak, że kiedy ktoś umiera, odchodzi, to ja, jako pielęgniarka, mam pozwolenie od mieszkańców tylko na zabiegi *stricte* medyczne. Mieszkańcy czuwają nad umierającym, są razem, więc nie bardzo mogę już się tam docisnąć.

Opowiedziałam tych kilka historii, bo tym właśnie jest dla mnie miłosierdzie – tą relacją, która z mocą Bożą sływa na nas. Relacją, w której patrzymy sobie w oczy, w której widzimy się, to jest więcej niż złożenie ofiary i ja tego miłosierdzia uczę się na co dzień od moich chorych mieszkańców, bo widzę ich razem w tych wzajemnych relacjach. Jest to dla nich czymś zupełnie naturalnym, że, na przykład, jeden po drugim sprząta. Zastanawialiśmy się wielokrotnie, skąd to się bierze. Uważamy, że z mocy Bożej, z modlitwy, a nie z jakiejś formacji intelektualnej. Ci ludzie właściwie wszystko stracili i nic nie mają, i nie mają się już o co trząść, że coś tracą, i w takiej wielkiej wolności oddają siebie. My zawsze, jeśli tak na serio traktujemy miłosierdzie, to wiemy, że to nas może zaraz zacząć

kosztować. Na przykład, kiedy gdzieś idziemy i zatrzymamy się nad ubogim, spojrzemy mu w oczy i posłuchamy go przez chwilę, to może się okazać, że to wcale nie jest oszust, który chce wyłudzić dwa złote, tylko jest to człowiek w rozpacz. Przy pewnej wrażliwości wiemy, że człowiek ten może potrzebować pieniędzy, że może trzeba go będzie gdzieś zawieźć, załatwić lekarza, może ubrać i dać coś od siebie. Wejdziemy w tę relację kosztem czegoś, co jest dla nas cenne, ale tym właśnie jest dla mnie miłosierdzie.

Grzegorz Polak

Bardzo dziękuję za to piękne osobiste świadectwo. Pani Renata dotknęła tutaj kapitalnego wątku: spojrzeć ludziom w oczy. Uderzyła mnie niedawno wypowiedź papieża Franciszka, który powiedział, że jak dajesz jałmużnę człowiekowi biednemu, to nie rzucaj mu jej, tylko patrz mu w oczy. Chodzi o osobisty kontakt, o podmiotowe traktowanie drugiego człowieka, bliźniego, który jest w gorszej sytuacji od nas.

Drodzy państwo, za dwa lata będziemy obchodzić 500-lecie Reformacji. Jedną z tez Marcina Lutra, że człowiek jest usprawiedliwiony przez wiarę, narobiła sporo zamieszania w świecie katolickim. Posądzono ewangelików, a nawet szerzej biorąc – protestantów o to, że negują konieczność dobrych uczynków. Jest to duże nieporozumienie i myślę, że pani Elżbieta nawiąże do tego w swojej wypowiedzi.

Liczmy także, że opowie nam o swoim doświadczeniu w wolontariacie Kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Elżbieta Byrtek

Dziękuję za zaproszenie i za to pytanie. Chciałabym rozpocząć swoje wystąpienie od stwierdzenia dotyczącego wiary. Pytanie o wolontariat będzie w następnej kolejności. Jestem bardzo wzruszona wypowiedziami, które usłyszałam przed chwilą, a szczególnie wypowiedzią pani Renaty, że miłosierdzia się uczymy i że tak ważny jest kontakt wzrokowy – Samarytanin zobaczył i zaczął działać.



Elżbieta Byrtek (z mikrofonem), obok Renata Trzuszczak

„Miłosierdzie” jest słowem staromodnym. Nie boję się tego powiedzieć, ponieważ pracuję z ludźmi młodymi i oni na słowo „miłosierdzie” lekko się wykrzywiają i pytają – czego od nas chcesz, jeżeli mówisz o miłosierdziu? Kto dzisiaj mówi na ulicy „miłosierdzie”? Żaden ziom tak nie mówi – powiem językiem młodzieży. Nikt na co dzień nie używa tego słowa.

„Miłosierdzie” jest słowem, które przynależy do języka religijnego, przynależy do religijności, przynależy do wiary, nie tylko chrześcijańskiej, chociaż my bardzo sobie cenimy miłosierdzie i nie wyobrażamy sobie życia chrześcijanina bez miłosierdzia. Na zewnątrz jednak miłosierdzie jest uważane za staromodne i ludzie nie zawsze zastanawiają się, o co w nim chodzi.

Wracam do Marcina Lutra. Wiara i to, że miłosierdzie przynależy do języka wiary, języka religijnego, jest bardzo głęboko ze sobą powiązane. Luter powiedział i tak interpretował słowa Biblii, że człowiek nie może zapracować sobie w żaden sposób na zbawienie. Jego zdaniem Jezus Chrystus złożył z siebie ofiarę za każdy grzech

człowieka, mniejszy czy większy, i człowiek nie może już w żaden sposób zapracować sobie na zbawienie, ani dobrymi uczynkami, ani dobrym zachowaniem, ani klęceniem godzinami przed krzyżem. Ale jeżeli człowiek nie ma wiary, to nie będzie miłosierny. Miłosierdzie może okazywać tylko ten, kto ma wiarę. Jeżeli miłosierdzie przynależy do naszej religijności, to czym ono by było, gdyby nie wypływało z wiary, która jest pewnym sygnałem, pewną oznaką.

Miłosierdzie jest to okazywanie komuś dobra, miłości, zainteresowania, nawiązanie kontaktu, relacji i nie można wtedy oczekiwać czegoś w zamian. Łączy się to z reformacyjną zasadą, że człowiek jest zbawiony z łaski, za darmo. Skoro Bóg okazuje mi tak wielkie miłosierdzie, to ja wierząc w Niego, też mogę, też jestem uzdolniona do tego, żeby okazywać miłosierdzie innym. Bo chyba nie można tak powiedzieć, że jakiś człowiek jest miłosierny i kropka. Właściwie chyba można powiedzieć, że człowiek okazuje miłosierdzie, bywa miłosierny. Spróbujmy sobie wyobrazić, że przez całe życie myślelibyśmy o sobie „jestem miłosierny, dobry, sprawiedliwy, wspaniały” – to pierwszy krok do pychy i zadufania, ale kiedy pomyślę o sobie „jestem zdolna do tego, żeby okazać miłosierdzie”, to wtedy czuję możliwość działania, bez myślenia o sobie. Tak jak już powiedziałam, bardzo jestem wzruszona wcześniejszymi wypowiedziami, bo miłosierdzie to nie jest myślenie o sobie „jaka ja jestem miłosierna”, ale myślenie o tym, komu mogę i komu potrzeba okazać miłosierdzie, kto tego miłosierdzia ode mnie potrzebuje i na ile miłosierdzia mnie stać, ile mogę z siebie dać bez oczekiwania zapłaty.

Kiedy pracowałam jeszcze jako koordynator wolontariatu i zgłaszała się do mnie osoba chcąca być wolontariuszem, to zawsze zadawałam pytania „dlaczego chcesz zostać wolontariuszem?” i „do czego jest ci to potrzebne?”. Wiele osób, ku mojemu zdziwieniu, odpowiadało „a dlaczego pani pyta, do czego to jest mi potrzebne? Ja po prostu chcę. To nie wystarczy?”. Wróć więc do tego, że chęć bycia wolontariuszem, a dalej bycia miłosiernym jest związana z tym, co Bóg nam daje. Nie mogę sama z siebie wykrzesać prawdziwego miłosierdzia. Tak po ludzku, jeśli obiecuję sobie chęć pomocy komuś, to często w duchu zastanawiam się, co będę z tego miała.

Tak jesteśmy skonstruowani. Jeżeli jednak robię coś dla innych całkowicie bezinteresownie, to sądzę, że jest to załączek miłosierdzia, które daje nam Bóg. Ponieważ jedynie i tak naprawdę miłosierny jest Bóg. My możemy od Niego tę siłę czerpać, żeby bywać osobą miłosierną. Bardzo pięknie pani Renata i ojciec Hubert powiedzieli, że w centrum miłosierdzia stoi Bóg. To nie jest jakaś moja myśl, moja chwilowa potrzeba, by zrobić coś dobrego, zachować się miłosiernie. Nie, w centrum tego działania jest właśnie Bóg i On daje siłę do tego, żeby móc być miłosiernym. Mieć siłę na to, żeby spojrzeć w oczy napotkanemu człowiekowi i nie rzucić mu tylko pięcioletówki czy kanapki. Do tego potrzebna jest wielka siła. Cały czas słuchając pani Renaty, myślałam, jak niesamowitej siły potrzebuje taka osoba. Skąd ma tę siłę, żeby patrzeć na takie cierpienie i mimo tego chcieć dalej pomagać. Mówi się o ludziach, że się wypalają. Czy pani na ten temat może coś powiedzieć? Obserwuję to na przykładzie wolontariuszy. Początkowo z ogromną energią i zapałem rzucają się, by pomagać, lecz po jakimś czasie mówią „już nie mogę”, bo się wypalili. Wiele osób zna to też z pracy zawodowej, szczególnie tych, które angażują się w nią tak mocno, że w pewnym momencie brakuje sił.

Kiedy myślimy o takim działaniu, o którym państwo mówili, to ono jest przepełnione tym miłosierdziem, które możemy czerpać od Boga. To jest moje motto: człowiek nie może sobie sam wymyślić, że będzie miłosierny, nie może tylko w związku ze swoimi uczuciami okazywać miłosierdzia, nie może tylko ze względu na swoje widzimisię, bo wtedy to nie będzie miłosierdzie. Miłosierdzie musi mieć swoje źródło w Bogu – miłosiernym, dobrym i sprawiedliwym. Życzylibyśmy sobie, by mieć te cechy, by nimi dysponować, by inni ludzie nimi dysponowali, ale jak wiemy, w naszym grzesnym świecie i w naszej grzesnej naturze niestety tak idealnie nie jest. I powtórzę jeszcze dalej za myślą reformacyjną, że człowiek pozostaje zawsze grzesznikiem, ale też zawsze bywa usprawiedliwiony przez Boga i jako usprawiedliwiony może czerpać z tego Bożego miłosierdzia i przekazywać je dalej, bezinteresownie, bez myślenia o tym, co z tego będzie miał i czy nie będzie go to za dużo kosztowało.

Wolontariusze są takimi osobami, które na początku mówią „mam czas i chcę go poświęcić na coś sensownego”. Nie każdy jest jednak zdolny i przygotowany do wykonywania czasami bardzo trudnych czynności. Na przykład, towarzyszenie ludziom bardzo ciężko chorym, ludziom w depresji czy umierającym. Nie każdy jest na to przygotowany. Trzeba uczyć się, jak być wolontariuszem. Oczywiście nie jest to zadanie proste. Wolontariusze czasem proszą o zmianę przydzielonych zadań, bo nie dają rady. Moim zdaniem, jest to dobre doświadczenie, pozwalające poznać swoje możliwości, w którym kierunku mogą się rozwijać. Co będzie moją przestrzenią, w której mogą rzeczywiście coś zrobić.

Słuchając pani Renaty, myślałam sobie: „chyba nie mogłabym tak”, „nie byłoby mnie stać na to”, „nie, to byłoby dla mnie za dużo”. Dlatego z takim podziwem słuchałam. Przyznaję, że bardzo lubię pracę z osobami niepełnosprawnymi. Jest to część mojego wolontariatu. Jednak kiedy pani opowiadała o zranionych i cierpiących ludziach, to pomyślałam sobie, że ja chyba nie byłabym w stanie podjąć się takich działań. Równocześnie cieszę się, że umiem porozumieć się z osobami niepełnosprawnymi i czasami też spotykam się z pytaniami „ciągle pchasz ten wózek?” albo „ciągle rozmawiasz z tą osobą, a przecież jej nie rozumiesz, po co to robisz, na co liczysz?”. Wzruszam ramionami i mówię, że nie wiem, co z tego będzie, ale kiedy ta osoba się do mnie uśmiechnie, to myślę, że to moje działanie ma jakieś znaczenie. Nie mogę jej uzdrowić, nie mogę sprawić, żeby chodziła ani żeby jej umysł pracował tak jak osoby, która ma wysokie IQ, ale mogę sprawić, że ta osoba się uśmiechnie. Często mówię to wolontariuszom.

Przyjechała kiedyś do nas wolontariuszka z zagranicy, która nie знаła języka polskiego, ale bardzo chciała pracować w domu z osobami starszymi. Co może robić taka wolontariuszka, która nie mówi po polsku i nie może się porozumiewać z osobami, którymi ma się opiekować? Może iść na spacer, może karmić osoby tego wymagające i chyba niewiele więcej. Po jakimś czasie wolontariuszka stwierdziła, że mimo tego, że tylko chodzi z tym ludźmi na spacer, to oni się uśmiechają, cieszą się, że ktoś prowadzi je pod rękę, że mogą

wyść, a pani, którą karmi, nie mówi, a i tak wspina się ze sobą porozumiewają.

Grzegorz Polak

Dziękujemy bardzo pani Elżbiecie i prosimy o wypowiedź panią Magdę. Nie mam wątpliwości, że to, co pani robi poprzez działalność w organizacji CitizenGo, czyli uwrażliwianie na niesprawiedliwość i cierpienie, a także apelowanie o pomoc dla chrześcijan straszliwie prześladowanych w dzisiejszym świecie, jest miarą miłosierdzia. Poza osobistym świadectwem prosiłbym także o odpowiedź na pytanie, czy – pani zdaniem – my, Polacy, zdajemy egzamin z miłosierdzia, jeśli idzie o stosunek do prześladowanych chrześcijan.

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk

Bardzo dziękuję za zaproszenie mnie, razem z moim mężem, na dzisiejsze konwersatorium. Zanim odpowiem na pytanie, chciałabym podzielić się tym, czego doświadczyłam, słuchając poprzedników. Zobaczyłam, że są to ludzie szczęśliwi. Jeśli czyni się miłosierdzie, jest się człowiekiem szczęśliwym. Nie jest przypadkiem, że Światowe Dni Młodzieży w przyszłym roku odbędą się właśnie pod hasłem miłosierdzia: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią”. Dopiero tutaj, słuchając państwa wypowiedzi, zrozumiałam dlaczego. Wcześniej myślałam, że w rzeczywistości chodzi o uwrażliwienie świata na miłosierdzie, pokazanie ludziom, co ono znaczy dla świata. Teraz zrozumiałam, że papieżowi Franciszkowi i Kościołowi zależy na tym, żeby młodzi ludzie byli szczęśliwi. Jeśli rozumieją, czym jest miłosierdzie i zechcą je czynić, to owocem przyszłorocznego wydarzenia będzie to, że ta grupa młodzieży, która będzie w nim uczestniczyła, będzie miała szansę wejść na drogę miłości i miłosierdzia, czyli szczęścia.

Czy Polacy zdają egzamin? Od dwóch lat działam w organizacji CitizenGO, czyli takiej strukturze, która międzynarodowo łączy ludzi, którzy bronią takich wartości, jak życie, rodzina, wolność religijna, w tym prześladowanych chrześcijan. Staramy się bronić na



Magda Korzekwa-Kaliszuk, obok Zbigniew Kaliszuk

forum organizacji międzynarodowych tych chrześcijan, którzy są dla nas absolutnym wzorem, którzy w obliczu najgorszych gróźb i tortur nie wyrzekają się Boga. Tym chrześcijanom wysyłamy również pomoc humanitarną. Wiem, że w gronie uczestników dzisiejszego konwersatorium jest wiele osób, które brały już udział w akcjach CitizenGO, podpisując petycje skierowane do międzynarodowych organizacji, takich jak ONZ czy Rada Europy. Podpisanie takiej petycji wymaga niewiele, bo jednego kliknięcia, a może realnie pomóc tym, którzy są prześladowani. Prowadzący zapytał, czy Polacy zdają egzamin. Jeżeli oprzemy odpowiedź na liczbie osób składających podpisy pod petycjami, to rzeczywiście Polacy na tle innych krajów wyróżniają się aktywnością. Liczba osób, które już wzięły udział w akcjach prowadzonych przez CitizenGO i otrzymują wiadomości o kolejnych, to na całym świecie 3 miliony, a w Polsce 450 tysięcy. Wiele razy koledzy z innych krajów mówili mi, że Polacy są dla nich inspiracją do aktywnego działania. Jak to jest na co dzień z miłosierdziem w Polsce i okazywaniem miłosierdzia w różnych obszarach życia społecznego? Bardzo wymowne były dla nas słowa papieża Franciszka o ranach tych, którzy nie mają już więcej głosu, ponieważ

ich krzyk osłabł i zgasł z powodu obojętności ludzi, obojętności narodów i świata. Jest to wezwanie do nas, do każdego z nas, żebyśmy nie wpadali w obojętność i przyzwyczajenie, które usypia ducha człowieka. Ludzie bez miłosierdzia to są ludzie bez ducha, ludzie nie tylko nieszczęśliwi, ale też ludzie, którzy nie mają siły, aby to miłosierdzie okazywać. Nawet wobec samego siebie.

Na zakończenie chciałabym jeszcze raz odnieść się do Światowych Dni Młodzieży. Myślę, że to wydarzenie może pomóc każdemu młodemu (wiekiem lub duchem!) człowiekowi tak żyć, żebyśmy odzyskali siłę, a mówiąc metaforycznie, ducha do tego, abyśmy umieli spojrzeć z miłosierdziem na nas, na naszą przeszłość i teraźniejszość, błędy, wady, problemy i zaczęli już w teraźniejszości piękniej i mądrzej żyć, bo wtedy możemy służyć innym i wtedy będziemy szczęśliwi.

Zbigniew Kaliszuk

W odróżnieniu od pozostałej części panelistów działalnością społeczną zajmuję się trochę z doskoku, bo na co dzień pracuję w dużej międzynarodowej korporacji. Niestety, większość ludzi nie żyje tam zgodnie z wartościami chrześcijańskimi, choć spotkałem tam osoby poszukujące, jak i mocno wierzące. Uważam, że świadectwo osób wierzących jest w tym środowisku bardzo potrzebne. Kreowanie dobrych postaw jest rodzajem miłosierdzia.

Działalnością społeczną zajmuję się z potrzeby serca już poza godzinami pracy. To było i jest dla mnie bardzo ważne i zawsze czułem, że nie można w dzisiejszym świecie być obojętnym. W odróżnieniu od pozostałych gości, angażuję się w akcje o innym charakterze, mniej osobistym, ale myślę, że takie akcje też potem nabierają charakteru indywidualnego, bo angażując się globalnie, przechodzimy do działań indywidualnych. Bardzo mnie porusza to, że dzisiejszy świat oferuje bardzo wiele nieciekawych propozycji. Widzę to w korporacji, w której pracuję, w mediach, w świecie kultury, w filmach, spektaklach teatralnych. W 90% wszystkie filmy o miłości proponują parom współżycie, jeszcze długo przed ślubem, często na pierwszym spotkaniu. Świat mediów bardzo nachalnie promuje

aborcję, antykoncepcję, *in vitro*. Dawniej myślałem „co ja mogę zrobić. Jestem szarą osobą, nie mogę mieć większego wpływu na rzeczywistość”. Ale w czasie studiów zaangażowałem się w działalność Akademickiego Stowarzyszenia Katolickiego *Soli Deo*. Wtedy zacząłem odkrywać, że każdy z nas może zrobić bardzo dużo. Mimo że przez wiele lat myślałem, że nie mam jakichś specjalnych talentów i nie jestem zbyt przedsiębiorczy, okazało się, że mogę to nadrobić poprzez osobiste zaangażowanie. Co takiego mogę robić? Po pierwsze, mogę nie milczeć. Możliwości angażowania się dla zwyczajnych ludzi jest mnóstwo. Na przykład, CitizenGO organizuje różne petycje, można się do nich włączać, ale można też brać udział w organizowaniu różnych zbiórek, np. pomagać zbierać podpisy za dobrymi ustawami, można po prostu rozmawiać ze znajomymi, z rodziną, przekonywać do pewnych postaw. Opinia publiczna jest zależna od sumy takich drobnych działań. Jeśli każdy z nas przekonałby jedną lub dwie osoby do określonych wartości, to mogłoby się okazać, że w wyniku tego powstanie dobre prawo, na przykład takie, które będzie chronić życie od poczęcia do naturalnej śmierci.

Jak wspominałem, w czasie studiów zaangażowałem się w ASK *Soli Deo* i przez kilka lat byłem jego liderem. Po studiach opublikowałem kilka książek o tematyce społeczno-religijnej, wydawałem gazetę katolicką „Niecodziennik”, zaangażowałem się w projekt ustawy całkowicie zakazującej aborcji, teraz pomagam żonie w CitizenGO. Uważam, że działania na rzecz promocji wartości chrześcijańskich, a w szczególności ochrony życia, ochrony rodziny, to też jest rodzaj miłosierdzia, bo przekłada się to na życie konkretnych ludzi. Co roku w Polsce w ramach obowiązującego prawa zabijanych jest około 700 nienarodzonych dzieci. Większość z nich dlatego, że istnieje podejrzenie, iż urodzą się upośledzone. Tak jak powiedziała moja żona, miłosierdzie to jest słuchanie krzyku ludzi potrzebujących. Krzyku dzieci nienarodzonych nie usłyszymy dosłownie, ale ten krzyk jest najtragiczniejszy. Im się odbiera wszystko, całe życie. Nie będą miały możliwości doświadczenia ani smutku, ani radości, nie będą miały doświadczenia niczego, bo zostaną zabite, jeszcze przed urodzeniem. Mnie to głęboko porusza i dlatego staram się włączać w ich obronę.

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk

Bardzo dużo czerpiemy z nauki Jana Pawła II, który przypomniał, że interpretacja miłosierdzia, która polegałaby na tolerowaniu zła, jest zaprzeczeniem miłosierdzia. Papież mówił, że „wedle nauki katolickiej żadne miłosierdzie, ani Boskie, ani ludzkie, nie oznacza zgody na zło, tolerowania zła. Miłosierdzie jest zawsze związane z poruszeniem od zła ku dobru. Tam, gdzie ono zachodzi, zło efektywnie ustępuje. Gdzie zło nie ustępuje, tam nie ma miłosierdzia – ale dodajmy też: tam, gdzie nie ma miłosierdzia, nie ustąpi zło. Zło bowiem samo z siebie nie potrafi urodzić dobra. Dobro może być zrodzone tylko przez jakieś inne dobro. (...) Miłosierdzie nie akceptuje grzechu i nie patrzy nań przez palce, ale tylko i wyłącznie pomaga w nawróceniu z grzechu – w różnych sytuacjach, czasem naprawdę ostatecznych i decydujących, i na różne sposoby. Miłosierdzie Boga idzie ściśle w parze ze sprawiedliwością” (Karol Wojtyła, „Elementarz etyczny”). Słowa te pozwalają odróżnić postawę naiwności, która mogłaby być mylnie kojarzona z miłosierdziem, od postawy mądrości. Bo być miłosiernym, to dawać siebie, to kochać w najmądrzejszy sposób. Miłosierdzie to miłość, która angażuje całego człowieka. Usłyszeliśmy to od naszych przedmówców, którzy pokazali pełnię miłości, która jest takim oddaniem, że staje się miłosierdziem.

W kontekście słów św. Jana Pawła II warto podsumować, że miłosierdzie to miłość, która jest łaskawa, która nigdy nie podejmuje zła, ale rozumie całego człowieka i całą jego sytuację. Cierpienie może być niezawinione, bo może się zdarzyć, że ktoś cierpi, mimo że sam nic złego nie uczynił. Człowiek może też cierpieć w wyniku swoich błędów. Miłosierdzie sprawia, że potrafimy pomóc każdemu człowiekowi, niezależnie od tego, czy zawinił czy nie.

Grzegorz Polak

Bardzo dziękuję za wyrażone świadectwa i teraz chciałbym otworzyć drugą część naszego spotkania, czyli dyskusję i dzielenie się świadectwami słuchaczy.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałabym powiedzieć o świadczeniu miłosierdzia, które jest dostępne dla każdego z nas. Na pewno niejednokrotnie państwo zauważyli, że przed kościołem, kiedy idziecie w niedzielę na Mszę świętą, stoją ludzie, którzy proszą o pomoc i piszą, na co konkretnie ta pomoc ma być spożytkowana. W naszej parafii spotkaliśmy człowieka, który stał i prosił o pomoc na operację swojej córki. Ludzie wychodzący z kościoła wrzucali mu monety do puszki, mijając go bez słowa. Mój mąż podszedł do niego i porozmawiał z nim. Dowiedział się o jaką operację chodzi i gdzie ona będzie przeprowadzona. Ponieważ ten człowiek zbierał co tydzień, to zawsze z nim rozmawialiśmy i on nam w pewnym momencie powiedział, że już uzbierał potrzebną kwotę i że bardzo nam dziękuje za te cotygodniowe rozmowy. Mój mąż był jedynym człowiekiem, który porozmawiał z nim i dowiedział się, o co chodzi.

Drugie świadectwo pochodzi z czasów bardzo odległych. Był 1953 rok. Podobnie jak dzisiaj były trzy lata studiów pierwszego stopnia i dwa lata studiów magisterskich. Ponieważ miałam dobrą lokatę, kończąc studia pierwszego stopnia, uważałam, że bez trudności zostanę przyjęta na studia magisterskie. Niestety trzeba pamiętać, że były to w Polsce najgorsze czasy stalinowskie. W komisji kwalifikującej studentów na studia magisterskie był mój kolega ze studiów, wówczas kandydat do partii. Gdy doszło do rozpatrywania mojej osoby, powiedział, że nie mogę iść na studia magisterskie, bo jestem praktykującą katoliczką. Dla mnie to był szok. Dopiero po interwencji w Warszawie ostatecznie się dostałam i z wyróżnieniem skończyłam studia. Lata płynęły, ten kolega pracował we Wrocławiu, ja w Warszawie. Wiedziałam, że był manipulowany przez kolegę pracującego w SB. W pewnym momencie oddał legitymację partyjną. Spotkałam go 30 lat później na jakimś zjeździe naukowym. Wtedy nawiązałam z nim rozmowę, pytając, co u niego słychać. Odpowiadając, w pewnym momencie powiedział „bardzo dziękuję,

że się do mnie pierwsza odezwałaś, bo nie śmiałybym, a chciałem przez te wszystkie lata cię przeprosić”. Powiem, że do dzisiaj trudno mi mówić o tym bez wzruszenia.

Jan Zmyślony

Jestem pod wrażeniem tych wszystkich wypowiedzi i chciałbym potwierdzić, że nasze działanie rzeczywiście nabiera sensu, kiedy mamy wiarę. Gdy zacząłem poznawać Pismo Święte i gdy starałem się wdrażać w życie to, co przeczytałem, życie stało się inne. W tej chwili dziękuję Panu Bogu za każdą przeżywaną chwilę. To jest moja codzienna modlitwa. Moje życie stało się bardzo ciekawe. Gdy wychodzę z domu, jestem przekonany, że coś ciekawego mnie spotka, coś nowego i właściwie cały czas się uczę, żeby umieć się zachować, żeby każdą chwilę wykorzystać i zrobić coś dobrego. Namawiam wszystkich do tego, żeby uczestniczyć w życiu, rozmawiać z ludźmi, rozmawiać z tymi, którzy zbierają pieniądze na jakiś cel, a również z tymi, którzy żyją bardzo skromnie i się tego wstydzą. Nawet jeżeli to jest tylko rozmowa, rodzi się z niej zawsze coś dobrego.



Jan Zmyślony (na pierwszym planie)

Podzielię się z państwem jednym świadectwem. Ostatnio, nie wiem dlaczego, zostałem zaproszony do banku, gdzie zaproponowano mi pewien produkt i jak nigdy zgodziłem się, czego później nie potrafiłem zrozumieć. Ten produkt przyjąłem po dłuższej rozmowie z urzędniczką i podpisałem dokumenty. Po powrocie do domu, kiedy je przeczytałem, to mi włosy stanęły dęba, bo mało tego, że ja nic od banku nie wzięłem, to jeszcze zasponsorowałem produkt, z którego miałem mieć korzyści. A więc następnego dnia, kiedy miałem możliwość, złożyłem wniosek o anulowanie i zwrot pieniędzy. I wtedy się okazało, że jak moje pieniądze jednym kliknięciem zostały przyjęte, to zwrot trwał trzy tygodnie. Konsekwentnie rozmawiałem prawie każdego dnia z tymi ludźmi, ale skończyło się tak, że ostatecznie odzyskałem te pieniądze.

Z doświadczenia swojego życia stworzyłem „dysk rachunkowy dla człowieka” na pamięci przenośnej USB-8GB, na którym umieściłem różne ważne dla mnie nagrania i podarowałem ten dysk w banku, prosząc, aby ten dysk przekazywano sobie dalej, niech on idzie w świat. W rezultacie tego samego dnia otrzymałem wszystkie pieniądze.

Elżbieta Byrtek

Jeszcze parę słów pragnę powiedzieć o instytucji, w której pracowałam. Tak jak w Kościele rzymskokatolickim istnieje Caritas, tak w Kościele ewangelicko-augsburskim, do którego przynależę, istnieje organizacja, która nazywa się Diakonia. Jest tak, jak Ojciec Hubert wcześniej powiedział, że miłosierny Samarytanin zrobił tyle, ile mógł w stosunku do rannego człowieka, a potem przekazał go pod opiekę właściciela gospody, która dla nas może być synonimem instytucji. Wiem, że są ludzie też wśród nas, którzy uważają, że instytucja wszystko zabija, że najważniejszy jest człowiek i bezpośrednia relacja między ludźmi. W instytucji wszystko tonie w papierach, sprawach, wnioskach itd. Jednakże w świecie, w jakim żyjemy, instytucje czasami są przydatne i trzeba korzystać z ich działania. W instytucjach też pracują ludzie, którzy nie tylko wykonują swój zawód, ale bardzo często są tam z powołania. Tak myślę o ludziach

pracujących czy to w Diakoni, czy w CitizenGO, o której mówiła pani Magdalena, czy w Caritasie. Diakonia też jest taką organizacją, która wspomaga indywidualne działania ludzi, którzy szukają wsparcia w swoich działaniach miłosierdzia. Jesteśmy małym Kościołem, do którego należy zaledwie 70 tysięcy osób w Polsce. Jak wiemy, jest wiele osób potrzebujących, które wstydzą się poprosić, tak że często nie słychać ich wołania. Diakonia stara się być tą organizacją, która korzysta z pomocy wolontariuszy. Mają oni w sobie empatię, która pozwala im spoglądać w oczy ludziom potrzebującym, rozmawiać z nimi i proponować pomoc. Nie pomagają im na siłę, ale proponują domy opieki i domy pomocy dla osób niepełnosprawnych oraz stacje socjalne, które dysponują pielęgniarkami, które odwiedzają ludzi w domach. Warto wspomnieć o ekumenicznej współpracy między Caritasem, Diakonią i Eleosem Kościoła prawosławnego. Te trzy organizacje charytatywne mają wspólną akcję ekumeniczną, którą jest świeca Wigilijna, Wigilijne Dzieło Pomocy Dzieciom. Zebrane pieniądze pozwalają realizować zadania. Bez pomocy wolontariuszy byłoby to często niemożliwe. Pomagają zorganizować wypoczynek dla dzieci, wsparcie dzieci w szkole, ale też znaleźć dzieci, którym rzeczywiście taka pomoc jest potrzebna. Podobna akcja jest organizowana przed Wielkanocą. Do rozdanych papierowych skarbonek zbierają dzieci, ale też i dorośli, pieniądze przez cały Wielki Post, aby na koniec oddać zebrane pieniądze na dobry cel, jako czyn miłosierdzia.

Kiedy papież Benedykt XVI był na pielgrzymce w Polsce, to będąc w naszym kościele, Kościele ewangelicko-augsburskim Świętej Trójcy w Warszawie przy placu Małachowskiego, wygłosił przemówienie, w którym bardzo mocno podkreślił, że to, co nas wszystkich chrześcijan z różnych Kościołów łączy, to jest właśnie dobroczynność i okazywanie miłosierdzia.

Grzegorz Polak

Wcześniej zaś był w tym kościele Jan Paweł II, który powiedział, że tolerancja to za mało w stosunkach między chrześcijanami – potrzeba wzajemnej miłości. Papież przypomniał wówczas postać

wielkiego polskiego patrioty, biskupa Juliusza Burschego, który mógł uciec podczas okupacji z kraju, był namawiany do tego przez rząd polski, a jednak został świadomie, mimo że wiedział, iż los jego jest przesądzony. Biskup Bursche poniósł śmierć męczeńską. Patriotyzm jest pięknym rysem Kościoła ewangelickiego w Polsce.

Warto wspomnieć, że niedaleko miejsca, gdzie właśnie debatujemy, naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, mieszka rodzina biskupa Juliusza Burschego.

O. Hubert Matusiewicz

Cieszę się z tego przypomnienia, że miłosierdzie nie ma granic. Pragnę zaprosić państwa na ostatnią niedzielę listopada, czyli pierwszą niedzielę adwentu, do katedry prawosławnej św. Marii Magdaleny, gdzie będzie inauguracja tegorocznej akcji Wigilijnego Dzieła Pomocy Dzieciom. Jest ona organizowana już po raz 15. Taka jest tradycja, że rotacyjnie w kolejnym Kościele chrześcijańskim inaugurujemy co roku tę akcję. Uzupełniając listę wymienionych ekumenicznych działań, warto wspomnieć, że we Wrocławiu funkcjonuje ekumeniczna stacja Caritas, która zajmuje się pielęgnacją i opieką domową.

Grzegorz Polak

Skoro nie ma chętnych do zabrania głosu, czas na krótkie podsumowanie. Zobaczyliśmy podczas tego konwersatorium, że miłosierdzie ma wiele barw, zostaliśmy wzbogaceni piękną mozaiką świadków i praktyków miłosierdzia. Jak to zostało pięknie powiedziane przez panią Elżbietę, w centrum miłosierdzia stoi Bóg. Jest to fundamentalna prawda, pod którą się wszyscy podpisujemy, dopowiem tylko, że my stworzeni na Jego obraz i podobieństwo mamy być odbłaskiem, przekąźnikiem Boskiego miłosierdzia. Z kolei pani Magda pięknie powiedziała, że jeśli się czyni miłosierdzie, jest się człowiekiem szczęśliwym. Pozostaje mi więc tylko życzyć państwu bycia szczęśliwym w czynieniu miłosierdzia. Bądźmy praktykami miłosierdzia tak jak patron tej szkoły i patron pobliskiej parafii, bł. Edmund Bojanowski.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chcę powiedzieć, co będzie za miesiąc. Spotykamy się 19 grudnia, a tematem będzie „Kim jest dla mnie uchodźca, bliźnim czy zagrożeniem?”. Zapowiadam temat, bo trzeba się do niego przygotować. Każdy musi mieć swoją wizję w sercu, przychodząc na to konwersatorium.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

*Kim jest dla mnie uchodźca,
bliźnim czy zagrożeniem?*

Cytaty

Łukasz Kaźmierczak – Ciężar uchodźcy (fragmenty)

Odruch serca i gest miłości bliźniego, kontra lęk przed zamachami ze strony dżihadystów z Państwa Islamskiego. Co ostatecznie zwycięży?

Sprawa przyjęcia uchodźców z ogarniętego wojną Bliskiego Wschodu i Afryki to dziś już nie tylko kwestia humanitarna, co przede wszystkim coraz poważniejszy problem polityczny. I nie chodzi tylko o same liczby. Tak naprawdę ważne stają się inne pytania: kogo powinniśmy przyjąć pod nasz dach?

Według niedawnego sondażu CBOS ponad połowa Polaków jest przeciwna decyzji o przyjęciu przez nasz kraj 2 tys. uchodźców z Syrii i Erytrei. Tylko jak to się ma do apeli papieża Franciszka, który na każdym kroku wzywa do modlitwy za wszystkich bez wyjątku uchodźców i krytykuje te państwa, które zamykają przed nimi drzwi? Wystarczy przywołać choćby wyjątkowo mocne słowa papieża z czerwca br., kiedy stwierdził, że „te instytucje i ci ludzie, którzy nie chcą uciekinierów, powinni błagać Boga o wybaczenie”.

Papież Franciszek – Miłość jest miarą wiary 26 października 2014 r. (fragment)

Faktycznie, widzialnym znakiem, jaki chrześcijanin ma do dyspozycji, by dać światu i innym, swojej rodzinie świadectwo o miłości Boga, jest miłość braci. Przykazanie miłowania Boga i bliźniego jest pierwsze, nie dlatego, że rozpoczyna spis przykazań. Jezus nie stawia go na szczycie, ale w centrum, ponieważ jest ono jakby sercem, z którego wszystko powinno wypływać i do którego wszystko powinno wracać, i które ma być punktem odniesienia.

Już w Starym Testamencie wymóg bycia świętymi, na obraz Boga, który jest święty, obejmował także obowiązek opieki nad oso-

bami najslabszymi, takimi jak cudzoziemiec, sierota, wdowa (por. Wj 22, 20-26). Jezus wypelnia to prawo przymierza, On, który jednoczy w sobie, w swoim ciecie boskość i człowieczeństwo w jednej tajemnicy miłości.

Tak więc w świetle tego słowa Jezusa miłość jest miarą wiary, a wiara jest duszą miłości. Nie możemy już teraz oddzielać życia religijnego, pobożności od posługi dla braci, tych konkretnych braci, których spotykamy. Nie możemy już teraz oddzielać modlitwy, spotkania z Bogiem w sakramentach od słuchania bliźniego, bycia blisko jego życia, a szczególnie jego ran. Pamiętajcie o tym: miłość jest miarą wiary. Jak bardzo kochasz? I każdy sobie odpowiada. Jaka jest Twoja wiara? Moja wiara jest taka, jak miłuję. Wiara zaś jest duszą miłości.

Stanisław Grochmal – Powszechne braterstwo (fragmenty)

„Ojcie nasz ...” – tak zwracają się każdego dnia do jedynego Boga miliony ludzi na świecie, nie tylko my, chrześcijanie, katolicy. Ojcie nasz..., Ojcie mój – ale także Ojcie mojego współmałżonka, mojej teściowej, sąsiada, współpracownika; także Ojcie Rosjanina, Niemca, Ukraińca, Żyda, Araba; Ojcie niewierzącego, komunisty, liberała, Ojcie milionera i Ojcie nędzarza.

Niektórzy być może nie są świadomi wypowiedzianych słów lub raczej ich konsekwencji. Mając bowiem jednego Ojca, jesteśmy braćmi i siostrami, bez względu na rasę, pochodzenie, religię, wykształcenie czy stan materialny. Ale co to oznacza być bratem, siostrą dla drugiego? Czym jest braterstwo?

Potrzeba powszechnego braterstwa jest tak mocna we współczesnym świecie, że dążą do jego realizacji nie tylko katolicy czy chrześcijanie innych Kościołów – wyraźne jest też dążenie wśród wyznawców innych religii oraz pomiędzy ludźmi dobrej woli. Natomiast przesłanie chrześcijaństwa daje szczególny paradygmat braterstwa, ukazuje wzorzec *bycia bratem*: widzieć w bliźnim Jezusa i tak jak On kochać drugiego bezinteresownie.

Marcin Jakimowicz – O tym się nie mówi
„Gość Niedzielny”, 29 listopada 2015 r. (fragment)

Kręciłem głową, gdy o. James Manjackal opowiadał, że w Bahrajnie ochrzcił jednego dnia 3636 wyznawców islamu. Podobnie gdy ks. Gottfried Martens z Berlina mówił, że ma w swej wspólnotcie już 500 konwertytów z islamu.

14 listopada na Europejskim Spotkaniu Wspólnot w słowackim Popradzie Johannes Fichtenbauer, diakon z archidiecezji wiedeńskiej, opowiadał o rosnącej z dnia na dzień liczbie muzułmanów przyjmujących chrzest.

I jeszcze: Leif Hetland, Norweg, którego misją jest... ewangelizacja muzułmanów. Zaczęło się od prorocstwa. On sam nie szukał tej misji. Co więcej: czuł „medialną” niechęć do wyznawców islamu. W pewnym momencie usłyszał prorocstwo. Jedna osoba powiedziała mu: „Zobaczysz milion muzułmanów przychodzących do Jezusa”. To była dziwna myśl, bo nie znał żadnego muzułmanina i mówiąc szczerze nie lubił ich. Nikomu nie mówił o tym prorocstwie. Gdy po jakimś czasie usłyszał od innej osoby: „Leif, widzę ponad milion muzułmanów, widzę nowy ruch misyjny”, dał za wygraną. Rok później był już w Pakistanie. Jak wspomina „Bóg łamał we mnie mentalność zastraszonego niewolnika i obdarowywał poczuciem Bożego synostwa. Dziś wiem, że jego miłość usuwa lęk”.

KONWERSATORIUM LXXXIII

(19 grudnia 2015)

**Kim jest dla mnie uchodźca,
bliźnim czy zagrożeniem?**

Prowadzący: Ks. **Adam Zelga**, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; O. **Mariusz Batuzi**, Ojcowie Biali, Zgromadzenie Misjonarzy Afryki; O. **Zygmunt Kwiatkowski**, SJ; **Shadi i Lady Kassis**, syryjscy chrześcijanie, Stowarzyszenie „Dom Wschodni – Domus Orientalis”; **Zeinab Hashmat-Makowska**, pół-Egipcjanka, pół-Polka, specjalista PR.

Ks. Adam Zelga

Witam serdecznie na kolejnym Konwersatorium, tym razem poświęconym uchodźcom. Moim zadaniem jest krótkie wprowadzenie. Uważam, że 11 września 2001 roku zaproponowano światu scenariusz, który konsekwentnie jest realizowany. Alternatywną propozycją jest scenariusz miłosierdzia. Te scenariusze zderzają się ze sobą i dalej będą się zderzać, bo oba są radykalne. Od nas zależy, który wybierzemy...

W Polsce, w różnych środowiskach, toczy się dyskusja – przyjmować czy nie przyjmować uchodźców. Gdybym miał wyrazić swoje zdanie, powiedziałbym – absolutnie tak dla syryjskich chrześcijan. Z wielu powodów. Po pierwsze dlatego, że jesteśmy chrześcijanami i wiemy, co nas łączy. Po drugie, z doświadczenia Polski wielokulturowej wynika, że obrządki chrześcijańskie, które pojawiały się w Polsce, zawsze wzbogacały naszą kulturę. Takie doświadczenia mieliśmy ze Lwowa i Wilna, i z innych miast kresowych sprzed drugiej wojny światowej. Nie jestem natomiast



Paneliści: od prawej Ks. Adam Zelga, O. Mariusz Batuzi, Zeinab Hashmat-Makowska, Lady Kassis, O. Zygmunt Kwiatkowski, Shadi Kassis

entuzjastą zapraszania do naszego kraju wyznawców islamu – z prostego powodu, że Polska nie ma doświadczenia z tego zakresu. Kraje zachodnie poprzez kolonie współgzystują z muzułmanami od wielu dziesiątków lat, więc mają doświadczenie i przemyślenia, których my nie mamy.

I ostatnia uwaga. Wydaje mi się, że pojawiły się takie dwie tendencje: poprawna politycznie – ponieważ przychodzą, należy ich przyjmować, a druga – pomagać tam, skąd przychodzą. Obie jakby zawisły w próżni. W Polsce – poza Kościołem – brak inicjatyw. Kościół organizuje ciągle *Pomoc Kościołowi na Wschodzie*, zbieramy na pomoc Syrii czy Libanowi. Oprócz Caritasu nie ma wielu inicjatyw, jak pomóc ludziom, abstrahując od ich wyznania, którzy koczują gdzieś u granic Europy w namiotach. Idzie Boże Narodzenie, u nas są piękne akcje, Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, Szlachetna Paczka, ale nikt nie myśli, że można byłoby zrobić „szlachetną paczkę” albo „zagrać” dla tych, którzy koczują u wrót. W tym zakresie mamy mało wyobraźni. Jeżeli serio traktować propo-

zycję zapraszania chrześcijan syryjskich do Polski, to – moim zdaniem – powinny na miejscu w Syrii czy obozach uchodźców pracować nasze służby, które będą rozpoznawały warunki i oczekiwania ludzi, by być przygotowanym na ich przyjazd. To tyle, by włożyć kij w mrowisko i zaprosić państwa do rozmowy...

O. Mariusz Batuzi

Kiedy proszono mnie o świadectwo na temat, kim jest dla mnie uchodźca, bliźnim czy zagrożeniem, czy ogólnie na temat uchodźców, pomyślałem, że może posłużyć moje doświadczenie życia w Algierii. Pojechałem tam w 2007 roku jako misjonarz, Ojciec Biały, aby pracować tam w kraju położonym na południe od Morza Śródziemnego, i wróciłem w czerwcu tego roku, czyli z siedmioletnim doświadczeniem. Czy tam miałem jakiś kontakt ze światem uchodźców? Spotkałem trzy grupy uchodźców. Grupą najliczniejszą są ci, którzy przekraczają Saharę różnymi środkami transportu z podrórnikowej Afryki, dążąc do „twierdzy” zwanej Europą. Przejeżdżają przez Algierię, która ma ponad 2 tysiące kilometrów rozciągłości z południa na północ. Zajmuje im to wiele dni, tygodni, a nawet miesięcy, niektórzy nawet pozostają w Algierii przez lata, zanim uda im się przedostać przez Morze Śródziemne do Europy.

Drugą grupą jest ta, którą uważałem w Algierii zaraz po wybuchu konfliktu w Syrii. Na ulicach Algieru pojawili się uchodźcy z Syrii, którzy zostali przyjęci przez Algierię. Część z nich była szczęśliwa, bo udało im się znaleźć lepsze warunki do życia, lecz niektórzy znaleźli się na ulicy. Stojącym na skrzyżowaniu ulic i proszącym o pieniądze Al-



O. Mariusz Batuzi

gierczycy dawali je, a gazety dużo pisały, co można robić, żeby Syryjczyków przyjąć i jak można im pomóc. Algierczycy mają długą tradycję pomagania Palestyńczykom jako uchodźcom.

Trzecią grupę stanowią sami Algierczycy, którzy mimo że są w swoim kraju, chcą z niego wyjechać, szczególnie do Francji, która jawi się im jako „ziemia obiecana”. Jednak bardzo trudno jest wyjechać Algierczykom z Algierii. Funkcjonuje termin *haraga*, czyli spalony, ten, który nielegalnie przekracza granicę i udaje się do Europy przez Libię lub Maroko. Jeżeli złapie go straż graniczna, jest karany i zamykany w więzieniu.

Jaki kontakt miałem z tym światem? Pojechałem jako misjonarz, więc najwięcej widziałem tych imigrantów w Kościele. W 1962 roku wyjechało z Algierii ponad milion Francuzów. Opustoszały ulice, opustoszały kościoły i instytucje, które były prowadzone przez Kościół. Teraz w bazylikach czy w katedrach te puste miejsca wypełniają się chrześcijanami, którzy przyjechali z Kamerunu, z Mali, czy z Burkina Faso i, idąc do Europy, chcą też się modlić. A ponieważ – tak jak już wspominałem – ta droga zajmuje im nawet parę lat, są jedynymi chrześcijanami, którzy przebywają obecnie w Algierii. Po przekroczeniu granicy z Mali albo z Nigrem część z nich zatrzymuje się w Tamanrasset, gdzie jest kościół wybudowany przez Karola de Foucauld ponad sto lat temu. Jeszcze pięć lat temu głównym zajęciem tamtejszej wspólnoty Małych Braci od Jezusa było przyjmowanie turystów z Europy, którzy przyjeżdżali, aby przeżyć doświadczenie najczęściej tygodniowego życia na pustyni – doświadczenia Karola de Foucauld. Obecnie ze względu na brak bezpieczeństwa już nikt nie przyjeżdża z Europy, a miejsce to zostało wypełnione uchodźcami z podrównikowej Afryki. W domu wybudowanym dla turystów, w nowej sytuacji brakowało osoby, która mogłaby się opiekować domem. Podjęła się tego rodzina, która wcześniej chciała jechać do Europy, ale zdecydowała się zostać i zaopiekować się domem. Teraz są tam gospodarzami. Otrzymali pomoc z naszej strony, gdyż widzieliśmy, że jej potrzebują. Teraz stali się dla nas czymś więcej niż tylko bliźnimi, stali się naszymi współpracownikami, a może nawet powinno się powiedzieć, że na-

szymi braćmi. Nas, białych Europejczyków, już tam nie ma, nikt nie przyjeżdża z Europy, jest mniejsza liczba misjonarzy, a oni opiekują się tym miejscem, są tymi, którzy przejęli misję, którą europejscy misjonarze zainicjowali ponad sto lat temu.

Wszyscy Algierczycy, z którymi miałem kontakt, mają jedno marzenie – by wyjechać do Europy. Wierzą, że da im to szczęście. Najszerszy kontakt z Algierczykami miałem przez naszą instytucję, bibliotekę i centrum studenckie, gdzie na dziesięciu zapisanych studentów dziewięć to były Algierki. Na uniwersytetach algierskich 66% to kobiety. Pewnie zapytacie dlaczego? Dzięki temu, że edukacja jest darmowa, można tam studiować, ile się chce. Kobiety wierzą, że przez edukację uda się im poprawić swoją sytuację, a część z nich ma za cel wyjechać do Europy na dalsze studia. Jest ich ogromna liczba. To są tacy uniwersyteccy uchodźcy. Studia są środkiem do tego, żeby legalnie wyjechać z Algierii. Jest to łatwa droga, bo Francuzi dają im chętnie wize. Oferta ministerstwa edukacji we Francji jest bardzo poważna. Widzi nadzieję w tych, którzy przyjadą i podejmą dalsze studia we Francji. Jest to proces wyłapywania z Algierii najwartościowszej grupy społecznej.

Zeinab Hashmat-Makowska

Urodziłam się w Egipcie, ale od ósmego roku życia mieszkam w Polsce i tutaj się wychowywałam. Jestem więc pół-Egipcjanką, pół-Polką. Miałam takiego pecha, że moją rodzinę można było podciągnąć pod wizerunek stereotypowej rodziny mieszanej, z ojca Araba, muzułmanina, i matki Polki, chrześcijanki, gdzie przemoc była na porządku dziennym. Zawsze sobie tłumaczyłam, że posiadanie takiego ojca i doświadczenie, które mam z nim związane, nie powinny zamknąć mnie na kulturę arabską, na moich cudownych znajomych, których mam z różnych stron świata arabskiego, z Libanu, z Syrii, a tak naprawdę zewsząd, i jest to wspaniała kultura, którą trzeba poznawać i się nią dzielić. I tak jak w Europie, gdzie każdy kraj ma swoje tradycje, doświadczenia i historię, tak samo jest z krajami arabskimi.



Zeinab Hashamat-Makowska, obok O. Mariusz Batuzi

Jeżeli chodzi o uchodźców, to uważam, że ważny jest język, jakim się o nich mówi. Prezes fundacji Wolna Syria powiedział, że według niego problem uchodźców leży nie w nich samych, ale w słownictwie, które sugeruje, że jest się czego bać, oraz na podejmowaniu tematów, które niepokoją ludzi, a niekoniecznie przedstawiają właściwie sytuację. Na przykład, jest takie określenie „następna fala uchodźców zalewa Europę”. Słowa takie jak „fala uchodźców” powodują, że człowiek przestaje podchodzić do nich racjonalnie, tylko od razu się boi. Wydaje mi się, że media tak to kreują. Brakuje takich spotkań jak dzisiejsze, gdzie się wyjaśnia ludziom, pokazuje sprawę z różnych stron. Wiadomo, że w każdej kulturze czy religii najgorszy jest fanatyzm. Gdy rozmawiam ze znajomymi, to zawsze mówię, że nie każdy Arab to muzułmanin, nie każdy muzułmanin to Arab, a co najważniejsze – nie każdy muzułmanin to terrorysta, ponadto nie każdy terrorysta jest muzułmaninem. Ludzie, którzy się podszywają i wykorzystują religię do zabijania niewinnych ludzi, prawdziwymi ludźmi nie są. Nie można ich utożsamiać z żadną religią.

Żadnego człowieka, który czyni zło, podszywając się pod religię, nie można traktować jako prawdziwego wiernego, bo żadna religia nie nakłania do tego, żeby zabijać. Mam wielu przyjaciół muzułmanów, Arabów i wszyscy są przerażeni zaistniałą sytuacją, bo nie tylko chrześcijanie są terroryzowani, ale muzułmanie też, którzy nie tak interpretują Koran, jak chcieliby tego fundamentaliści, którzy w dużej mierze mają wyprane mózgi, którzy właśnie go źle interpretują, którzy myślą, że za każdego zabitego niewiernego (w ich mniemaniu) będą mieli życie wieczne. Moja rodzina i nasi przyjaciele tak samo się zastanawiają, co dalej. Są to ludzie, którzy mieszkają u siebie w kraju, którzy żyli religią, ale nikomu jej nie narzucali, a obecnie są przerażeni. Wydaje mi się, że wszyscy jesteśmy ofiarami terrorystów i że z tym trzeba walczyć, a nie tak – jak mówią media – walczyć z napływem uchodźców. Trzeba znaleźć jakieś wyjście, jakiś sposób integracji, wyrównania szans.

Ks. Adam Zelga

Pozwolę sobie *ad vocem*... Po pierwsze, mam taką smutną refleksję, że kultura europejska ze swym kryzysem religijnym nic nie dała ludziom, którzy tu osiedli, skoro stają się terrorystami i wyjeżdżają do tzw. Państwa Islamskiego. Problem uchodźców jest więc także kwestią naszej tożsamości, tożsamości korzeni europejskich, z całą wyrazistością chcę to podkreślić. I druga uwaga – jeżeli mielibyśmy przyjąć kogokolwiek, na przykład wszystkich syryjskich chrześcijan, musimy się do tego przygotować. Są potrzebne programy, które dadzą poznać obrządki syryjskie, należałoby zaprosić duchownych syryjskich, by opowiedzieli o swoim Kościele, niechby była w telewizji transmisja chrześcijańskiej syryjskiej Mszy, można wysłać ekipy filmowe do Syrii, żeby nakręcać filmy o tamtej obyczajowości, wystąpić z tezą, że my chrześcijan syryjskich przyjmujemy nie tylko ekonomicznie, bo wtedy oni uciekną do swoich braci do Francji, Niemiec czy Holandii, tylko na płaszczyźnie duchowej, na płaszczyźnie chrześcijańskiej. W tym zakresie mamy coś do zaoferowania. Tylko nie ma takich programów i to jest dramat.

Alina Kozińska-Bałdyga (Federacja Inicjatyw Oświatowych)

Powinniśmy sami zacząć działać. Dwa tygodnie temu napisałam list do mojego proboszcza z prośbą o odpowiedź, czy w mojej parafii coś się zaczyna dziać w sprawie przyjmowania uchodźców. Znam osoby, które już przyjmują uchodźców, i takie, które zgłaszają w rozmowach gotowość pomagania. Wiem, że np. w Krakowie jest zorganizowane środowisko działające na rzecz programów edukacyjnych o uchodźcach i migrantach. Także w Warszawie szereg organizacji pozarządowych pracuje nad tym, aby szkoły były lepiej przygotowane do przyjmowania uchodźców. W związku z tym oczekuję od Kościoła, że przemieni tę ogromną atmosferę lęku i powie za świętym Janem Pawłem II „Nie lękajcie się”.



Alina Kozińska-Bałdyga

Jestem z wykształcenia archeologiem, w związku z tym wiem, że w historii świata cały czas były wędrówki ludów. Wszyscy jesteśmy w pewnym stopniu potomkami migrantów. Polacy byli uchodźcami wielokrotnie. Moja rodzina wyszła z ZSRR z armią Andersa. Mój wuj i ciotka przeżyli dzięki maharadży Jam Saheb Digvijay Sinhji z Navanagar, z zachodnich Indii, który, nie będąc chrześcijaninem, przyjął pięć tysięcy polskich dzieci i uratował je, zapewnił im opiekę, naukę i także lekcje religii. Obecnie jest patronem szkoły na ul. Raszyńskiej w Warszawie. Czuję się zobowiązana do tego, żeby w tej chwili zacząć działać.

Wspomnę pewne osobiste doświadczenie. Studiowałam z kolegą z Libanu, to był muzułmanin. Pamiętam z nim rozmowę w czasie praktyk studenckich. To była moja pierwsza lekcja ekumenizmu,

którą dostałam od muzułmanina. On mi wtedy powiedział: „jestem muzułmaninem, ty jesteś katoliczką. Bóg jest niewyobrażalnie wielki. Nikt z nas nie jest w stanie ogarnąć Boga. Ludzie mają religie, które tak naprawdę są tylko szatami niewyobrażalnie wielkiego Boga. Kłóć się o te szaty, a nie widzą, że za tymi szatami jest wielki Bóg, który jest miłością”. Pamiętając o tej rozmowie, przyjmę rodzinę, wszystko jedno – muzułmańską czy chrześcijańską, nie będę pytała.

Jeżeli ktokolwiek zapuka do moich drzwi w dniu wigilijnym, otworzę i powiem „siadajcie”. Zawsze mamy puste nakrycia i przychodzą różni, którzy je zajmują, zawsze możemy dostawić talerzy i stołów. Apeluję, abyśmy się zaczęli organizować. Polacy zawsze to umieli w trudnych momentach i, moim zdaniem, to jest w tej chwili potrzebne. Papież Franciszek powiedział „Niech każda parafia przyjmie”. Przed chwilą zaczęliśmy rozmawiać z moim sąsiadem, ile jest parafii w Polsce i w związku z tym ile jesteśmy w stanie przyjąć, tylko realizując to, co powiedział papież Franciszek. Róbmy, organizujmy się. Nie czekajmy na tych na górze. Oni kłóć się między sobą, a my jesteśmy obywatelami tego kraju i to jest nasz kraj. Przygotujmy go na przyjęcie uchodźców, którzy po prostu potrzebują w tej chwili domu, warunków do życia, a przede wszystkim ludzkiego serca.

Lady Kassis

Od miesiąca jestem w Polsce. Mam na imię Lady. Przyjechałam tutaj z moim mężem Shadim z powodu wojny. Opuściliśmy swój kraj, chociaż nie chcieliśmy tego, bo go kochamy. Od pięciu lat trwa wojna i my nie mamy pracy. Dobrze się czuliśmy w naszym kraju, ale teraz zapanowała bieda i strach. Dlatego przyjechaliśmy do Polski, kiedy nadarzyła się okazja, żeby żyć w pokoju, bo pokój jest bezcenny. Mieszkamy w Damaszku w dzielnicy, która nazywa się Żaromana. Tam jest nieustannie groźba, że spadnie pocisk na nasz dom, bo każdego dnia spadają wokół pociski. Równocześnie narasta agresja wobec chrześcijan i groza wojny. Naszymi wrogami otoczone są miasta, tak jak i nasza dzielnica. Coraz bardziej czuliśmy, że to już nie jest nasz kraj. Wprawdzie jestem od miesiąca w

Polisce, ale moja rodzina jest tam na miejscu. Oni cierpią biedę. Nie ma prądu, nie ma wody, życie jest niesłychanie trudne bez tych podstawowych środków do życia. W tej sytuacji wielkim problemem jest zima. Wprawdzie lata są tam gorące, ale zima przy braku ogrzewania jest okropna. Syria produkuje ropę naftową, ale obecnie jest ona niedostępna dla mieszkańców. Jest bardzo droga.



Lady Kassis, obok O. Zygmunt Kwiatkowski

Czuję się bezradna. Nasz kraj jest otoczony wrogami, którzy nas atakują, a równocześnie od dłuższego czasu mamy poczucie, że nikt się nami nie interesuje, że jesteśmy sami, a to już piąty rok i wydaje się, że tylko modlitwa może nas uratować. Potrzebujemy znaków więzy z zewnątrz, że nie jesteśmy całkowicie osamotnieni. Wojna bardzo silnie oddziałuje na naszą psychikę, ponieważ cały czas jesteśmy zagrożeni. Zagrożeń jest wiele, przez pociski, które mogą spaść na nasze domy, przez wybuchające bomby na ulicy lub samochody naładowane środkami wybuchowymi, porwania dla okupu lub zabieranie z ulicy i wcielanie do wojska młodych ludzi, którzy już byli w wojsku. Upadły wszelkie perspektywy, nikt niczego nie

planuje, wszystko się skończyło, brak jakichkolwiek możliwości, umarła nadzieja. Dlatego postanowiliśmy z Shadim, że skorzystamy z pierwszej okazji, jaka się pojawi, żeby opuścić ten kraj i żebyśmy jeszcze mieli jakąś przyszłość w naszym życiu.

Shadi Kassis

Chciałbym, żeby świadectwo tego, co przez pięć lat przeżywamy w Syrii, spowodowało jakąś reakcję, żeby był jego namacalny odźwięk. Chciałbym, żeby to, co mówimy, było odpowiedzią na wasze pytania, które macie w sobie i z którymi tutaj przyszłście.

Syria jest związana z kulturą chrześcijańską i z historią Kościoła.



Shadi Kassis (z mikrofonem) obok O. Zygmunt Kwiatkowski

Św. Paweł, jego nawrócenie miało miejsce w Damaszku. Mam przekonanie, że w czasie poprzedzającym wojnę współżycie między chrześcijanami i muzułmanami odbywało się w atmosferze dużego kłamstwa. Byli przyjaciółmi, żyli jak przyjaciele, ale kiedy Alkaida napadła na nasze miasto, to wówczas ci, którzy żyli z nami w przyjaźni, muzułmanie, zwrócili się przeciwko nam jako nasi wrogowie. Mieliliśmy doświadczenie, że ci sami ludzie, którzy mówili, że islam jest religią pokoju, i byli przyjacielscy i życzliwi, w pięć minut stawali się wrogami i uważali, że słusznie wygania się chrześcijan. Teraz moi

przyjaciele, chrześcijanie, boją się muzułmanów, którzy są w całej Europie. Mam znajomych w Niemczech, w Holandii, we Francji i wszyscy mówią, że uciekliśmy od islamu, a tutaj znów znajdujemy się w ich otoczeniu i jesteśmy przez nich źle widziani jako chrześcijanie arabscy. Moje dobre stosunki z muzułmanami zniszczyła wojna, podczas której ujawniła się ich wrogość w stosunku do nas. Obawiam się teraz Islamu i to jest tak jak ukryty wirus, który może się rozwinąć. Wyjechaliśmy z Syrii, chociaż to jest nasz kraj i chcielibyśmy tam pozostać. Zostaliśmy do tego zmuszeni. Wybraliśmy Polskę, bo słyszeliśmy, że tutaj życie dla chrześcijan jest bezpieczniejsze. Czujemy się jak wyrwane rośliny, które szukają ziemi, w której mogłyby zapuścić korzenie. Inaczej zginą. Nie sądzicie, że jestem ekstremistą. Jestem człowiekiem otwartym. Zwiedzałem Europę, byłem i pracowałem w Hiszpanii. Jestem z wykształcenia muzykiem i uczyłem tam muzyki w szkołach wyższych. Jestem zwolennikiem dialogu, ale dialogu z kimś, kto chce ten dialog podjąć. Natomiast z tym, kto odrzuca dialog i kieruje się przemocą, nie ma możliwości prowadzenia dialogu. Jestem przerażony tym, co się stało w świecie i w moim kraju, że wyjątkowo udane i przyjazne stosunki między chrześcijanami a muzułmanami mogły się tak łatwo zmienić pod wpływem ekstremizmu muzułmańskiego. Boli mnie serce, że w Syrii, którą zamieszkiwało dwa miliony chrześcijan, a teraz zaledwie 800 tysięcy, z każdym dniem ich ubywa ze względu na prześladowania. Niepokoiśmy się też o nasze rodziny, które tam pozostały. Chciałbym pomóc moim rodzicom, ale w tej chwili nie mogę. Pragnę też, żeby świat pomógł tym, którzy zostali tam w Syrii, w tym piekle wojny. Nigdy nie myśleliśmy, że będziemy uciekinierami, że będziemy potrzebować cudzej pomocy i jak pani mówiła, że ma mieszkanie i pracę, to my jesteśmy pierwsi, którzy ich potrzebujemy.

O. Zygmunt Kwiatkowski SJ

Trzydzieści lat spędziłem w Syrii, planując wyjazd do Ameryki Południowej. Studiowałem we Włoszech. Wysłano mnie do Syrii *ad experimentum*. I dopiero wojna sprowadziła mnie z powrotem do Polski.

Temat Konwersatorium mówi o uciekinierach: „uchodźca, bliźni czy człowiek, którego powinienem się obawiać”. Dla mnie zarówno uchodźca jest bliźnim, jak i przyjmujący go Polak jest bliźnim. Ktoś, kto mówi po arabsku, jest bliźnim tak samo jak ktoś mówiący innym językiem. Stary czy młody, nawet ten, kto odnosi się do mnie wrogo, też jest moim bliźnim. Bliźnimi są na przykład Shadi i Lady, których przed paroma dniami poznałem.

Na marginesie powiem, że Shadię kiedyś spotkałem w klasztorze Mar Musa, leżącym na pustyni. Pięknie grał na fujarce i żałuję, że nie wziął jej ze sobą tutaj. Dałby państwu próbkę tego, co umie.

Shadi i Lady prosili mnie, abym powiedział o Syrii. Przede wszystkim muszę powiedzieć, że przez trzydzieści lat pobytu w tym kraju ani razu nie zaznałem tam jakiegokolwiek nieprzychylniej czy gwałtownej reakcji w stosunku do mojej osoby. Nigdy nie spotkałem się z przemocą, a teraz kraj ten jest synonimem przemocy. Przez trzydzieści lat, ani w nocy ani w dzień, gdziekolwiek byłem w Syrii, ani razu nikt mnie nie zaatakował, nawet słownie. Owszem, były różnice zdań, ale nic ponadto. Nigdy nie przerodziła się ona we wrogość.

Teraz wróciłem do kraju z powodu wojny, o której sami wiecie, że jest przerażająco okrutna i przyniosła wielkie cierpienia milionom ludzi. Szokujący był, na przykład, film wideo z egzekucji dwudziestu jeden młodych Koptów, a więc egipskich chrześcijan, którzy byli żonaci i mieli małe dzieci, które na nich czekały w domach. Zostali uprowadzeni i uwięzieni, a następnie zmuszani do przyjęcia islamu. Grożono im śmiercią, jeżeli nie przyjmą „prawdziwej religii”. To był dla nich jedyny sposób ratunku i możliwość powrotu do swoich rodzin. Oni mimo wszystko pozostali przy wierze chrześcijańskiej i dlatego zostali wyprowadzeni na morską plażę, aby na jej piasku, jak starożytni męczennicy chrześcijańscy na piasku aren cyrkowych, oddać życie za wiarę. Egzekucji dokonali na czarno ubrani terroryści islamscy, każdy mordował swoją ofiarę, która musiała do tej egzekucji uklęknąć, a sama egzekucja polegała na podeźnięciu gardła i odcięciu głowy. Młodzi Koptowie byli spokojni, niektórzy szeptali modlitwy.

W bardzo krótkim czasie Kościół koptyjski wpisał ich do Księgi Męczenników, uznając za świętych tego Kościoła. Wzruszające były relacje z tego, jak przeżyły tę tragedię ich rodziny. Niezwykle było uduchowanie tych ludzi. Nawet mały chłopiec, ukrywając łzy, z dumą mówił o tacie, który jest bohaterem wiary.

W Syrii obecnie dzieją się rzeczy wyjątkowo podłe. Trudno to inaczej określić, jeśli na ulicy można się stać ofiarą uprowadzenia dla wymuszenia okupu od rodziny, która zwykle nie posiada takiej sumy pieniędzy, jakiej żądają bandyci, i trzeba się zapożyczać, nie mając pewności, czy po zapłaceniu tego okupu porwany człowiek powróci czy też nie. Ta zbrodnicza plaga obejmuje cały kraj ogarnięty wojną.

Byłem bardzo szczęśliwy, pracując w Kościele syryjskim. Jest to Kościół bogaty w tradycje sięgającą pierwszych wieków chrześcijaństwa. Znajdują się tam wszystkie antyczne obrządki, w których z wielką żarliwością sprawowana była Eucharystia. Tutaj, jak mówią o tym Dzieje Apostolskie, Szaweł stał się Pawłem. Przybył on do Damaszku po to, aby aresztować znajdujących się tam chrześcijan. Będąc jezuitą obrządku łacińskiego, miałem tę radość, że mogłem odprawiać Mszę świętą też w innych obrządkach: w bizantyjskim czy w maronickim. Przychodzili do naszego centrum duszpasterskiego chrześcijanie różnych obrządków, nie obawiając się prozelityzmu z naszej strony. Uczestniczyli oni w prowadzonych przez nas rekolekcjach i konferencjach, brali udział w prowadzonej przez nas formacji, byli członkami różnorodnych grup i wspólnot – nie tracąc więzi ze swoim macierzystym Kościołem. Na przykład, obecny tutaj Shadi jest obrządku syriacko-katolickiego, a Lady jest wierną prawosławną obrządku bizantyjskiego.

W 2010 roku był zwołany na Cyprze Synod Biskupów, który zajął się Kościołem na Bliskim Wschodzie. To był w zasadzie ostatni dzwonek, przed tzw. wiosną arabską, która wybuchła krótko potem. Biskupi z całego świata na tym synodzie wystąpili z orędziem, że ten Kościół nie jest wprawdzie liczny, ale jest to bardzo ważny Kościół naszych wspólnych korzeni. Jest to bowiem ziemia, na której znajduje się Betlejem, Jerozolima, Damaszek, Antiochia... Po dziś dzień jest tam wiele zabytków chrześcijańskich. W regionie

Aleppo znajduje się szereg wzgórz, gdzie znajdują się dobrze zachowane ruiny kamiennych świątyń chrześcijańskich i klasztorów. Dzisiaj są one świadomie dewastowane. Znikają na naszych oczach i najczęściej się tego nie widzi albo nie chce się tego dostrzec. Kościół w Iraku, zakładany przez uczniów Apostołów, praktycznie już nie istnieje. Chrześcijanie są w obozach w Kurdystanie jak w rezerwacie, w jednej enklawie.

Drugi punkt synodu biskupów mówił, że chrześcijanie domagają się prawa równego traktowania z muzułmanami, jako pełnoprawni obywatele tego samego kraju. Niestety wojna, która się toczy między sunnitami i szyitami, tragicznie zwróciła się przeciwko chrześcijanom. Jednym z pierwszoplanowych celów dżihadystów stało się nawrócenie siłą chrześcijan na islam albo wygnanie ich z regionu Bliskiego Wschodu.

Tak jak Europa wspomaga przybywających do niej muzułmańskich uchodźców, szanując ich religię, tak powinno się szanować chrześcijan na Bliskim Wschodzie. Zasada wzajemności jest bardzo ważna i powszechnie rozumiana. Dziwne, że Europa jej nie stosuje. Kiedyś zgłoszono wniosek, aby wybudować meczet w Atenach. Grecy nie odmówili tej prośbie, ale postawili warunek wzajemności: „bardzo chętnie, będziecie mieli meczety tak jak we Francji, Niemczech czy innych państwach europejskich, ale pozwólcie wybudować kościół dla miliona chrześcijan, którzy pracują w Arabii Saudyjskiej, aby mogli się modlić. Pozwólcie, żeby też mogli swobodnie czytać Biblię i nie aresztujcie ich, jeśli zobaczycie na ich szyi krzyżyk”. Nie doszło do tej umowy. Arabia Saudyjska nie chciała się na to zgodzić.

Świat zachodni milczy, a muzułmanie widzą w tym brak szacunku dla własnej religii i mówią sobie, dlaczego w takim razie oni mieliby tę religię szanować? Jeżeli likwidują choinki, żeby nie urazić religijnych uczuć gości, to znaczy, że oni uznają religię gości za wyższą i normalną jest zatem sprawą tę wyższość manifestować.

Bardzo bolesna dla chrześcijan w Syrii jest istniejąca w Europie zmowa milczenia na ich temat. Jeżeli się pojawi jakaś wiadomość, to tylko epizodycznie, na krótką chwilę, gdzieś na marginesie wiadomości i szybko znika. Odnosi się wrażenie, że chodzi tylko o pre-



Słuchacze

tekst, że gdyby ktoś chciał kwestionować pluralizm mediów, to można by wówczas udowodnić, że tak wiadomość zaistniała medialnie, ale niestety wyłącznie jako dowód na marginalizację zainteresowania ich losem przez media.

Ważne jest, aby wiedzieć, że przed obecną wojną chrześcijanie w Syrii świetnie sobie dawali radę, mimo że nie mieli w stu procentach wszystkich praw, jakie posiadali muzułmanie. Ich życie jednak było godne, bezpieczne, ustabilizowane. Cieszyli się szacunkiem, gdyż było widać ich staranie, aby głównie dzięki położeniu nacisku na naukę osiągnąć wyższy status społeczny. W Syrii chrześcijanie byli i są procentowo lepiej wykształceni od muzułmanów, więcej jest wśród nich lekarzy, prawników i inżynierów.

Obecnie wszystko się im wali. Muszą opuszczać domy, nieraz w ciągu jednej nocy muszą uciekać z nich tylko dlatego, że są chrześcijanami.

Kilka razy odwiedziła Polskę Myrna Nazour, mistyczka, której byłem tłumaczem. Za każdym razem wykorzystywała sytuację, aby powiedzieć, że pragnie tej Syrii, jaka była, jeśli chodzi o relacje między muzułmanami i chrześcijanami, gdzie obie strony szanowały

swoją przynależność religijną. Nie kryło się, jak to lansuje kultura multi-kulti, własnej przynależności religijnej. Religia traktowana jest jako ważny wymiar ludzkiego życia, dlatego nie można jej ukrywać, bo wówczas relacje stają się niepełne, naznaczone oczywistym brakiem. Bogatsze, o wiele głębsze są relacje tam, gdzie istnieje harmonia między wyznawcami różnych religii. Zyskuje na tym kultura i poziom życia społecznego.

Obecnie sytuację chrześcijan w Syrii można porównać do osamotnienia Chrystusa, jakie było Jego udziałem podczas krzyżowej męki na Golgocie. Nadzieja też w Krzyżu, bo dla chrześcijanina jest on znakiem nie tylko męki, ale przede wszystkim Zmartwychwstania.

Ks. Adam Zelga

Dziękuję za to dramatyczne świadectwo. Nadal pozostaję przy swoim zdaniu, że jeżeli w Polsce mamy przyjmować uchodźców, to przede wszystkim syryjskich chrześcijan. Zarówno prywatne osoby, jak i struktury rządowe powinny już pracować, by być gotowe na ich przyjęcie.

Dyskusja

O. Mariusz Batuzi

Wspomniałem o moim doświadczeniu w Algierii, teraz chciałbym się podzielić tym, co my robimy. Nasze zgromadzenie powstało 150 lat temu w Algierii do tego, żeby być właśnie wśród muzułmanów. Mieliśmy świadomość, że wierząc w Jezusa Chrystusa, mamy im coś do zaoferowania, coś, czego Algierczycy poszukują. Oni poszukują Boga, którego my znamy i mówimy, że On jest Bogiem miłosiernym. W jednym ze świadectw ktoś, kto się nawrócił, powiedział, iż odkrył, że będąc chrześcijaninem, może wybaczyć. Znał Boga, który wybacza, ale nie był w stanie sam wybaczyć, a spotkanie Chrystusa uzdolniło go do wybaczenia. Wiele jest takich świadectw.

Moi bracia, którzy pracują w Afryce podrównikowej, pytają, ile osób nawróciłem w Algierii. Ja nikogo nie nawróciłem, bowiem uważam, że ja nie jestem w stanie nikogo nawrócić. Tylko Bóg jest

w stanie nawrócić. A Bóg nawraca również i tych, o których ja nigdy nie pomyślałem, że oni się mogą nawrócić. Byłem tego świadkiem. Dlatego zajmujemy się nie tylko tymi nawróconymi. Misja Kościoła bowiem nie ogranicza się tylko do tego, żeby okopać się w tym kręgu i przeżyć, ale też aby zaoferować coś reszcie świata. Cały świat czeka na nas. My możemy nie wiedzieć, że mamy coś do zaoferowania.

Mój pobyt w Algierii mógłbym tak podsumować, że tam dopiero poznałem, co jest wartością w Ewangelii, kim jest Jezus Chrystus. Bo wszystkie standardowe rzeczy, których się nauczyłem, dla nich nic nie znaczyły. To moje spotkanie z islamem nie było tak dobre jak ojca w Syrii, nie było pozytywne, ale też mi wiele dało. Wiele nauczyłem się od tych, którzy wierzyli inaczej. I oni ode mnie też, jak przypuszczam.

My w Algierii otwieramy biblioteki i oferujemy, na przykład, naukę jakiegoś języka obcego. Wielu z moich uczniów, kiedy wchodziło do naszego domu, przychodziło z zaciśniętymi rękami i byli bardzo zamknięci, bo uważali, że przychodzą do niewiernych. Jednak po kilku miesiąca udawało się nawiązać z nimi dialog, a w każdym razie powstawała możliwość dialogu, której wcześniej nie było. Czy to prowadzi do nawrócenia? Rzadko, ale nawrócenie nie kończy się zawsze chrztem. Celem jest nawrócenie serca, mojego najpierw, i dopiero potem serca tego drugiego. Myślę jednak, że siła Ewangelii Jezusa Chrystusa jest wystarczająca, aby nie tylko nas ochronić, ale też wedrzeć się do serca tego, który jest dla mnie dzisiaj wrogiem. Nawrócenia muzułmanów są często bardzo dramatyczne. Jeżeli ktoś odkrywa Jezusa Chrystusa, to jego stosunek do islamu i jego wyznawców staje się często bardzo negatywny. Z biegiem lat jednak odkrywa, że nie wolno mu nienawidzić swoich rodziców, którzy pozostali muzułmanami, ale są tymi, którzy dali mu życie. Między innymi dzięki nim mógł się stać chrześcijaninem.

Ks. Adam Zelga

Nie znam żadnego chrześcijanina, który byłby gotów zabić za to, że ktoś zmienił wiarę, ale wiemy, że życie muzułmanów, którzy zmieniliby religię i przyjęli chrzest, jest zagrożone.

Byłem na wycieczce w Palestynie, gdzie obok siebie stoją kościół katolicki, cerkiew prawosławna i meczet. Tylko przy kościele katolickim była placówka oświatowa. Praca edukacyjna, którą Kościół Katolicki wykonuje w świecie, choćby salezjanie, jest ogromna...

Agnieszka Dowgiałło-Perkowska

Wczoraj przyleciałam z kraju muzułmańskiego. Mieszkam od półtora roku w Egipcie. Pracuję w konsulacie i mam do czynienia z tymi, którzy próbują wjechać do strefy Schengen, niekoniecznie jednak im się to ułatwia. Obserwuję na co dzień zgodne współistnienie koptów i muzułmanów, sama jestem katoliczką i nie ukrywam tego, a oni to szanują. Natomiast gdy słyszę, że mamy w Polsce przyjmować muzułmanów, to tego się boję. Przed wyjazdem do Egiptu miałam inne odczucia, lecz półtora roku współistnienia z nimi nieco zmieniły moje nastawienie i podobnie jak Ksiądz Adam uważam, że powinniśmy przede wszystkim przyjmować chrześcijan z Syrii. Uważam tak, mimo że widzę, jak na co dzień szanują wiarę innych. W naszej ambasadzie mamy wśród pracowników zarówno koptów, jak i muzułmanów. Podczas ramadanu (świętego miesiąca muzułmanów) koptowie, podobnie jak i my, Polacy, unikają publicznego jedzenia i picia, żeby nie ranić ich uczuć. Robimy tak, aby muzułmanie nie cierpieli, bo wiadomo, że oni wtedy nie jedzą, nie piją, nie palą papierosów od wschodu do zachodu słońca, w związku z tym cierpią. Jest to bardzo dotkliwe – szczególnie wtedy, kiedy przypada w okresie letnim, kiedy temperatura jest bardzo wysoka, a więc wszyscy starają się im to ułatwić. Natomiast kiedy są święta koptyjskie, wojsko szczególnie chroni kościoły, ponieważ wcześniej zdarzały się zamachy. Ta obecna równowaga jest bardzo pilnowana przez wojsko i policję, ale nie jest prawdziwa. Gdyby nie była utrzymywana przez władze, to jestem przekonana, że bardzo szybko byśmy mieli to samo, co jest dzisiaj w Syrii. Ci nasi przyjaciele na co dzień niekoniecznie byłiby przyjaciółmi dalej. Dla nich najważniejsza jest ich rodzina. Wszystko można zrobić w imię rodziny. Można kraść, kłamać i robić wszystko tylko dlatego, że robią to dla rodziny. W związku z tym jeżeli byłby jakiś konflikt między

chrześcijanami a muzułmanami, to ci przyjaciele staliby się wrogami. Mimo że bardzo mi się podoba w Egipcie i spędzę tam zapewne jeszcze kilka lat, a kontakty na co dzień z tymi ludźmi mamy bardzo przyjemne, to w sytuacji zagrożenia naprawdę nie będziemy mogli liczyć na to, że oni nam pomogą. Zdecydowanie wtedy działa zasada „ratuj się sam”. W Syrii też była przyjaźń wśród chrześcijan i muzułmanów, ale nie sprawdziła się w sytuacji zagrożenia.

Zeinab Hashmat-Makowska

Jestem chrześcijanką, przyjąłem chrzest rok temu. Wychowywałem się trochę w kulturze muzułmańskiej, trochę w chrześcijańskiej. Najwięcej miłości doznałem od mojej babci muzułmanki i mojego dziadka muzułmanina. Mój ojciec nie był dobrym człowiekiem, ale nie ze względu na religię, którą wyznawał. Od 13 lat nie widziałem mojego rodzeństwa, ojciec wywiózł je nielegalnie z Polski. Dostał pozwolenie, by zabrać je na wakacje do Egiptu i już nie wrócił z nimi do Polski.

Cały ten czas w moim sercu był Bóg. Nie dzieliłem Go na żadną religię, ani na muzułmańską, ani na chrześcijańską. Ponad rok temu zaczęłam chodzić na lekcje przygotowawcze do przyjęcia chrztu, komunii i bierzmowania. Prosiłam Go, aby utwierdził mnie, że dobrze robię. Chciałam odnaleźć moje rodzeństwo i prosiłam o to wielokrotnie Boga. Gdy przyjąłem sakramenty, rodzeństwo się odnalazło. Wierzę w Boga, który jest Bogiem nas wszystkich.

Obecnie w Polsce przeważa opinia, żeby nie przyjmować muzułmanów. Co to oznacza w mojej sytuacji? Mam trzy siostry i jednego brata, są muzułmanami. Tam w Egipcie nie mają nikogo, są zdani sami na siebie. Chciałabym, aby mogli dokończyć tutaj swoje studia, tutaj zamieszkać i pracować. Kiedy namawiam ich, aby tu przyjechali, oni boją się i twierdzą, że tu nienawidzi się muzułmanów. Równocześnie gdyby moje siostry przyjechałyby tu bez pozwolenia rodziny, która jest niechętna ich wyjazdowi z Egiptu, odcięłyby sobie możliwość powrotu. Nie mogą więc tu przyjechać, aby zdecydować, czy chcą pozostać w Polsce. Chciałabym, żeby spojrzeć z drugiej strony, jak to wygląda.

Ks. Adam Zelga

Szczerze mówiąc – nie widzę, żeby w Polsce prześladowano muzułmanów. Sądzę, że gdyby przyjechało do Polski pani rodzeństwo z Egiptu, czuliby się tu bardzo dobrze. Byleby nie czytali hejtów w internecie.

Jeśli jednak chodzi o osiedlanie się tu wielkich grup muzułmanów w sytuacji, kiedy chrześcijanie syryjscy są przez nich mordowani, mam wątpliwości. Mamy własne doświadczenia z islamem spod Wiednia i niech tak zostanie. Po drugie, jak wspomniałem, nie mamy dostatecznej wiedzy ani doświadczenia co do kultury muzułmańskiej. Nie ma też bazy. W Warszawie są zaledwie dwa meczety. W Europie Zachodniej są całe muzułmańskie zorganizowane społeczności, jest też baza, więc nie rozumiem tego parcia na Polskę...

Krzysztof Haman

Nasuwa mi się pytanie, czy pomagać tam, czy sprowadzać i pomagać im tutaj. Wydaje mi się, że to nie są sprawy sprzeczne. Oczywiście lepiej jest pomagać tam, gdzie ludzie żyją, aby tam mogli poprawić swoją sytuację, rozwijać się normalnie, jak w innych krajach, ale to nie zmienia postaci rzeczy, że w Europie jest już w tej chwili parę milionów ludzi, którym trzeba pomóc. Nie widzę powodów, żeby odróżniać chrześcijan i muzułmanów. Według mnie zagrożenie terroryzmem muzułmańskim jest znacznie bardziej rozdmuchane, niż ono rzeczywiście istnieje. Uważam także, że kiedyś to doświadczenie z muzułmanami trzeba zacząć zdobywać. Prędzej czy później trzeba będzie ich przyjąć. Oczywiście trzeba tutaj dbać o to, żeby popracować nad stworzeniem odpowiedniej bazy i odpowiednich mechanizmów do przyjęcia tych ludzi. Kościół ma tutaj na pewno dużo do zrobienia. W końcu przez Polskę przeszło w latach 90. kilkadziesiąt tysięcy Czechenów i jakoś nie zauważyliśmy większych wstrząsów. Wymaga to radykalnej zmiany postawy, zarówno ze strony naszych władz, jak i ze strony Kościoła, zmiany tego nastroju, który się kończy masowym hejtem w internecie.

Jan Zmyślony

Uważam, że aby przyjąć tutaj obcych ludzi, to przede wszystkim musimy zadbać o własną wspólnotę, o własne korzenie, o własną tożsamość, bo takich ludzi się szanuje. Nie szanuje się ludzi, którzy są byle jacy, którzy nie mają zasad. Najpierw odbudujmy wspólnotę, zacznijmy żyć w zgodzie z własnymi zasadami, to takiego człowieka



Jan Zmyślony

będzie muzułmanin szanował. A poza tym jeżeli pojawią się tutaj obcy ludzie z wirtualnymi pieniędzmi, co to nam da? Z takimi ludźmi trzeba się porozumieć. Tutaj na sali mamy jednego człowieka, który zna arabski i może w tym języku rozmawiać. Niech tu się zjawi parę tysięcy ludzi, to kto z nimi się porozumie? Trzeba tym ludziom zapewnić pracę, bo wirtualne pieniądze tym ludziom bez pracy nic nie dadzą. Nie można tych ludzi umieścić w getcie. Znamy

doświadczenia z Francji i z różnych państw zachodnich, gdzie uchodźcy zostali umieszczeni w gettach. Tam się rodzi terroryzm, bo ci ludzie nie mają przyszłości, nie mają pracy, nie mają zajęcia. I to samo jest tutaj w Polsce niedaleko, na Ursynowie. Są młodzi ludzie, którzy zażywają narkotyki, piją alkohol i nikogo to nie interesuje. Dlatego zadbajmy najpierw o własną tożsamość i wtedy możemy ofiarować coś tym ludziom. Bo taka zgoda na wszystko doprowadzi do tragedii, bo to się wymknie spod kontroli, a żadne wirtualne pieniądze nie dadzą ludziom zajęcia. Będą z tych pieniędzy żyli, ale jeśli nie będą mieli pracy, nie będą mieli zajęcia i nikt się nie będzie nimi zajmował, to pewna ich część może zasilić grupy przestępcze. W efekcie z tego rodzą się terroryści. Moim zdaniem

nie ma w Polsce pomysłu na zagospodarowanie uchodźców. Niemcy, którzy zaprosili uchodźców i stracili obecnie nad nimi kontrolę, zbierają owoce tej decyzji.

Proszę państwa, na świecie istnieje wąska grupa ludzi, którzy mają pieniądze i uważają, że jest za dużo ludzi na świecie i robią wszystko, żeby zlikwidować część z nich. Przykre, że my jesteśmy pionkami w tej okrutnej grze. Skąd się wzięła wojna w Syrii? Tak samo na Ukrainie. Skąd to się wszystko zrodziło? Zrobił to człowiek, który szuka własnego interesu. Skąd walczące strony mają broń, skąd są na to pieniądze? Wystarczyłoby zabrać broń i odciąć pieniądze, a wojna by się skończyła. I pozwolić ludziom żyć na ich własnym terenie.

O. Zygmunt Kwiatkowski SJ

Obserwowałem od początku, jak zaczął się konflikt na Bliskim Wschodzie, i nie wiem, czy państwo sobie przypominacie, jak Jan Paweł II kilkakrotnie mocnymi słowami zwracał się do prezydenta Buscha, żeby zrezygnować z inwazji na Irak. Zignorowano jego interwencję. Ojciec Święty mówił wtedy, że wojna jest klęską ludzkości, że to nie jest instrument perswazji ani rozwiązywania problemów, ani zaprowadzania demokracji. Dwanaście lat upłynęło. Popatrzmy na rzeczywistość i oceńmy rzeczywistość. Ten bogaty kraj – to jest w pewnym sensie przekleństwo tego kraju – czternaście lat żyje w strachu, gniewie, w nienawiści, ponad milion ludzi zginęło w imię tego ideału demokracji. Kilka milionów mieszkańców tego kraju żyje poza jego granicami, jako uciekinierzy i uchodźcy, a ci, którzy pozostali, żyją w strachu i w nędzy. Jaki osiągnięto sukces? Zabicie Saddama Husajna...

Później przyszła kolej na Kadafięgo i naród, któremu się żyło w miarę dobrze, został wciągnięty w polityczny wir wojny, w imię poprawy życia. Kadafi, który był przyjmowany z największymi oznakami szacunku we Włoszech, któremu przypinano medale i pozwolono rozbić obozowisko w jednym z rzymskich parków, w rok później został uznany za okrutnego tyрана, z którym należy skończyć, aby wybawić naród libijski spod jego władzy. NATO udzieliło pomocy

rewolucjonistom, Kadafi został zamordowany, a teraz Państwo Islamskie ma tam swój strategiczny przyczółek i panuje tam bieda i terror.

Teraz zaś ciągle i uparcie żąda się głowy prezydenta syryjskiego. Demokratyczne państwa zachodnie nie chcą przystąpić do rozmów pokojowych, by ulżyć ludzkiemu cierpieniu i powstrzymać rzekę uciekinierów, która kieruje się do Europy, jeśli wpieryw nie zlikwiduje się prezydenta syryjskiego. Czy może być większe lekceważenie dla cierpienia ludzkiego i bardziej obłudne głoszenie hasła gotowości udzielenia pomocy ?

Gdy wojna się zaczynała, głoszone hasło solidarności z gnębiącym narodem syryjskim, któremu należy pomoc. Jaki był pierwszy krok tej pomocy? Ogłoszono embargo ekonomiczne. Wówczas w tym kraju padł przemysł i ludzie zostali bez pracy i bez środków do życia. Czy była to rzetelna forma pomocy? Tym bardziej, że potem pojawiły się pieniądze i to dużo pieniędzy, aby finansować wojnę. To samo można powiedzieć o problemie uchodźców. Dlaczego pojawił się on teraz, skoro wojna trwa od wielu lat? Ktoś drzwi, które były zamknięte, musiał teraz otworzyć. Chce się je zamknąć, za trzy miliardy euro, ale nie ma pewności, czy rachunek nie będzie wyższy i czy nie będzie podawany do zapłacenia wielokrotnie.

Czy nie lepiej było te pieniądze przekazać Syrii? Czy nie lepiej doprowadzić w tym kraju do pokoju i pomóc ludziom w odbudowaniu ich kraju? Czy Syryjczycy na to nie zasługują? Połowa ludności została zmuszona do opuszczenia swych domów. Tułają się całymi rodzinami. Są uchodźcami w swym własnym kraju. Pomóżmy im tam, gdzie mieszkają. Lepiej to będzie również dla nas. Nie czekajmy na śmierć prezydenta Assada, żeby pozwolić żyć Syryjczykom.

Krzysztof Haman

Państwo wspominali o tym nagłym wybuchu nienawiści między dawnymi przyjaciółmi, chrześcijanami i muzułmanami. Myśmy mieli ten sam efekt kilkadziesiąt lat temu na Ukrainie. Też sąsiedzi zaczęli się nawzajem mordować. Potem mieliśmy powtórzenie tego w Rwandzie i w Jugosławii. To jest problem głęboko ludzki. Nie-

koniecznie polityczny. Coś niedobrego istnieje w ludzkiej naturze. Wydaje mi się, że istnieje potrzeba wprowadzenia jakiegoś programu społeczno-wychowawczego, a teraz jest działanie w przeciwną stronę. Nakręcanie lęku, strachu, obawa przed czymś, czego nikt jeszcze na oczy nie widział.

Alina Kozińska-Bałdyga

Trzeba najpierw ustalić, ilu jest chrześcijan do przyjęcia. Wielkopolski Caritas już się szykuje do przyjęcia uchodźców. Myślę, że gminy razem z parafiami potrafią zorganizować pomoc w zakresie edukacji, szkolenia, nauki języka polskiego, polskiej kultury i historii, a także znalezienia pracy i mieszkania. Jestem chrześcijanką i nie boję się. Bóg daje mi siłę do tego. Ufam świętemu Janowi Pawłowi II, który ucałował Koran, powiedział „Nie lękajcie się”. Możemy zacząć od przyjmowania chrześcijan, tylko ustalmy, ilu ich jest.

Elżbieta Mycielska- Dowgiałło

Chciałabym powiedzieć o przykładzie, który w tej chwili jest w Polsce realizowany, w którym mamy jakiś maleńki udział. Chodzi o przyjmowanie grup z Ukrainy – Polaków albo osób polskiego pochodzenia, którzy wiążą swoją przyszłość z Polską. Pierwszym miejscem ich pobytu są Rybaki, czyli ośrodek Caritasu Warmińsko-Olsztyńskiego. Była tam przez pół roku pierwsza grupa, teraz przyjechała grupa druga, 170 osób. Wszyscy ci, którzy przyjechali w pierwszej grupie, mają już mieszkania i pracę. Wszystko to zostało załatwione. W tej chwili przyjechała druga grupa i w ten sam sposób ta pomoc będzie dla nich zorganizowana. W związku z tym mamy już dobre doświadczenie przyjmowania uchodźców. Są to uchodźcy z Donbasu.

Jeżeli chodzi o przyjmowanie uchodźców z Syrii, to musimy mieć w pierwszej kolejności na uwadze to, co Chrystus nam zalecał – dar rozwagi. Jeżeli możemy przyjąć, na przykład, do naszego mieszkania dwie osoby, a przyjmimy pięćdziesiąt, to jest to nierozsądne. Będzie to z krzywdą nie tylko naszą, ale też tych, których przyjmujemy, ponieważ nie możemy zapewnić im dobrej opieki.

Musimy działać rozważnie i przyjmować rodziny zagrożone i takich ludzi, którzy nie budzą naszych zastrzeżeń. Powinniśmy mieć otwarte nasze domy i serca na przyjęcie, ale równocześnie działać rozważnie, to znaczy, żeby przyjmować tyle osób, ilu możemy zapewnić pracę, mieszkanie, dobre warunki. I bardzo cieszę się, że mamy tutaj osoby, które nasz kraj wybrały.

O. Mariusz Batuzi

W Polsce mówimy teraz o uchodźcach, bo widzimy ich w telewizji. Nie mamy ich jednak tak na co dzień. Ja byłem w tej części Afryki, która jest korytarzem, skrzyżowaniem, którędy ludzie przechodzą. Są ich tysiące. Wędrują tam, gdzie im się wydaje, że będą żyć lepiej. Każdy chce żyć lepiej. Europa z zewnątrz jest widziana jako twierdza. Wszyscy żyją tu bardzo dobrze, są bogaci, a że czasem wybuchnie jakaś bomba, to dla uchodźców nie nowina, to ich codzienność.

Ks. Adam Zelga

Nie byłoby zaproszenia dla Polaków z Ukrainy i ze wschodu, gdyby nie prasa i opozycja. Poprzedni rząd niewiele robił w tym zakresie.

Po drugie, pozwolę sobie zakończyć cytatem z codziennej modlitwy pobożnych muzułmanów: „Modlitwa jest lepsza od snu”.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

C.d. wypowiedzi otrzymany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Kto jest moim bliźnim?

Postanowiłam zrobić kawową masę do tortu. Odmierzyłam potrzebne składniki, dokładnie je wymieszałam i ucierałam, aż powstała jednolita, pulchna substancja. I wszystko było dobrze aż do momentu, kiedy należało dodać kawę. Przepis wyraźnie podkreślał – dodać kilka łyżek mocnego naparu małutkimi porcjami, ciągle przy tym mieszając. Chciałam, aby masa była jak najlepsza – nie pożałowałam więc kawy i dodałam jej pewnie nieco więcej, a może też i nieco szybciej... Tak czy inaczej – przedobrzyłam. Masa się zwarzyła – cały wysiłek na darmo.

Przypomniała mi się ta przygoda z masą do tortu w związku z akceptowaniem uchodźców. To nie tylko Polska stoi przed dylematem – akceptować czy nie. Przed paroma miesiącami Polonię sydneyjską obiegła bulwersująca wieść – polskie siostry nazaretanki zamierzają zorganizować w jednym z pustych obecnie budynków schronisko dla samotnych matek z Somalii. Na polskim terenie czarne Somalijki i to nie wiadomo co za jedne! Bogobojna pani, która przekazywała nam tę wiadomość, aż trzęsła się z oburzenia. Było to w Wielki Czwartek, tuż przed rozpoczęciem uroczystości w polskim kościele. Zapytałam – proszę pani, czy Chrystus nie umarł na krzyżu także za te Somalijki?

Przyjmując uchodźców, Australia jako wielokulturowy kraj gwarantuje wszystkim takie same prawa. W teorii brzmi to bardzo przekonująco. Problem zaczyna się jednak, kiedy w egzekwowaniu własnych praw zaakceptowana mniejszość zabrania innym wyrażania swojej kulturowości. Święta Bożego Narodzenia celebrowane tak przez anglikańską, jak i katolicką społeczność od wielu lat były wielkim wydarzeniem religijnym i kulturowym Australii. Na połowę grudnia przypada tutaj zakończenie roku szkolnego. W szko-

łach i przedszkolach od lat organizowano w tym czasie Jasełka, prześcigając się w pomysłowości strojów oraz dekoracji. Wystawy sklepowe, ulice i publiczne skwery zdobiły stylizowane szopki.

Tak było aż do czasu pojawienia się dużej fali uchodźców, szczególnie wyznawców islamu z krajów arabskich i z Afryki. Rozpoczęły się protesty przeciwko dyskryminowaniu dzieci. Nawet jeśli jest jedno albo dwoje muzułmańskich dzieci w klasie, nie mogą one – zdaniem rodziców – czuć się odrzucone, ponieważ im religia zabrania uczestnictwa w tego rodzaju pokazach. Dekretem władz należy więc zaniechać wszelkich praktyk bożonarodzeniowych w szkołach i przedszkolach, także prywatnych, pod groźbą utraty licencji. Również dekoracje w miejscach publicznych nie mogą zawierać akcentu religijnego. W myśl „poprawności kulturowej” gubi się ważne aspekty kultury własnego narodu. Szczytem poprawności kulturowej jest propozycja szopki z małym drzewkiem, symbolem nowego życia, zamiast Dzieciątka. Opublikowane to zostało w ubiegłotygodniowym wydaniu dziennika „The Sydney Morning Herald”.

Wydaje mi się, że problemem dla Polski nie jest to, czy uchodźca może być potencjalnym terrorystą. Problemem staje się duża liczba tak różnych kulturowo przybyszów, których mamy w krótkim czasie zaakceptować. Czy potrafimy zapewnić im wolność i swobodę wyrażania ich przekonań? Jaki wpływ będzie to miało na naszą społeczność? Czy uda nam się zachować wyraźną granicę między tolerancją, uległością czy wręcz nagięciem się w stronę nowego?

Przed budynkami szkół sydneyjskich zamontowane są elektroniczne tablice, które informują społeczność o ważnych wydarzeniach. Na wielu z nich można znaleźć informację o rozpoczęciu Ramadanu, o Chińskim Nowym Roku – ani razu jednak nie zauważyłam informacji o Środzie Popielcowej czy o Wielkim Tygodniu. Święta Wielkanocne i Boże Narodzenie przypadają w czasie ferii szkolnych, to może tłumaczyć brak o nich wzmianki.

Na zebraniu nauczycieli w mojej szkole (średnia szkoła państwowa) poruszono temat, czy oddać młodzieży muzułmańskiej jedną z sal, koniecznie z bieżącą wodą, ponieważ o określonych godzinach chcą się tam zbierać na modlitwę. Oczywiście będą zwal-

niani z lekcji. Dyrektor prosił o wyrażenie swojej opinii i o dyskusję. Zabrałam głos jako jedna z pierwszych. Powiedziałam, że ja się zgadzam, ale pod warunkiem, że o godz. 12.00 przez głośniki zabrzmia dzwony i ja oraz kilku uczniów polskiego pochodzenia będziemy mogli zgromadzić się w określonym miejscu na boisku, żeby wspólnie odmówić Anioł Pański – modlitwę tak bliską polskiej kulturze. Pomysł z muzułmańską salą modlitw nie przeszedł.

Czy my, Polacy, potrafimy stanąć mocno na straży swojej religii, swoich zwyczajów, swoich tradycji? Czy nasza wolność religijna, którą tak niedawno odzyskaaliśmy, okrzepla już na tyle, że nie pozwoli się na powrót w „ramach poprawności” zamknąć w salkach przykościelnych? Czy okazując miłość bliźniemu, potrafimy zachować wyraźną granicę nie tylko dla siebie, ale i dla swoich dzieci? Czy zdajemy sobie sprawę, że muzułmanie mogą zawierać związki małżeńskie z każdym, ale pod warunkiem, że ta osoba przejdzie na islam? To wymaganie jest ściśle przestrzegane.

Uchodźców trzeba przyjąć. Trzeba podzielić się z nimi tym, co mamy. Trzeba pomóc im stanąć na własnych nogach, ale bezwzględnie trzeba mocno stać na straży swoich przekonań, swoich tradycji. Na te pytania musimy sobie odpowiedzieć każdy sam w swoim sercu. Być może kontakt z nowo przybyłymi umocni jeszcze nasze poczucie wspólnoty narodowej i religijnej. Być może częściej sięgniemy po Pismo Świąte, zawstydzeni doskonałą znajomością Koranu naszych przybyszów .

W wielokulturowej Australii już zaczynają się rysować obiekcje. To jeszcze nie bicie na alarm. Sytuacja jest o tyle skomplikowana, że chrześcijańskie nacje tworzące tutejszą społeczność kultywują swoje praktyki religijno-kulturowe we własnych ośrodkach. Jaselka i szopki bożonarodzeniowe, koncerty kolęd odbywają się w polskich klubach. Podobnie robią to inne narodowości. Na przegranej są Australijczycy anglosaksońskiego pochodzenia. Ich kluby, otwarte dla wszystkich nacji, muszą być poprawne kulturowo i religijnie. Kościoły anglikańskie i innych wyznań protestanckich świecą pustkami. Kościół katolicki jeszcze się nie poddaje, chociaż bez końca rzucają mu się kłody pod nogi w formie różnych zarzu-

tów, a nawet oszczerstw. Największymi krzykaczami są tutaj obrońcy tolerancji religijnej.

Dlatego odpowiadając chrześcijańskim sercem na potrzebę drugiego człowieka, należy przygotować się na różne ewentualności. Już teraz istnieją grupy Polaków, którym przeszkadza krzyż w parlamencie. Wodą na ich młyn może stać się wkrótce „poprawność kulturowa”, jaką musimy zagwarantować naszym przybyszom. Pytanie tylko, czy musimy, a jeśli tak, to gdzie postawimy granicę. To wielkie wyzwanie dla polskiego społeczeństwa.

*Fair play w moim życiu.
Czy uczciwość popłaca?*

Cytaty

Ojciec Jacek Salij – Skąd w nas taka łatwość do nieuczciwości? (fragmenty)

Wydaje się, że każda nieuczciwość wiąże się z jakimś egocentrycznym zaślepieniem. Spójrzmy na tak ewidentną nieuczciwość, jaką jest kradzież. Złodziej nie myśli o tym, że komuś zadaje krzywdę. On myśli tylko o własnej korzyści. Zasadę moralną, że nie wolno nikogo krzywdzić, złodziej zna doskonale. Co więcej, aprobuje ją. Dlatego tak się oburza, kiedy sam zostanie okradziony. Sam kradnie, bo egocentrycznie pojmowany interes wyparł z jego świadomości zasadę „nie czynj drugiemu, co tobie niemiłe”. Mówiąc inaczej, złodziej „zapomina” o tym, że człowiek przez niego okradany jest jego bliźnim.

Niekiedy usprawiedliwiamy swoją nieuczciwość tym, że przecież sami zostaliśmy oszukani. Kupiliśmy jakieś byle co jako coś solidnego albo przyjęliśmy fałszywy banknot – i próbujemy kosztami naszej pomylki obciążyć kogoś innego. Jak gdyby ten, kogo oszukujemy, był tym samym człowiekiem, który nas oszukał! Wydaje nam się, że sprawiedliwość została wyrównana. Banalnie magiczna mentalność: ktoś mnie niewinnie uderzył, więc ja dla wyrównania uderzę niewinnie kogoś innego! Niestety, jedno w tej sytuacji nie budzi żadnej wątpliwości: że ten drugi człowiek nie jest dla mnie bliźnim.

„Ależ ja muszę – tłumaczy mi właściciel masarni – sztucznie napędzać wagę sprzedawanego przeze mnie mięsa. Wszyscy tak robią, i zbankrutuję, jeśli będę chciał być we wszystkim uczciwy. Takie są prawa konkurencji”. Na moją uwagę, że uczciwość ostatecznie zawsze popłaca i klienci z pewnością zorientują się, która masarnia przygotowuje mięso uczciwie, odpowiada: „Klienci będą kupowali ode mnie w zależności od tego, czy moje opakowania będą w tym samym standardzie, co opakowania konkurentów. Toteż jeśli chcę przetrwać, muszę przede wszystkim kupić nową maszynę do pakowania mojego mięsa”.

Istnieje mnóstwo argumentów „przymuszających” nas do tego, abyśmy przyłączyli się do budowy nieludzkiego świata i abyśmy naukę Pana Jezusa o innych ludziach jako naszych bliźnich zaczęli traktować jako nierealistyczną mrzonkę. Spróbujmy się zatem przypatrzeć, co się dzieje, kiedy ulegamy tym zwodniczym argumentom, jakoby samo życie nakazywało nam niekiedy powiesić zasady Ewangelii na kołku.

Przede wszystkim ja sam, który uwierzyłem w niezależność praw ekonomii od Bożych przykazań, zaczynam się stopniowo przemieniać w osobowość psychopatyczną. Zgodnie z klasyfikacją Thomasa Harrisa, osobowość psychopatyczna cechuje się postawą: „ja zawsze jestem O.K., inni nigdy nie są O.K., toteż jeśli wyrządzam im coś złego, oni zawsze na to zasługują”.

Taką właśnie filozofię wyznają gangsterzy i bandyci, amatorzy pasożytowania na cudzej pracy i własności. Otóż sam zdrowy rozsądek każe postawić następujące pytanie: czy wprowadzenie do działalności gospodarczej zasad właściwych bandytom może wyjść gospodarce na zdrowie?

Korupcja, nieuczciwość, wyzysk oraz różne przejawy cwaniactwa do złudzenia przypominają chorobę raka. Zrakowaciałe komórki przestają zważać na dobro całego organizmu i zabiegają wyłącznie o dobro własne. Nie przejmują się tym, że niszczą komórki sąsiednie i osłabiają cały organizm: najważniejsze, że one same rozwijają się znakomicie, że guz rakowy jest coraz większy i większy. Nie zdają sobie komórki rakowe sprawy z tego, że pilnowanie tylko swojego interesu sprowadzi koniec na cały organizm, a więc również i na nie.

Otóż za tym „realizmem”, który głosi, że twarde prawa ekonomii każą zapomnieć o zasadach moralnych, stoi ta sama logika, jaką kierują się komórki rakowe. Każda nieuczciwość – chcemy czy nie chcemy – zatruwa w społeczeństwie atmosferę wzajemnego zaufania, zniechęca do myślenia o dobru wspólnym, pobudza do chorobliwej nieraz ostrożności w kontaktach z innymi. Wiele energii, którą moglibyśmy poświęcić na zwiększenie swojej aktywności i wzajemną współpracę, zaczyna nam pożerać wzajemna nieufność i

pilnowanie się, żeby nie dać się drugiemu przechytryć. Z pewnością nie są to warunki sprzyjające rozwojowi gospodarczemu w skali społecznej.

Mówiliśmy dotychczas, że nawet prawa ekonomii domagają się poszanowania zasad moralnych. Jednak celem zasad moralnych jest coś daleko więcej niż racjonalne funkcjonowanie gospodarki. Ich celem jest ochrona tego, co nazywamy człowieczeństwem, czyli tego, co w naszym życiu jest ponadużyteczne i ostateczne.

Człowiek, który nie liczy się z prawem moralnym – np. ktoś nieuczciwy, rozpustnik, chciwiec – to ktoś, kto gubi w swoim życiu to, co najważniejsze, kto nie umie kochać nawet samego siebie. Już święty Augustyn stawiał retoryczne pytanie: czy ten, kto nie umie kochać samego siebie, potrafi prawdziwie kochać innych ludzi, choćby nawet swoje rodzone dzieci? „Kto patrzy na nierządnicę – czytamy w Księdze Syracha (41,22) – odwraca oczy od ubogiego”.

Komuś, kto chce się dorobić nawet za cenę nieuczciwości, wydaje się nieraz, że czyni to dla swoich dzieci. Chce, żeby jego dzieci miały lepiej niż on. Takiemu wydaje się nieraz, że szczytem ojcowskiej miłości będzie, gdy podaruje synowi samochód na jego szesnaste urodziny albo obdarzy córkę mieszkaniem na dzień jej ślubu.

Tacy rodzice nie potrafią zazwyczaj obdarzać swoich dzieci najłatwiejszym do podarowania, a przecież szczególnie cennym: swoim czasem, swoją mądrością i miłością. Starają się dać dzieciom więcej niż inni rodzice, a nie dają im tego, co najbardziej podstawowe: właśnie tego, co nazywamy człowieczeństwem, a co polega na umiejętności rozróżniania dobra od zła, na rozwijaniu zdolności bezinteresownego kochania innych, na radowaniu się wszystkim, co piękne i sensowne.

To o takich bogaczach, zaślepionych na wartości nawet elementarne, Pan Jezus powiedział: „Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego” (Mt 19,24).

Ks. Andrzej Ziółkowski CM
Uczciwy – nieuczciwy (fragment)

Dar czystości serca objawia się w radości bycia ze sobą. Tylko ludzie czystego serca potrafią być względem siebie niezwykle hojni, wyrozumiali, radośni, uśmiechnięci. Tym się przejawia życie w Duchu Świętym, że pomnażamy Jego dary, których nam udziela. Byłoby rzeczą niezrozumiałą, aby człowiek obdarzony łaską świętej spowiedzi nie potrafił podzielić się tym, co sam otrzymał, a mianowicie darami: spokoju, radości, uśmiechu, wzajemnej pomocy, szczerości, zaufania, silnej wiary. To są dary Ducha, które otrzymujemy. Nie możemy tych darów zatrzymywać tylko dla siebie. Chrześcijanin jest otwartym na Boga i na człowieka.

KONWERSATORIUM LXXXIV

(16 stycznia 2016)

Fair play w moim życiu

Czy uczciwość opłaca?

Prowadzący: Ks. **Adam Zelga**, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; **Dorota Cichocka**, grafik, ilustratorka książek i **Jacek Cichocki**, socjolog, członek rządu RP w latach 2011-2015, rodzice czwórki dzieci; **Jerzy Engel**, selekcjoner reprezentacji Polski piłki nożnej w latach 2000-2002; **Małgorzata Ludwikowska**, geograf, nauczyciel akademicki Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach; **Grzegorz Polak**, dziennikarz katolicki.

Ks. Adam Zelga

Temat brzmi: „*Fair play* w moim życiu. Czy uczciwość opłaca?”. Przypomina mi się tytuł książki Władysława Bartoszewskiego „Czy warto być przyzwoitym?” Ktoś zadał mu wtedy pytanie, czy opłaca się być przyzwoitym, a on odpowiedział: „ja nie mówię, że się opłaca. Ja mówię, że warto”. Myślę, że jest to dobre wprowadzenie.

Jacek Cichocki

Przygotowując się do dzisiejszego spotkania z państwem i zastanawiając się, co warto powiedzieć, próbowaliśmy rozłożyć ten tytuł na czynniki pierwsze i przede wszystkim powiedzieć, jak zrozumieliśmy określenie *fair play*. Przełożyliśmy je na różny wymiar, nie tylko sportowy, ponieważ nie jesteśmy sportowcami, ale myślenie w kategorii *fair play* jest nam bliskie. *Fair play*, czyli stosowanie się do reguł w dążeniu do celu, do sukcesu, ale także przekonanie,



Słuchacze

że osiągnięcie sukcesu za wszelką cenę, z pogwałceniem tych reguł, nie jest sukcesem. Dopiero dotarcie do celu przy zachowaniu reguł jest prawdziwym zwycięstwem, rzeczywistym sukcesem. Mówię o tym, bo wydaje nam się, że sprawą, która wymaga tutaj szczególnego podkreślenia, jest sprawa tych reguł. To trochę odróżnia dzisiejszy temat od takiego ogólnego rozmawiania o uczciwości.



Jacek Cichocki, po lewej Dorota Cichocka,
a po prawej Małgorzata Ludwikowska

Uczciwość wydaje się dużo szerszym pojęciem, natomiast żeby móc zachowywać się *fair play*, to powinny być jasno zdefiniowane znane wszystkim reguły. Warunek istnienia i znajomości tych reguł jest niezbędny, żeby mówić o *fair play*, bo jeżeli nawet te reguły są, ale nie są one czytelne ani nie są znane, to trudno mówić o ich łamaniu. To tyle tytułem wstępu. A teraz praktycznie o tym, co myślimy na temat *fair play*.

Dorota Cichocka

Podam sytuacje, które przychodzą nam do głowy w związku ze stosowaniem się do reguł i zasad *fair play* dotyczących życia publicznego i poruszania się w tej przestrzeni. Na przykład, w zakresie korzystania z komunikacji miejskiej. Tutaj reguły są wszystkim znane, jasne i łatwe do przestrzegania. Wiemy, za ile i w ciągu jakiego czasu można przejechać autobusem, metrem czy tramwajem, wiemy, gdzie się kupuje bilety. Są to zasady bardzo proste i wydaje nam się, że generalnie wszyscy ludzie, tak jak i my, chcemy ich przestrzegać. Mamy głębokie poczucie, że natura ludzka jest taka, że chciałaby być w porządku i chciałaby przynależeć do wspólnoty, która przestrzega określonych zasad. Życie jest wtedy łatwiejsze. W praktyce dnia codziennego czasem jednak pojawia się pytanie, czy na pewno mi się opłaca stosowanie do reguł, szczególnie gdy jadę tylko jeden przystanek, a muszę zapłacić 4,40 zł? A może nie zdążę skasować biletu, zanim wysiądę z autobusu i w ten sposób coś sobie zaoszczędzę? Oczywiście mamy takie pokusy, żeby nie stosować się do reguł, wiemy natomiast, że w życiu publicznym ostatecznie się to mi opłaca, bo jeśli wszyscy będą się z nich wymigiwać, to komunikacja przestanie jeździć.

Odwrotnym przykładem, gdzie te reguły są niejasne i nie do końca wiemy, co należy zrobić, żeby być uczciwym, to jest oglądanie filmów przez internet. Mamy takie poczucie, że chcielibyśmy być uczciwi, żeby legalnie obejrzeć film, natomiast nie jest to w sposób jasny określone. Nie wiemy po prostu, jak to zrobić, żeby to było w pełni legalne. Można, na przykład, wykupić abonament na jakiejś platformie, gdzie jest do naszej dyspozycji wiele filmów, ale



Dorota Cichocka (z mikrofonem) po prawej Jacek Cichocki,
Małgorzata Ludwikowska i Grzegorz Polak

to nie są te filmy, które akurat chcemy oglądać. Można też zapłacić sms-em, ale można wtedy obejrzyć film tylko w ciągu określonego czasu, który może skończyć się, zanim film do końca obejrzymy. Z doświadczenia wiemy, że ten system nie działa sprawnie, co nas zniechęca do kupowania kolejnych filmów. Jeśli chodzi o muzykę, to jest to dobrze rozwiązane w postaci serwisu *youtube* albo możliwości wykupienia abonamentu na *spotify*. Uzyskujemy wtedy legalny dostęp do muzyki. Tymczasem w przypadku filmów nie jest to dobrze rozwiązane i mamy poczucie, że oglądamy filmy nieuczciwie, ściągając je bez płacenia. To jest przykład takich rozwiązań w życiu publicznym, kiedy reguły nie są do końca jasne, nie wiemy, jak je właściwie wypełnić i nie są przedstawione jasno kryteria, kiedy jesteśmy uczciwi, a kiedy nie.

Chciałam jeszcze powiedzieć o zasadzie bycia *fair play* w wymiarze bliskim, czyli życia rodzinnego i małżeńskiego. O ile w wymiarze szerszym, wspólnotowym, czasem pozwalamy sobie na jakąś nieuczciwość, gdyż często nie czujemy się zbyt silnie związani z dużą wspólnotą, to w stosunku do członków naszej rodziny, osób

nam bliskich, chcemy być *fair*. Wszystkie zasady i reguły, jakie są w rodzinie, szczególnie względem dzieci, powinny być bardzo jasno określone, powinny być znane dzieciom, jak również powinni się do nich stosować rodzice. Jeżeli wychodząc z domu, obiecuję, że będę o którejś godzinie z powrotem, ale nie wracam na tę godzinę, to zdaję sobie sprawę, że jest to jasny sygnał dla dzieci, że reguły można obchodzić, najpierw delikatnie, a potem w ogóle ich nie stosować. Uważam, że *fair play* jest w życiu rodzinnym bardzo ważne ze względów wychowawczych. Stosować je nie tylko warto, ale też się opłaca.

Z kolei *fair play* w życiu małżeńskim – można powiedzieć, że przysięga małżeńska jest pewnym zbiorem zasad i reguł, który obiecujemy sobie przestrzegać. Chociaż oczywiście przysięga małżeńska jest czymś daleko więcej niż tylko spisem reguł, do których się odnosimy. Wypowiadamy słowa „ślubuję ci uczciwość i wierność”. Bardzo ważne jest, żeby zanim te słowa się wypowie, uzmysłwić sobie i porozmawiać o tym z narzeczoną czy narzeczonego, co te słowa dla nas znaczą. Bo jeśli rozumiemy je inaczej, to może dojść do nieporozumienia. Wierność dla jednej osoby może oznaczać tylko brak kontaktów seksualnych z kimś innym, natomiast dla drugiej osoby wierność to bliskość współmałżonka, dzielenie z nim nie tylko sfery fizycznej, ale też duchowej. W praktyce oznacza to, że nie spędzam dwudziestu godzin poza domem, świetnie się bawiąc ze znajomymi z pracy albo dzieląc ważne sprawy z kolegą lub koleżanką z biura. Od dzielenia ważnych spraw jest mąż lub żona. *Fair play* w życiu małżeńskim polega więc na uczciwości we wzajemnych relacjach, a także na wspólnym rozumieniu tego, co dane słowa znaczą. *Fair play* to także uczciwość w życiu codziennym, nieobgadywanie męża za plecami i bycie względem siebie szczerym.

W obu sferach życia, tej bardziej publicznej i tej bardziej domowej, rodzinnej, zawsze warto stosować *fair play* i zawsze się to nam opłaca, zawsze jest z naszą korzyścią, choć czasem dopiero w dalszej perspektywie.

Jacek Cichocki

Nawiążę do tego, co podkreśliła Dorota, że bardzo ważne jest zrozumienie reguł, także między małżonkami, żeby oni zdawali sobie sprawę, co każde z nich rozumie przez uczciwość i wierność. A to nie są wcale takie oczywiste sprawy, bo czasem ludzie zakładają z góry, że drugi powinien wiedzieć, bo przecież to jest oczywiste, i potem na tym tle powstają konflikty i nieporozumienia. Pojawia się pytanie, czy on rzeczywiście zachował się *fair play* czy nie. To można też przełożyć na obszar porozumiewania się z dziećmi. Komunikacja z dziećmi jest szalenie złożoną formą, wymiarem naszego życia, a okazuje się, że dzieci często to, co do nich mówimy, rozumieją inaczej albo tak, jak chcą, a nie na miarę naszych często złożonych rozważań.

Chciałbym jeszcze parę słów powiedzieć o zachowaniach *fair play* w wymiarze szerszym i sięgnąć do sfery uczciwości wobec państwa, jaką jest płacenie podatków. Dość powszechne jest niezachowanie się *fair play* w tym zakresie przez oszukiwanie na podatkach, jak również wykorzystywanie różnych luk podatkowych. „To się opłaca”, jak mówił profesor Bartoszewski, na tym zarabia się pieniądze, ale – jak profesor mówił dalej – „nie warto”.

Chciałbym dać dwa przykłady, w których sam uczestniczyłem i miałem poczucie, że warto, mianowicie że są jakieś wyższe wartości, które są dla mnie ważne, które sprawiają, że wykorzystanie luki, oszukanie na podatkach jest w porządku. Gdzieś w połowie lat 90., kiedy się rozliczało PiT indywidualnie, można było odliczyć od wartości, od której się liczyło podatek, wielkość darowizny, którą się przekazało najbliższej rodzinie czy znajomym. W związku z tym sprytni Polacy na potęgę przekazywali sobie darowizny, co polegało na tym, że się pisało oświadczenie, że ja daruję „pani x” dziesięć tysięcy, a „pani x” ofiarowuje mnie dziesięć tysięcy złotych i zmniejszało to wymiar podatku o połowę. Oczywiście były to fikcyjne darowizny na zasadzie obopólnej korzyści. Pamiętam, że jak się pierwszy raz z tym spotkałem, to rozmawiałem z bliskimi mi osobami i one mi to tak przedstawiły, że jak ja ten podatek zapłacę, to on pójdzie do wielkiej maszyny urzędniczej i część z tego będzie wydana nieefektywnie. Jeżeli zaś ten podatek zostaje u nas, to ja

najlepiej wiem, jak go wydać w dobrej sprawie. Wykorzystuję w ten sposób pewną możliwość, za którą nie będę ścigany.

Dzisiaj uważam, że to była czysta nieuczciwość. Wtedy, od samego początku, miałem poczucie, że to jest nie w porządku i tak nie powinienem robić, aczkolwiek ta racjonalna argumentacja, że jestem młodym małżonkiem z małymi dziećmi i przyda mi się więcej pieniędzy, i naprawdę mam na co je wydać, była bardzo sugestywna. Ona mnie wtedy przekonywała i dwa razy skorzystałem ze wspomnianej luki prawnej. Aczkolwiek cieszę się, że moja świadomość dotycząca płacenia podatków, podobnie jak i większości społeczeństwa, na tyle dzisiaj wzrosła, że coraz więcej ludzi jaśniej widzi takie problemy. Czujemy i wiemy, że kraje, w których ludzie oszukują na podatkach, są to te, w których nie chcielibyśmy żyć i gdzie jakość życia publicznego i funkcjonowania państwa są słabe, może więc jednak warto podatki płacić uczciwie. Równocześnie chciałem powiedzieć, co sam na sobie przećwiczyłem, że człowiek ma niesamowitą zdolność do tworzenia racjonalnej argumentacji, że jednak warto złamać jakieś reguły albo przynajmniej je naciągnąć, bo się ma ważniejsze cele do zrobienia i to nie tylko bardziej się opłaca, ale i warto.

Drugie doświadczenie, którym chciałbym się podzielić, pochodzi z czasu ostatnich ośmiu lat, kiedy miałem zaszczyt pracować w służbie publicznej na wysokich stanowiskach. Nie chciałbym, żebyście państwo myśleli o politykach jako o ludziach, którzy są szczególnie gorsi lub lepsi niż my. Oni są tacy sami jak my, są z nas, tak jak księża są z narodu i z ludu, tak i politycy są z ludu i mają te same wady i zalety, które sami znamy. Często jednak politycy podlegają innym naciskom, presjom i pokusom. Jedną z pokus w życiu publicznym, z którą się spotkałem u moich koleżanek i kolegów polityków, ale również widziałem to u siebie, to pokusa, że mam coś bardzo ważnego do zrobienia w życiu publicznym, mam misję, którą realizuję dla kraju, dla innych, i że to, co robię, jest tak istotne, ważne, że staje się celem, który uświęca środki i działania, które podejmuję. W związku z tym mam pokusy, żeby łamać reguły albo je przynajmniej naginać.

Zaczyna się to od przekraczania reguł w dyskursie publicznym, przez ich naginanie czy funkcjonowanie na granicy prawa, nawet do przekraczania tego prawa. Nie musi się to wiązać, zwłaszcza jeśli dotyczy to ludzi na bardzo wysokich stanowiskach, z konsekwencjami prawnymi. Trzeba pamiętać, że premier, minister czy prezydent w czasie wykonywania swoich obowiązków nie podlegają bezpośrednio sądowi, tylko Trybunałowi Stanu. Nie pamiętam, ile Trybunałów Stanu odbyło się w ciągu tych 25 lat, by sądzić wysokich przedstawicieli za naruszenie prawa. W związku z tym istnieje pokusa, że kiedy robię coś dobrego dla innych, a reguły mi w tym przeszkadzają i opóźniają, to w imię celu, który uświęca środki, pojedę trochę po bandzie i zagram nie *fair play* wobec istniejących reguł i innych aktorów na scenie politycznej, zwłaszcza że procesy decyzyjne w demokratycznym kraju są rozciągnięte w czasie i podlegają długiej dyskusji. Sam ulegałem niekiedy tej pokusie, by skrócić okres konsultacji społecznych i zrobić coś szybko.

Przykładem może być sprawa Karty Dużej Rodziny, w którą byłem bardzo zaangażowany. Naprawdę znakomita sprawa. Ona się powoli rozwijała. Dochodziły do tego różne komercyjne zniżki. Tu muszę przyznać szczerze, że chcieliśmy w pewnym momencie z ministrem Kosiniakiem wprowadzać tę Kartę Dużej Rodziny bardzo szybko, bo mieliśmy poczucie, że im szybciej wprowadzimy, tym szybciej obuduje się ona tymi zniżkami i będzie to korzystne dla rodzin. Bogu dziękuję, że jakoś powstrzymaliśmy się przed tym, żeby nie robić tego na skrót, czyli bez konsultacji społecznych, które są bardzo trudne i żmudne. 30 dni jest na zebranie uwag, których spływa bardzo dużo. Wśród nich są uwagi rozsądne, ale i uwagi lobbystów i różnych wariatów, po czym trzeba na nie wszystkie odpowiedzieć. Taki proces trwa przynajmniej dwa miesiące. Jednakże dzięki otrzymanym uwagom niektóre elementy pierwotnej koncepcji Karty Dużej Rodziny zostały poprawione i dzisiaj mamy mechanizm, nad którym można się zastanawiać, czy on jest jeszcze do poprawienia, ale już zadziałał i działa dobrze. Dzisiaj jestem przekonany, że gdybyśmy to zrobili tak, jak chcieliśmy wcześniej, to prawdopodobnie ten mechanizm nie zadziałałby tak

dobrze, a mógłby i w ogóle nie zadziałać. Był bowiem taki pomysł, żeby natychmiast drukować karty, by jak najszybciej trafiły do obywateli, ale prawdopodobieństwo podrabiania tych kart byłoby wtedy dużo większe, a w efekcie gdyby te karty były podrabiane, to nikt by nie dawał na nie zniżki. I cała idea mogłaby zostać skompromitowana.

Chciałem powiedzieć, że zarówno w życiu obywatela wobec państwa, jak i w służbie publicznej pojawiają się pokusy, że nie tylko opłaca się nie zagrać *fair play*, ale także warto nie być *fair play* w imię tego wyższego celu. Osobiście uważam, że za taką postawą, żeby w imię celów nadrzędnych złamać reguły, bardzo perfidnie czai się Zły, kusząc nas do pychy. To jest taka szczególna forma pychy, że ja wiem lepiej, a inni się nie znają, w związku z czym ja tym innym pokażę, a oni zobaczą, jakie to jest dobre, i przyznają mi rację, i wybaczą, że naciągnąłem prawo, złamałem reguły.

Nie wiem, czy państwo czytali w rozesłanych cytatach wypowiedź ojca Salija, który bardzo ładnie pisze o osobowości psychopatycznej, która uważa, że zawsze jest OK, a wszyscy dookoła są nie w porządku. Myślę, że w służbie publicznej łatwo ulec takiej pokusie.

Jerzy Engel

Cieszę się, że jestem z państwem. Po raz pierwszy spotkałem się z ideą *fair play*, kiedy zdawałem na studia. Pani profesor, która była zwolenniczką *fair play*, podczas egzaminu na uczelnię zadała mi pytanie „proszę powiedzieć, co rozumiesz przez *fair play*?” Od tego momentu zacząłem się zastanawiać, co to jest *fair play*. W sporcie szczególnie często powtarza się to określenie. Muszę powiedzieć, że to nie jest prosta sprawa. Wypłynęła ona dopiero na poziomie reprezentacji narodowej, kiedy miałem ze sobą zawodników, którzy na co dzień byli raczej twardymi charakterami. Nie byli to chłopcy bardzo grzeczni. Byli to piłkarze, którzy wychowywali się w trudnych warunkach i granie *fair play* miało wtedy zupełnie inny wymiar. Weszli do reprezentacji narodowej, która jest zespołem, w którym idea *fair play* musi rządzić całym zespołem. Zanim się stanie

do rywalizacji z kimkolwiek, to musimy sobie zdawać sprawę, co to jest *fair play* u nas. I tego reprezentanci się uczą. Co znaczy *fair play* w reprezentacji narodowej i w grach zespołowych? Przede wszystkim nie oszukiwać partnerów, czyli dać z siebie maksimum. Jeśli każdy z nas odda wszelkie swoje siły dla zespołu, wtedy ten zespół ma szansę zaistnieć.



Jerzy Engel

Często słyszymy, że są zespoły, które mają duszę. Są jak obraz. Idziemy do galerii, widzimy setki obrazów, ale jeden obraz fascynuje nas i czujemy, że ten obraz ma coś wspólnego ze mną, on ma duszę, która mnie urzeka – i to samo jest z zespołami. Teraz trwają mistrzostwa Europy w piłce ręcznej. Jeśli którykolwiek z zawodników nie będzie *fair play* w stosunku do kolegów, to się wyda.

Ogromnie ważne było wprowadzenie do zespołów duchownych. Kiedy zaprosiłem Księdza Adama Zelgę do współpracy z reprezentacją narodową, to wtedy idea *fair play* zaczęła żyć w zespole. Okazało się, że cały zespół jest wierzący. Zbliżenie z osobą duchowną spowodowało, że nie tylko ja przygotowywałem ciała zawodników do zawodów, ale również ksiądz Adam pomagał przygotować ich dusze do tego, żeby zespół nie oszukiwał najpierw siebie, a później kibiców, którzy siedzą przed telewizorem. To jest dla mnie jako trenera, selekcjonera, sprawa najważniejsza w zespole. Nauczyć siebie samego, co to jest *fair play*, postępować zgodnie z jego zasadami, a później wprowadzić *fair play* do swojego zespołu. Wtedy dopiero możemy rywalizować z przeciwnikiem – tam zasady już są najróżniejsze. Lecz my walczymy z orłem na piersi – to zobowiązuje.

Grzegorz Polak

Chciałbym nawiązać do wypowiedzi pana Jerzego o zachowaniu *fair play* wobec przeciwnika, o niewykorzystywaniu okazji, które się nadarzają.

Zasada *fair play* zawsze od dzieciństwa kojarzyła mi się ze sportem. Pierwszymi zapamiętanymi przeze mnie mistrzostwami świata w piłce nożnej był mundial w 1962 roku w Chile. Tam właśnie mieliśmy wspaniały przykład zastosowania zasady *fair play* w praktyce. W meczu między Czechosłowacją a Brazylią fenomenalny napastnik drużyny brazylijskiej Pele grał z widoczną kontuzją, a obrońcy zawodnicy Czechosłowacji, wiedząc o tym, grali tak, żeby go nie faulować. A przepisy były wówczas takie, że w czasie meczu nie można było zmienić zawodnika. Gdyby Pele zszedł z boiska, Brazylia grałaby w dziesiątkę i być może nie dotarłaby do finału. To był piękny przykład rycerskiego, uczciwego zachowania w sporcie, szacunku dla przeciwnika.



Grzegorz Polak (z mikrofonem), obok Jerzy Engel

Teraz przejdę do mojego środowiska dziennikarskiego, bo tutaj, niestety, zasada *fair play* jest często łamana, wbrew „Kodeksowi etyki dziennikarskiej”. Przestrzeń medialna daje wręcz niewyobrażalną możliwość łamania tej zasady. Najczęstsze grzechy żurnalistów to: nieoddzielanie informacji od interpretacji, zniekształcanie faktów, manipulowanie nimi, przedstawianie ich w niewłaściwym świetle, naruszanie sfery prywatności i ludzkiej godności, brak odpowiedzialności za słowo. Pamiętam, że w duchu tej odpowiedzialności „ocenzurowałem” pewnego hierarchę kościelnego, którego wypowiedź – gdybym ją opublikował – doprowadziłaby do zaognienia stosunków katolicko-prawosławnych, akurat w tamtym czasie bardzo napiętych. Pokusa „puszczenia” *newsa* nie przeważała nad poczuciem odpowiedzialności. Dodam tylko, że nie chodziło o wywiad, tylko o wypowiedź w rozmowie ze mną, kiedy prosiłem tego hierarchę o komentarz do pewnego wydarzenia.

Jeśli weźmiemy z jednej strony „Gazetę Wyborczą”, a z drugiej „Gazetę Polską”, to widzimy nie tylko, jak dziennikarze zupełnie inaczej widzą te same fakty (co jest poniekąd zrozumiałe), ale jak często traktują je wybiórczo, nie szczędząc swoim przeciwnikom epitetów. Nieraz widzimy, jak dziennikarz, który prowadzi wywiad w telewizji publicznej, często ujawnia w sposobie prowadzenia, po której jest stronie. Czasem dochodzi do tego agresja i niepozwolenie rozmówcy na dokończenie wypowiedzi. Dalej: argumenty poniżej pasa, ciągle wypominanie adwersarzom zawinionych bądź niezawinionych grzechów. Wszystko to znamy, bo słuchamy radia, oglądamy telewizję, czytamy gazety.

Jestem dziennikarzem od prawie 40 lat i jak ja widzę siebie na tym tle? Mam sytuację komfortową, bo obracam się, można powiedzieć, w „sferach niebieskich”. Nie zajmuję się polityką i wybieram sobie tematy. Jestem uważany za człowieka Kościoła, zapraszają mnie do radia, telewizji, od TVN24 po Telewizję Republika. Wszędzie chodzę i korzystam z tego, że mam tam możliwość wypowiedzi i mogę bronić Kościoła. I nie mam żadnych uprzedzeń. Od samego początku w mojej pracy dziennikarskiej starałem się być uczciwy, obiektywny, rzetelny, obca jest mi agresja i manipulowanie faktami.

Kiedy pracowałem w „Gazecie Wyborczej”, w pierwszej fazie istnienia tego dziennika, to udało mi się zachować lojalność wobec Kościoła. Jako dziennikarz miałem informować o Kościele i jak teraz, po latach, wyciągam moje teksty, artykuły czy wywiady podpisane moim imieniem i nazwiskiem, to nie mam się czego wstydzić. Choć muszę przyznać, że raz złamałem zasadę *fair play* właśnie w „Gazecie Wyborczej”. Poproszono mnie o napisanie tekstu o stowarzyszeniu PAX. W 1991 roku odbyło się walne zgromadzenie tego stowarzyszenia. Było to środowisko tzw. postępowych katolików. Muszę tu zaznaczyć, że zaraz po studiach przez jakiś czas pracowałem w gazecie „Słowo Powszechne” wydawanej przez PAX. To, co napisałem w 1991 roku o PAX-ie, było powszechnie znane i nic dziwnego, że mój tekst był bardzo krytyczny, a jeszcze redaktor prowadzący go podrasował, dodając kilka zdań od siebie. Ten tekst spowodował, że kilkoro moich kolegów ze „Słowa” obraziło się na mnie. Choć nie atakowałem nikogo personalnie, tylko napisałem, że środowisko szło na współpracę z władzą komunistyczną. Dość szybko zreflektowałem się, że to był błąd i nie powinienem był tego robić. Tak jak mi się nie podoba, że trener krytykuje pracę drugiego trenera, polityk pracę drugiego polityka, tak samo dziennikarz nie powinien krytykować środowiska, w którym pracował. Różnica między przywołanym przeze mnie sportem a dziennikarstwem jest taka, że zawodnik za brutalny faul zostaje wyrzucony z boiska, a dziennikarz za to, że „dowała” nieuczciwie przeciwnikowi, nie zawsze jest karany, a czasem w swoim środowisku uchodzi nawet z bohatera.

Małgorzata Ludwikowska

Jeśli państwo pozwolicie, postawię na stole „coś”, co ze sobą przywiozłam z domu. Jest to właściwie zwykła świeca, nieco już zużyta, ale w mojej codzienności odgrywa bardzo ważną rolę. Zapalam ją w swoim domu, kiedy wstaję rano, choćby na chwilę, także gdy wracam do domu po pracy. Jej płomień towarzyszy mi do późnych godzin nocnych.



Małgorzata Ludwikowska przy zapalanej świecy,
obok Jerzy Engel

Dlaczego? Blask świecy przypomina mi i utwierdza mnie w przekonaniu, że skoro „światłość w ciemności świeci, a ciemność jej nie ogarnęła” (J.1.5), to reguła *fair play* obowiązuje mnie w każdej chwili codzienności, wybieram ją i staram się według niej żyć, pomimo ciemności, pokus i lęku.

Zasada *fair play* jest nieodłącznie związana z odczuwaniem prawdy. W moim rodzinnym domu stosowanie tej zasady wobec siebie samych i w relacjach z innymi (w domu i poza nim), było traktowane niezmiernie poważnie. Wiedzieliśmy, że uczciwe życie, choć nie jest łatwe, da nam siłę i odwagę, czasem wbrew wszystkiemu i wszystkim, aby sprzeciwić się kłamstwu, oszczerstwu czy niegodnemu postępowaniu. Stopniowo budowało się w nas przekonanie, że jeśli wytrwamy i zachowamy „prawdę”, to nie tylko że nie stracimy szacunku dla siebie samych, ale nauczymy się także szanować innych.

Ta rzeczywistość domu rodzinnego kłóciła się z codziennym życiem toczącym się poza nim. W związku z tym przeżywałam w młodości trudne chwile i czasem osamotniona wątpiłam, czy aby te „złote” zasady w życiu są słuszne i ważne. Każdego dnia doświad-

czałam (i nadal doświadczam) powszechności opinii, że oszukiwanie, postępowanie nie *fair play* jest w porządku, przynosi korzyści. Jednak uczyłam się (i wciąż się uczę) stawiać sobie pytanie, na ile jestem uczciwa wobec siebie i wobec innych? Mam świadomość, że staramy się najczęściej prezentować innym najlepszą wersję siebie. To jest przecież opłacalne, ponieważ ktoś nam zaufa, ktoś nam pomoże, ktoś pokocha... ale czy gramy wówczas *fair play*? Jak długo można udawać kogoś, kim się nie jest? Niektórzy powiedzą, że nawet całe życie... tylko czy warto? Przebudzenie i dostrzeżenie „światła świecy” w swoim sercu może być trudne, czasem nawet tak bolesne, że staje się niewykonalne, a nawet niewybaczone... Dlatego też *fair play* względem siebie jest podstawowym, choć trudnym zadaniem każdego dnia. Na ile potrafię sama przed sobą stanąć w prawdzie, na tyle jest we mnie siły, aby przekazać tę prawdę o sobie w spotkaniu z drugim człowiekiem.

Prawdę tę przekazuję swoim dzieciom. Bywa różnie z jej przyjmowaniem, mają obecnie po 15 lat, ale zdażyły się przyzwyczaić do tego, że w naszym domu często pali się świeca. Od jakiegoś czasu pytają, czemu tak jest. Opowiadam im wówczas historię z mojego wczesnego etapu eksploracji jaskiń. Podczas jednej z takich wypraw zgasła nam latarka. Otoczyła nas ciemność, nic nie widzieliśmy, nie mogliśmy się nawet ruszyć, nie znaleźliśmy drogi. Uratowała nas grupa niemieckich grotolarów. Moment, w którym zabłysło światło, był niezwykle, trudny do zapomnienia. Dlatego namawiam swoje dzieci do tego, żeby zapalały w swoich pokojach świece. Niech w ten sposób ćwiczą Prawdę Codziennosci, ponieważ w ciągu DNIA – kiedy samemu żyje się uczciwie, kiedy przebywa się wśród zaufanych osób, myślących i czujących podobnie – światła nie widać, ale kiedy zdarzy się NOC – czas trudności, wątpliwości, środowisko ludzi złorzeczących, kiedy pojawiają się pokusy, wątpliwości, ktoś namawia nas do nieuczciwości, zakłamania, czujemy lęk przed konsekwencjami – blask świecy przypomina, że światło pokona każdą ciemność. Trzeba oprzeć się na symbolice mocy światła... choćby świecy... to pomaga przetrwać słabość. Spróbujcie Państwo !

W pracy zawodowej, tej naukowej i dydaktycznej, także warto stosować zasadę *fair play*. Co prawda, spotykam różnych ludzi, jak to w życiu, także takich, którzy gonią za sukcesem, walczą o uzyskanie najlepszych wyników za wszelką cenę. Miałam równocześnie to ogromne szczęście, że trafiałam w czasie studiów na wykładowców, z którymi później współpracowałam, którzy rozpoznawali we mnie pasję w pracy badawczej, bez zakłamania, podobnej do ich własnej pasji. Miałam okazję współpracować z panią profesor Mycielską-Dowgiałło, która w Instytucie Geografii w Kielcach stworzyła zespół, w którym panowało wzajemne zaufanie. Jednakże pracując w takiej atmosferze, doświadczyłam niestety w swoim życiu zawodowym i takich przypadków, kiedy zaufałam komuś, a ten ktoś zachował się względem mnie nielojalnie i niegodnie. W takich sytuacjach patrzę na płomień palącej się świecy i mówię sobie, że przecież prawdy żadna ciemność nie pokona, rozświecili z czasem ukrywany fałsz i tajemnice. Warto w to wierzyć, warto żyć zgodnie z zasadą *fair play* – nagrodą jest pokój sumienia, grono zaufanych współpracowników oraz oddanych przyjaciół.

Dyskusja

Jan Zmyślony

Chciałbym zadać pytanie panu Jackowi Cichockiemu, czy liberalizm i chrześcijaństwo mogą ze sobą współistnieć. Byłem na posiedzeniu w Akademii Cnót Obywatelskich i tam ten problem był omawiany. Nurtuje mnie po tym wykładzie pytanie, jak pan, piastując takie odpowiedzialne stanowiska w administracji państwowej, radził sobie, będąc chrześcijaninem, z środowiskiem liberalnym. W chrześcijaństwie najważniejszą jest godność człowieka, a w liberalizmie na pierwszym miejscu stoi wolność i w imię tej wolności można człowieka zniewolić.



Jan Zmysłony

Jacek Cichocki

To nie jest prawda. Nie jestem filozofem, jestem z wykształcenia socjologiem. Jednak wszystkie książki, które czytałem na temat liberalizmu, nie potwierdzają, aby wolność była jedyną istniejącą wartością w liberalizmie. Mimo że sama nazwa liberalizm bierze się od słowa *liberty* i wolność jest ważnym elementem w liberalizmie, to nie jest tak, że wolność ponad wszystko, niczym nie ograniczana. Wolność łączy się z odpowiedzialnością, zgodnie z tym, co powiedział Jan Paweł II. Zresztą proszę pamiętać, że liberalizm to jest koncepcja tworząca się w dużej mierze na gruncie mechanizmów gospodarczych, ekonomicznych i kapitalistycznych, gdzie kwestie ograniczenia wolności są podstawową kategorią. Z tym więc w ogóle nie miałem kłopotu. Przez te osiem lat pracy w poprzednim rządzie chodziłem do spowiedzi i przyjmowałem komunię świętą. Większość grzechów, z których się spowiadałem, to nie były grzechy związane z pracą zawodową, ale raczej z moją postawą wobec drugiego człowieka jako mojego bliźniego.

Miałem natomiast jedną sytuację w czasie tych ośmiu lat, kiedy stanąłem wobec trudnego problemu jako katolik. To była kwestia związana z programem *in vitro*, ponieważ uważałem, że jeżeli rząd ma wydawać pieniądze na finansowanie programu, a był to program ministra zdrowia, to nie powinien dalej tolerować sytuacji, kiedy ta sprawa nie jest prawnie uregulowana w Polsce. Uważałem, że Kościół i wszyscy katolicy powinni domagać się uregulowania tej sprawy, czyli nie powinno być tak, że istnieje luka w prawie, czyli że można wylać zarodki do zlewu i nie jest to niczym ograniczone. Byliśmy, jak państwo wie, jedynym krajem w Europie bez regulacji prawnych w tym zakresie. Uważałem, że jeżeli rząd bierze za to odpowiedzialność, daje na to pieniądze, czyli wchodzi w tę sferę, to powinien też wprowadzić regulację. Jako katolik miałem pewną wizję i uważałem, że regulacja powinna iść w kierunku rozwiązań niemieckich, inni koledzy uważali, że powinny być to rozwiązania zbliżone bardziej do tych, które są w Czechach czy w Belgii, ale wszyscy się zgadzali, że powinno to być uregulowane. To był mój największy dylemat w czasie mojej pracy w rządzie, że został wprowadzony program *in vitro*, natomiast nie została wprowadzona żadna ustawa i powstała luka w prawie. Czyli kliniki mogły robić, co chcą. Dlatego uważam, że jest wielkim osiągnięciem minionego rządu wprowadzenie ustawy o *in vitro*, a krytyka samego faktu wprowadzenia tej regulacji jest nieuzasadniona. Uważałem, że bardzo dobrze, że biskupi w swoim liście bardzo jasno powiedzieli, jakie są zasady, którymi powinien kierować się katolik, i co powinno być w tej regulacji. Uważałem jednak, że sama regulacja jest niezbędna do tego, żeby powstało prawo, które to reguluje. I to był jedyny problem, z którym miałem do czynienia. Na szczęście został on zażegnany w ten sposób, że ta regulacja powstała, weszła w życie, a jako katolik widziałbym w tej regulacji więcej ograniczeń, których tam nie ma. Mam nadzieję, że obecny rząd, który deklaruje, że bliskie są mu wartości katolickie, dokona tych zmian w tym kierunku. Niestety nie słyszałem nic na ten temat ani w *expose* pani premier ani w wystąpieniach pana prezydenta. Natomiast cieszę się, że regulacja jest.

Jan Zmysłony

Jeśli ktoś nazywa metodę *in vitro* leczeniem niepłodności, to jest duże nieporozumienie. To jest wprowadzanie w błąd.

Jacek Cichocki

O tym możemy dyskutować. Natomiast dla mnie problem był taki, że jeżeli rząd daje pieniądze, a nie ma w ogóle regulacji prawnych, to można robić, co się chce. Teraz na szczęście wylanie do zlewu zarodków jest karane.

Elżbieta Mycielska-Dowgiało

Nawiążę do tego, co mówiła pani Małgosia Ludwikowska i co mi w swoim wystąpieniu uświadomiła. Jeżeli człowiek stara się widzieć siebie w prawdzie i daje ten sygnał, że w stosunkach międzyludzkich stara się nie kłamać, to ściąga do siebie takich samych ludzi i to się naprawdę opłaca. Ja miałam tę sytuację w środowisku kieleckim, gdzie pracowałam na pół etatu w Instytucie Geografii Wyższej Szkoły Pedagogicznej (dzisiaj Uniwersytetu) i dojeżdżałam tam przez kilkanaście lat, prowadząc zajęcia i tworząc tam zespół. Równocześnie pracowałam na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie też w pewnym momencie zaistniała możliwość stworzenia samodzielnego zespołu badawczego. Odbierałam jako szczególną łaskę Bożą to, że chcieli ze mną współpracować różni młodzi ludzie, z którymi porozumiewałam się na tej samej długości fal. Dotyczy to obu powstałych zespołów. One tworzyły się samoistnie. Jeżeli dołączali do nas ludzie działający na innych długościach fal, to sami się po jakimś czasie się wykruszali. To symboliczne światło świecy, o którym mówiła pani Małgosia, jakoś przyciąga takich samych ludzi. To jest chyba najcudowniejsza rzecz, którą można w życiu przeżyć i chyba wszystkim państwu tego życzę.

Krzysztof Haman

Wiele spraw niezbyt wyraźnie zostało dotychczas poruszonych. Na przykład, kwestia naszego stosunku do nieuczciwości wokół nas. Przejawia się to dla mnie w nieufności wzajemnej. Ludzie sobie

nie ufają i to jest przykre. W innych społeczeństwach bywa zwykle lepiej, w Stanach Zjednoczonych czy nawet w krajach skandynawskich. Wiele spraw, które u nas wymagają wielu papierków, tam załatwia się przez telefon. Jeżeli ludzie są odpowiednio ukształtowani i wychowani od dzieciństwa, to w takim społeczeństwie nie ma nieufności i obaw.



Krzysztof Haman

głupio o nie prosić. Wydaje mi się, że warto zwrócić uwagę na kwestie uczciwości wokół nas.

Druga sprawa, którą chciałem poruszyć, to jest kwestia „szarej strefy” obszarów uczciwości. Przytoczę przykład z czasów zamierzchłych, kiedy nie każdy miał telefon w kieszeni i czasem korzystało się z telefonu służbowego do rozmów prywatnych. Jeżeli zdarzało się to od czasu do czasu, to dla instytucji nie był to żaden znaczący koszt, a zamieszanie związane z wychodzeniem ludzi do budek telefonicznych mogłoby być szkodliwe dla funkcjonowania instytucji. Z drugiej jednak strony, gdyby któryś z pracowników wykonywał rozmowy prywatne do Stanów Zjednoczonych z telefonu służbowego, to już sprawa byłaby inna. Jest więc taki przedział

Z moich pobytów w Moskwie w latach 60. pamiętam, że w autobusach nie było automatów biletowych, była natomiast przezroczysta puszka, do której się wrzucało parę kopiejek i odrywało bilet z rolki. Wymuszało to uczciwość, bo każdy widział, czy wrzucam należną opłatę. To nie jest metoda wychowawcza, ale można powiedzieć, że w jakiś sposób kształtowała poziom uczciwości.

Obecnie mam problem z tym, jak ktoś nie wydaje mi pokwitowania. Staram się upominać o nie, choć czasami jest mi

„szarej strefy”, gdzie zachowanie bezwzględnej uczciwości byłoby absurdem, w drugim przypadku zaś ewidentną nieuczciwością. Znalezienie granicy między tymi dwoma biegunami wymaga uczciwości wewnętrznej i rozsądku. Istnieje tzw. strajk włoski, w którym absolutnie ściśle przestrzeganie przez pracownika obowiązujących reguł potrafi sparaliżować instytucję. Trzeba umieć znaleźć złoty środek w obrębie tej „szarej strefy” między uczciwością a oczywistą nieuczciwością.

Andrzej Dowgiałło

Znany jest fakt, że w relacjach handlowych ceniona jest solidność kontrahenta, kiedy to nie są potrzebne kosztowne prawne i materialne zabezpieczenia, a zobowiązanie podjęte przez telefon będzie niezawodnie spełnione. Na szczęście istnieją w Polsce duszpasterstwa handlowców i przemysłowców, dzięki którym rośnie liczba osób pielęgnujących postawy *fair play* i wzajemnego zaufania w interesach.



Andrzej Dowgiałło (z mikrofonem)

Inne zagadnienie to model kulturowy w Polsce, dzięki któremu młodzi ludzie w szkołach różnych szczebli nie widzą niczego złego w posługiwaniu się w czasie sprawdzianów notatkami, urządzeniami elektronicznymi czy w korzystaniu z podpowiedzi kolegów. W różnych krajach korzystanie z takich „pomocy naukowych” może być nawet powodem usunięcia ucznia czy studenta ze szkoły. Wymownym przykładem jest historia pewnego Polaka z patriotycznej rodziny urodzonego po II wojnie w Anglii, który postanowił osiąść w Polsce i uczyć młodzież języka angielskiego. Ów pan był zdumiony powszechnością zjawiska korzystania w szkole z takich źródeł informacji i karał za to stopniem niedostatecznym z przedmiotu, ku oburzeniu rodziców i, co gorsza, pozostałych nauczycieli. Nie wiem, jak długo wytrzymał on w tej samotnej walce. Jednocześnie – co ciekawe – ze zbiorowym potępieniem spotyka się u nas donosicielstwo, powszechne w modelu kulturowym brytyjskim, gdzie za obowiązek uważa się reagowanie na nieuczciwość na każdy szczeblu społecznym.

Jerzy Engel

Chcę powiedzieć, że moim zdaniem nie ma takiej firmy, dla której warto byłoby być nieuczciwym, gdyż konsekwencje takiego działania mogą być trudne do przewidzenia nawet dla nas samych. Tego też uczy się zawodników. Nie ma takiej możliwości, żebyśmy zrobili coś, co jest nieuczciwe, a co byłoby niezauważone. Na przykład, zawodnik Henry, który grał w reprezentacji Francji. Reprezentacja ta miała problem, by awansować do finałów mistrzostw świata. Na tym najważniejszym meczu z Irlandią Henry wywalczył awans. Gdyby był remis, oni by nie awansowali. Henry wywalczył bramkę ręką, czego nie zauważył sędzia, ale kamery obnażają wszystko. Gdy pokazano jego zagranie, okazało się, że było nieuczciwe. Oczywiście protesty na nic się zdały, bo było już po meczu. Niemniej jednak, mimo że on to zrobił dla reprezentacji narodowej, mimo że reprezentacja awansowała do mistrzostw świata, to musiał wyjechać z Europy i kończyć swoją karierę poza Europą. A więc widzimy, że nie ma takiej marki, dla której opłacałoby się w jakikolwiek sposób postąpić nieuczciwie.



Jerzy Engel wśród panelistów

Chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Z mojego osobistego doświadczenia wiem, że nigdy nie powinniśmy grać, udając kogoś innego. Gdybym udawał Górskiego, Piechniczka czy Strejlau'a, to i tak nie byłbym żadnym z nich. Albo jestem taki, jaki jestem i mnie przyjmiecie, moje zasady, mój sposób bycia, moją filozofię pracy, albo się nie dogadamy i nic z tego nie będzie. Ważne, aby być zawsze sobą. Tylko aktorstwo daje tę możliwość, że tam można być osobą, która gra tysiące ról. U nas obowiązuje zasada bycia sobą, oszukać można raz. Chciałbym, żeby te dwa krótkie przesłania pozostały po moim wystąpieniu.

Jacek Cichocki

To, co powiedział pan Jerzy Engel, sprowokowało mnie do dodania dwóch zdań. Chciałem nawiązać do rozmowy z jedną moją byłą współpracownicą, która właśnie poszła do firmy prywatnej, żeby tam zacząć pracować. Dostała niższe stanowisko, ale z niezłymi pieniędzmi i spotkała się z sytuacją podobną do opisanej

przez pana Engela. Szybko zorientowała się, że w tej firmie dochodzi do regularnych szwindli. Pracowała w dziale promocji, gdzie pisze się jedno, towar zaś jest inny, ale reklama dźwignią handlu i trzeba to robić. Ona wtedy zaprotestowała „słuchajcie, to jest nieprawda” i w tym momencie spotkała się z mocną presją „po pierwsze młoda jesteś, po drugie płacimy ci za to, a po trzecie wszyscy tak robią”. Po dwóch miesiącach zwolniła się stamtąd, potem trzy miesiące szukała pracy. Następną pracą, jaką dostała, była o połowę mniej płatna. Powiedziałem jej wtedy, że jest dzielnym człowiekiem, bo nam, mającym już jakąś pozycję, łatwo jest mówić, postawić się, osądzić, że ktoś robi źle. Wy, młodzi, będziecie lub już jesteście poddawani mocnym presjom i to jest wyzwanie. Samemu jest czasem ciężko podołać. Trzeba poprosić kogoś mocniejszego o pomoc.



Jacek Cichocki wśród panelistów

Krzysztof Haman

Chciałbym jeszcze dwa zdania dodać na temat, o którym wspominałem wcześniej, o „szarej strefie” uczciwości. Bywa, że korzystam z drukarki w instytucie do celów prywatnych. Żeby

zrekompensować finansowo korzystanie z tego urzędnika od czasu do czasu kupując ryżę papieru. Dawniej mi się zdarzało robić prywatne rzeczy w laboratorium, równocześnie wiele sprzętu laboratoryjnego kupowałem prywatnie, ponieważ w latach 90. bardzo dużo rzeczy było trudno kupić w sklepach, na targu zaś można było kupić bardzo dobry sprzęt za grosze.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Do tego, co powiedział profesor Haman, dodam, że to jest kwestia wrażliwości sumienia. Człowiek może mieć sumienie wrażliwe albo szerokie. Podobne rzeczy pamiętam ze swojego życia, o jakich pan przed chwilą powiedział. Jeżeli korzystałam z rzeczy państwowych, na przykład telefonów dla swoich prywatnych celów, to w sumieniu rozliczałam się z tą sprawą w taki sposób, że coś w zamian za to dla instytucji kupiłam. W swoim sumieniu byłam czysta, ponieważ sama skorzystałam, ale jako równowartość tego dałam coś od siebie. Mogły to być rzeczy materialne, ale mogły być też dodatkowe zajęcia, za które się nie brałam ani grosza. Jest to więc kwestia sumienia, a takich rzeczy jest mnóstwo. Pamiętam czasy, kiedy w autobusach czy tramwajach był taki tłok, że nie było się w stanie skasować biletów lub dojść do konduktora. Wtedy na ogół wyrzucałam nieskasowany bilet. Było to kwestią sumienia.

Spotkaliśmy się w naszej rodzinie z taką sytuacją, że otrzymaliśmy spadek. To był spadek zagraniczny i wiemy, że parę osób zapłaciło podatek. Dowiedzieliśmy się jednak, że niektórzy tego podatku nie zapłacili, bo otrzymany spadek można było ukryć. To jest kwestia sumienia. Jeśli w najdrobniejszych sprawach będzie się uczciwym, to łatwiej być uczciwym również w tych sprawach trudniejszych.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

C.d. wypowiedzi otrzymany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Czy warto być uczciwym?

Jednego dnia zapukała do nas znajoma.

– Słuchaj, mam pewną sprawę do omówienia.

Znaliśmy się już od dosyć dawna, bo mieszkaliśmy w pobliżu siebie. My od ponad blisko piętnastu lat „zasiedziali Australijczycy” – oni przed trzema laty przybyli tutaj z Polski. Ich dwoje dzieci było o parę lat starszych od naszej czwórki.

– Wiesz – powiedziała – proponuję, żebyśmy się wymienili adresami.

Nie bardzo rozumiałam, o co chodzi.

– Moja Ala ma już 17 lat – kontynuowała. – Według prawa australijskiego mogłaby dostać rządową zapomogę pieniężną, *Austudy*, bo w dalszym ciągu się uczy, ale musiałaby mieszkać poza domem, czyli teoretycznie być na własnym utrzymaniu. Ponieważ mieszka w domu, to jej się *Austudy* nie należy, bo za dużo zarabiamy. Mogłaby podać wasz adres, że u was mieszka. Gdyby ktoś pytał, no to byś potwierdziła. Ona i tak jest często u was, to by sobie zabierała korespondencję, jaka tutaj będzie przychodzić. Wasze dzieci będą niedługo w takiej samej sytuacji, dodała – wtedy mogą bez problemów podać nasz adres. Dlatego powiedziałam na początku, żebyśmy się wymienili adresami.

Tej propozycji nawet nie musiałam konsultować z mężem. Jego opinię dobrze znałam. – Nie, niestety, nie mogę się zgodzić – odpowiedziałam stanowczo.

– Ale wszyscy tak robią! – Sąsiadka nie dawała za wygraną. – Ala mówiła, że wiele jej koleżanek podaje adresy znajomych lub dalszej rodziny i nikt się nie czepia. Dostają co dwa tygodnie czek. Nie jest tego dużo, ale zawsze im starczy na drobne wydatki.

Sprawę uważaliśmy za zamkniętą. Nie, nie możemy się zgodzić.

Nasze argumenty były proste. Jak możemy wychować dzieci na uczciwych ludzi, kiedy tuż przed wkroczeniem przez nich w dorosłe życie aplikujemy im tak solidną dawkę nieuczciwości?

Upłynęło parę lat. Nasz dochód o parę tylko dolarów przekraczał wymaganą granicę otrzymania przez dzieci *Austudy*. Prawo jest prawem. Respektować je trzeba. Trzeba także nauczyć się planowania wydatków zależnie od możliwości.

Po blisko dwudziestu latach zarówno my, rodzice, jak i nasze dorosłe już dzieci możemy śmiało powiedzieć – uczciwość popłaca. Szczególnie kiedy widzimy, jak potoczyły się losy wielu z ich rówieśników, którym krótkowzroczni rodzice nie pomogli w zachwianiu kręgosłupa uczciwości.

Jak rozumiem feminizm?

Cytaty

**Jan Paweł II, List (przesłanie) *it is with genuine pleasure*
do Sekretarza Generalnego IV Światowej Konferencji ONZ
poświęconej kobiecie
26 maja 1995 (fragment)**

Rozwiązania problemów podejmowanych na forum konferencji, jeśli mają być uczciwe i trwałe, muszą być oparte na uznaniu wrodzonej, niezbywalnej godności kobiet oraz znaczenia ich obecności i uczestnictwa we wszystkich dziedzinach życia społecznego. W istocie bowiem uznanie godności każdej ludzkiej istoty jest fundamentem i podstawą koncepcji powszechnych praw człowieka. Dla ludzi wierzących ta godność i wynikające z niej prawa są mocno zakorzenione w prawdzie o stworzeniu człowieka na Boży obraz i podobieństwo.

Jak podkreślają zwykle same kobiety, równa godność nie oznacza „tożsamości” z mężczyznami. Taka tożsamość zubożyłaby jedynie kobiety i całe społeczeństwo, zniekształcając lub niszcząc niepowtarzalne bogactwo i wewnętrzną wartość kobiecości. Według wizji Kościoła, mężczyźni i kobiety zostali powołani przez Stwórcę, aby żyć w głębokiej wzajemnej komunii, poznając jedni drugich i składając siebie w darze, działając razem dla wspólnego dobra i uzupełniając się nawzajem dzięki komplementarności cech kobiecych i męskich.

Jednocześnie nie możemy zapominać, że w sferze osobowej człowiek nie doświadcza swojej godności dzięki temu, że jego prawa zostały potwierdzone na płaszczyźnie prawnej i międzynarodowej, ale dzięki konkretnemu oparciu materialnemu, emocjonalnemu i duchowemu, jakie znalazł w łonie własnej rodziny. Żadna odpowiedź na problemy kobiet nie może abstrahować od roli kobiety w rodzinie ani lekceważyć faktu, że każde nowe życie jest bez reszty powierzone trosce i opiece kobiety, która nosi je w łonie. Aby zachować ten naturalny porządek rzeczy, należy zwalczać błędny

pogląd, że macierzyństwo zniewala kobiety, że ich oddanie rodzinie, a zwłaszcza dzieciom, nie pozwala im zrealizować osobistych aspiracji, zaś kobietom jako kategorii uniemożliwia aktywny udział w życiu społecznym. Nie tylko dzieci, ale także kobiety i samo społeczeństwo cierpi na tym, gdy wpaja się kobiecie poczucie winy z tego powodu, że pragnie pozostać w domu, aby wychowywać dzieci i opiekować się nimi. Należy raczej doceniać, pochwalać i popierać na wszelkie sposoby obecność matki w rodzinie, tak bardzo istotną dla trwałości i wzrostu tej podstawowej komórki społecznej. Z tego samego powodu społeczeństwo powinno przypominać mężom i ojcom o ich obowiązkach, powinno także starać się kształtować sytuację, w której nie będą oni zmuszeni przez warunki ekonomiczne do opuszczania rodziny w poszukiwaniu pracy.

Ponadto w dzisiejszym świecie, w którym wiele dzieci znajduje się w bardzo trudnych sytuacjach zagrażających nie tylko ich długofalowemu rozwojowi, ale nawet ich życiu, należy koniecznie przywrócić i umocnić rolę rodziny jako środowiska, w którym odpowiedzialni rodzice – matka i ojciec – są w stanie zapewnić dzieciom bezpieczeństwo. Dzieci potrzebują zdrowego środowiska, stabilnego życia rodzinnego, które zapewni im osiągnięcie dojrzałości – dziewczynkom w takim samym stopniu jak chłopcom.

Nie powinno ulegać wątpliwości, że kobiety – ze względu na swą równą godność z mężczyznami – „mają pełne prawo do czynnego udziału we wszystkich dziedzinach życia publicznego i to ich prawo domaga się potwierdzenia i ochrony także przy pomocy środków prawnych, tam gdzie jest to konieczne”. Istotnie, w wielu społeczeństwach kobiety poczyniły wielkie postępy w tym kierunku, angażując się w sposób bardziej zdecydowany – choć czasem dopiero po pokonaniu wielu przeszkód – w życie kulturalne, społeczne, gospodarcze i polityczne. Jest to pomyślny i bardzo obiecujący proces. Potrzebne są głębokie zmiany w zachowaniach i w organizacji społecznej, które ułatwią udział kobiet w życiu publicznym, a zarazem umożliwią kobietom i mężczyznom spełnianie ich szczególnych obowiązków wobec rodzin. W pewnych przypadkach potrzebne są także zmiany, które otworzą kobietom dostęp do włas-

ności i pozwolą im zarządzać własnym majątkiem. Nie można też zapominać o szczególnych trudnościach i problemach, z jakimi zmagają się kobiety żyjące samotnie lub samodzielnie kierujące rodzinami.

**Jan Paweł II – List do kobiet *aciacuna di voi* Ojca świętego
Jana Pawła II na IV Światową Konferencję o kobiecie w Pekinie
29 czerwca 1995 (fragment)**

Kościół – napisałem w Liście apostolskim *Mulieris dignitatem* – „pragnie złożyć dzięki Najświętszej Trójcy za «tajemnicę kobiety» i za każdą kobietę – za to, co stanowi odwieczną miarę jej godności kobiecej, za «wielkie dzieła Boże», jakie w niej i przez nią dokonały się w historii ludzkości”.

Podziękowanie Panu Bogu za Jego zamiśl określający powołanie i posłannictwo kobiety w świecie staje się także konkretnym i bezpośrednim podziękowaniem składanym kobietom, każdej kobiecie za to, co przedstawia sobą w życiu ludzkości.

Dziękujemy ci, *kobieto-matko*, która w swym łonie nosisz istotę ludzką w radości i trudzie jedynego doświadczenia, które sprawia, że stajesz się Bożym uśmiechem dla przychodzącego na świat dziecka, przewodniczką dla jego pierwszych kroków, oparciem w okresie dorastania i punktem odniesienia na dalszej drodze życia.

Dziękujemy ci, *kobieto-matżonko*, która nierozzerwalnie łączysz swój los z losem męża, aby poprzez wzajemne obdarowywanie się służyć komunii i życiu.

Dziękujemy ci, *kobieto-córko* i *kobieto-siostro*, która wnosisz w dom rodzinny, a następnie w całe życie społeczne bogactwo twej wrażliwości, intuicji, ofiarności i stałości.

Dziękujemy ci, *kobieto pracująca zawodowo*, zaangażowana we wszystkich dziedzinach życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego, artystycznego, politycznego, za niezastąpiony wkład, jaki wnosisz w kształtowanie kultury zdolnej połączyć rozum i uczucie, w życie zawsze otwarte na zmysł „tajemnicy”, w budowanie bardziej ludzkich struktur ekonomicznych i politycznych.

Dziękujemy ci, *kobieto konsekrowana*, która na wzór największej z kobiet, Matki Chrystusa Słowa Wcielonego, otwierasz się ulegle i wiernie na miłość Bożą, pomagając Kościołowi i całej ludzkości dawać Bogu „oblubieńczą” odpowiedź, wyrażającą się w przedziwnej komunii, w jakiej Bóg pragnie pozostawać ze swoim stworzeniem.

Dziękujemy ci, *kobieto*, za to, że jesteś *kobietą*! Zdolnością postrzegania cechującą twą kobiecość wzbogacasz właściwe zrozumienie świata i dajesz wkład w pełną prawdę o związkach między ludźmi.

KONWERSATORIUM LXXXV

(20 lutego 2016)

Jak rozumiem feminizm?

Prowadzący: Ks. **Adam Zelga**, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; **Aneta Gawkowska**, nauczyciel akademicki, Uniwersytet Warszawski, socjolog; **Elżbieta Mycielska-Dowgiałło**, rektor SWPR; **Zofia Ratajska**, historyk sztuki, pisarka, dziennikarka; **Biruta Przewłocka-Pachnik**, prezes Diakonii Kościoła Ewangelicko-Reformowanego.

Ks. Adam Zelga

Bardzo serdecznie witam wszystkie panie, które bardzo kochamy, również feministki. Uważam, że praktyczne skutki troski o tak zwane wyzwolenie kobiet, czyli feminizm, to nurt herezji mówiących o samostanowieniu człowieka. Człowiek sam może stanowić o sobie, tak kobieta jak i mężczyzna. To herezja. Człowiek jest relacyjny. Takie podejście kieruje człowieka w rozpacz i pustkę, a jego praktyczne skutki widzimy w demografii, w życiu singli, w mechanizmach zmuszających kobiety do pracy poza domem i rodziną, szczególnie w korporacjach, oraz w aborcji i antykoncepcji. Te ostatnie uwolniły mężczyzn od odpowiedzialności za życie drugiego człowieka – dziecka. Chyba koło 8 marca w 1998 roku w jakiejś gazecie opublikowano taki krótki tekst – głos feministek, czy jakiegoś ruchu wyzwolenia kobiet, gdzie było napisane, że kobieta powinna występować w reklamie jako bizneswoman, a nie jako gospodyni domowa. Mnie to oburzyło i wtedy napisałem wiersz, którym zakończę mój wstęp. Był on już cytowany w Konwersatorium 11 listopada 2005 roku.



Paneliści: Ks. Adam Zelga, Zofia Ratajska, Biruta Przewłocka-Pachnik,
Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Wiersz dla mojej Mamy

moja Mama
nie była bizes women
i nie znała się na reklamach

budziła mnie codziennie
podawała śniadanie
a kiedy wychodziłem do szkoły
mówiła „Idź z Bogiem”
stawiała krzyżyk na czole i całowała

nigdy
nie nosiłem z sobą kluczy
drzwi do domu były otwarte
zawsze
na stole czekał gorący obiad

nie cenilem tego

lecz dziś
kiedy czytam
że na reklamie
biznes woman to cacy,
a kobieta jest „be”
jako obiekt seksualny
oraz
jako matka, żona i gospodyni domowa

ogarnia mnie gniew
bo obrażono moją Mamę,
a Ona umarła
i nie może się bronić

miewam też sny
widzę w nich siebie
z kluczem na szyi
śniadaniem w termosie
obiadem z mikrofalówki
i gosposią na spacerze
a dla mojej mamy z reklamy
liczy się najpierw biznes

dopiero potem, potem, potem,
potem
później
gdzieś tam
(na którym miejscu?)
dziecko
ja

To jest moje zdanie na temat feminizmu również i dzisiaj.

Aneta Gawkowska

Wyrażam głęboki żal z powodu niedyspozycji zdrowotnej, która uniemożliwia mi uczestnictwo w Konwersatorium. Proszę przekazać moje usprawiedliwienie pozostałym Uczestniczkom i Uczestnikom. Niestety, pani doktor potwierdziła, że muszę leżeć i przepisała antybiotyk. Infekcje są bezlitosne w te dziwne dni pogodowe...

Chciałabym jednak choć minimalnie zrekompensować moją nieobecność, wysyłając kilka następujących zdań, które przybliżają moje stanowisko w omawianej kwestii.

Otóż dla mnie feminizm w swoim bogactwie odmian, historycznie był i jest zestawem postulatów mających na celu słuszne upominanie się o równość kobiet wobec mężczyzn i/lub promocję kobiet w różnych sferach życia społecznego. Ideowo i strategicznie poszczególne odmiany feminizmu różnią się od siebie znacznie, tak że nie sposób tu ich wszystkie nawet wzmiankować.

Mnie interesuje naukowo stosunkowo mało znana odmiana feminizmu inspirowana nauczaniem św. Jana Pawła II o kobiecie i o relacji kobiet i mężczyzn (zaprezentowanym w tzw. teologii ciała). Nowy Feminizm to stanowisko teoretyczno-praktyczne, które zakłada równość osób kobiet i mężczyzn, ale też dostrzega ich różnice, które jednak nie służą tworzeniu hierarchii ani dyskryminacji, ale uzupełniania się, komplementarności, która widoczny swój rys ukazuje w małżeństwie. Nowy Feminizm nie przypisuje jednak kobietom statycznie rozumianej roli gospodyni. Zachęca on do odkrywania bogactwa indywidualnych darów poszczególnych kobiet.

Nie stoi to jednak w sprzeczności wobec twierdzenia, że istnieje esencja kobiecości (i męskości) wiążąca się z różnicą płci. Specyfika kobieca (ale nie przeciwstawiona męczyźnie, a jedynie ukazująca trochę inaczej pewien ważny aspekt wspólnego człowieczeństwa) jest powiązana z możliwością rodzenia dzieci, która to możliwość jako taka (bez konieczności jej fizycznej realizacji przez wszystkie kobiety!) uwrażliwia kobietę na dobro osoby ludzkiej. Co za tym idzie, kobieta wierna swojej naturze i swojemu spełnieniu (w małżeństwie, w zakonie lub poza nimi) wnosi swoją egzystencją wartości osobowe do sfery publicznej, a nie tylko prywatnej. Tym

samym często uwrażliwia mężczyzn i przypomina im o wspólnej konieczności troski o człowieka, o relacje, o wspólnoty, o środowisko pracy przyjazne ludziom itd.

Więcej na ten temat pisałam w mojej książce, którą zamierzałam pokazać na Konwersatorium: „Skandal i ekstaza. Nowy Feminizm na tle koncepcji pojednania według Jana Pawła II”.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Jak rozumiem feminizm zgodny z nauką Jana Pawła II?

Feminizm uznaję jako ruch społeczny, który podkreśla równą godność kobiety i mężczyzny, równocześnie podkreślając różną ich tożsamość. Chciałabym to zagadnienie najpierw przedstawić na tle rodziny. Kobieta decydując się na małżeństwo sakramentalne i rodzinę, decyduje się też na urodzenie i wychowanie dzieci. I to jest jej zadanie pierwszoplanowe. Równocześnie nie powinna zaprzepaścić, „zakopać” swoich talentów. Pogodzić te dwa zadania można w bardzo różny sposób, zależny od wielu czynników.

Pierwszym z czynników jest sposób realizacji tego w rodzinie – w jakim stopniu żona jest wspierana w tym zakresie przez męża. Jaki model zostanie wybrany, to zależy od uzgodnień w rodzinie, ale uważam, że wsparcie żony przez męża w tym zakresie ma podstawowe znaczenie.

W moim przypadku wsparcie mojego męża czułam przez całe życie. Obydwoje pracując naukowo, wybraliśmy pewien model – równoczesnego wychowania dzieci i realizacji naszych talentów. Nie mając oparcia w rodzicach (rodzice mojego męża, jak i moja matka już nie żyli), mieliśmy przez pierwsze 15 lat życia naszych dzieci dwie bardzo zacne starsze panie, gosposie – równocześnie opiekunki naszych dzieci. Spełniały one rolę babć, których nasze dziewczynki były pozbawione. Mnie zaś wyręczały w większości prac domowych, co pozwalało mi więcej czasu spędzać z dziećmi.

Są oczywiście inne modele. Na przykład, oba zadania kobiety są realizowane w różnym czasie: najpierw wychowanie dzieci, a potem realizacja talentów. Znam przypadek, że po wychowaniu czwórki dzieci żona wróciła do uniwersyteckiej kariery, zrobiła dok-

torat i habilitację i została znanym profesorem w swojej dziedzinie.

Powiedziałam o realizacji talentów w zakresie prac badawczych, ale oczywiście talenty są bardzo różne i każde małżeństwo musi wypracować sobie swój model.

Chciałabym też odnieść się do innego wyboru kobiety – wyboru życia kontemplacyjnego. Jak to widzę? Tutaj pierwszoplanowym zadaniem kobiety jest wypełnianie zobowiązań zgodnych z misją danego zgromadzenia. Może to być modlitwa, opieka nad chorymi, ubogimi, praca wychowawcza, edukacyjna itd. Ale jest i drugie zadanie kobiety – realizacja własnych talentów. Tak jak w małżeństwie podstawowe zadanie ma mąż wspierający żonę i umożliwiający realizację jej talentów, tak tu, w zgromadzeniu, obowiązek ten spoczywa na przełożonej zgromadzenia. Powinna rozpoznać talenty u siostr i umożliwić im ich realizację. Obserwuję to od wielu lat u Sióstr Karmelitanek na Islandii. Poza spełnianiem swojej misji – modlitwy w różnych intencjach, również osób proszących je o modlitwę, siostry realizują swoje talenty. Są tam Siostry znakomite w różnych pracach inżynierskich, budowlanych, hydraulicznych, elektrycznych itp., są siostry o ogromnych talentach artystycznych (malarskich, rzeźbiarskich czy muzycznych), jeszcze inne są znakomite w pracach ogrodniczych. Każda z sióstr zajmuje się tym, co kocha i co robi najlepiej. Są to osoby w pełni szczęśliwe. To od nich emanuje.

Inny przykład z naszego podwórka to Siostra Loyola Opiela ze zgromadzenia Sióstr Służebniczek, która poszła drogą naukową, jest doktorem habilitowanym i znakomitą wykładowcą na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Realizuje misję swojego zgromadzenia przez pracę naukową, a równocześnie rozwija swój talent badacza. Znając ją, myślę, że jest osobą szczęśliwą.

Uważam, że warto o tym mówić, bo słyszy się, że są domy zakonne, w których realizacja talentów jest źle widziana przez przełożone.

Biruta Przewłocka-Pachnik

Na początku chciałam się przedstawić. Należę do Kościoła Ewangelicko-Reformowanego i jestem prezesem Diakonii tegoż Kościoła, czyli odpowiednika Caritasu w Kościele katolickim.

Aby mówić o feminizmie, wsparłam się paroma źródłami, które chciałam przeczytać. Według Słownika Języka Polskiego PWN, feminizm jest definiowany jako „ruch dążący do prawnego i społecznego równouprawnienia kobiet, zapoczątkowany w czasie rewolucji francuskiej”. Natomiast Słownik teorii feminizmu tak definiuje feminizm: „definicja feminizmu obejmuje zarówno doktrynę równych praw dla kobiet, w praktyce zorganizowany ruch na rzecz praw kobiet, jak i ideologię społecznych przeobrażeń, których celem jest nie tylko społeczna równość, ale powstanie świata, który byłby także światem dla kobiet”. Feminizm powinien rozróżniać prawa kobiet od emancypacji. Ogólnie feminizm jest ideologią wyzwolenia kobiet, bowiem istotą wszelkich nurtów feminizmu jest przekonanie, że kobieta cierpi niesprawiedliwość z powodu własnej płci. Seksualność jest pierwotną sferą społeczną, która nazywa się męską władzą.



Biruta Przewłocka-Pachnik

Z książki „Kobiety i religie” przeczytam fragment na temat feminizmu: „zadaniem każdego teologa chrześcijańskiego jest analiza objawienia poprzez oddzielenie tego, co ludzkie, od tego, co Boże. Teolog winien oddzielić, co niezbywalne, trwałe i konieczne, od

tego, co kulturowo i społecznie zmienne”. I nawiązując do tej terminologii, można powiedzieć, że zadaniem teologa chrześcijańskiego będzie w przypadku miejsca kobiet w Kościele rozstrzygnięcie, czy zakazy posługiwania są związane z Boskim nakazem czy wynikają z faktu, że autorami ksiąg biblijnych byli ludzie z semickiego kręgu kulturowego, żyjący na Bliskim Wschodzie w określonym czasie.

Teraz moje świadectwo związane z obecnością kobiety i jej roli w Kościele protestanckim, który reprezentuję. W 2014 roku wygłosiłam referat na forum inteligencji ewangelickiej, który zatytułowałam „Doświadczenia kobiety prezbitera w Kościele Ewangelicko-Reformowanym w Polsce”. Kościół Ewangelicko-Reformowany jest Kościołem historycznym, wyłonionym w czasie reformacji w XVI wieku według idei reformatorskiej Kalwina (czasem używa się określenia Kościół Kalwiński, w Polsce nazywa się Kościołem Reformowanym, natomiast w Stanach nazywa się Kościołem Prezbiteriańskim, gdyż chodzi o rolę prezbitera w Kościele).

Teraz mogę przejść do mojego własnego świadectwa. Chcąc przedstawić rolę kobiety w Kościele Ewangelicko-Reformowanym w Polsce, muszę się odwołać do najważniejszego aktu prawnego, jakim jest prawo wewnętrzne. We wstępie czytamy: „wspólnota wiernych tworząca Kościół Ewangelicko-Reformowany Rzeczypospolitej Polskiej wyznaje, że Pismo Święte jest jedyną podstawą wiary i normą życia. Artykuł 4 postanawia, że do realizacji swych zadań ustanawia urzędy: duchownego, to jest sługi Słowa Bożego, starszego – prezbitera i diakona. Artykuł 4. mówi: ustrój wewnętrzny Kościoła jest synodalno-prezbiterialny. O wszystkich sprawach Kościoła tak pod względem religijnym, jak i administracyjnym decyduje Synod, którego organem wykonawczym jest Konsystorz”.

Warto odwołać się do Biblii, sięgając do Dziejów Apostolskich, gdzie czytamy o Lidii, założycielce pierwszego Kościoła w Europie. Dzięki jej wierze i uporowi powstał zbór w Filipii, który stał się prawdziwą radością dla apostoła Pawła. Jeszcze kilka kobiet wymieniana się w Dziejach Apostolskich jako współpracownice apostoła Pawła, które aktywnie działały w pracy misyjnej. Wymieniając te

kobiety działające w czasach tak odległych, chcę zwrócić uwagę, że aktywność kobiet we współczesnym Kościele Reformowanym ma swe korzenie w Piśmie Świętym i znajduje swój realny kształt w pełnieniu wszystkich trzech urzędów wymienianych w prawie wewnętrznym.

Swoją służbę prezbitera rozpoczęłam w latach 80. ubiegłego wieku na etapie parafialnym jako członek kolegium kościelnego parafii warszawskiej. Te trudne czasy stanu wojennego spowodowały, że moja praca w kolegium polegała głównie na pomocy potrzebującym i to nie tylko członkom parafii. Pracowałam przy rozdawnictwie darów przychodzącym z zagranicy i działając w dystrybucji leków w parafialnej aptece. Byłam osobą znaną w Kościele i to prawdopodobnie stało się powodem, że Synod powołał mnie w 1995 roku na funkcję prezesa Konsystorza, którą pełniłam przez sześć lat, czyli dwie kadencje. Zgodnie z prawem wewnętrznym prezesem Konsystorza jest osoba świecka, a Konsystorz sprawuje, w okresie między posiedzeniami Synodu, zarząd nad wszystkimi sprawami Kościoła. Jest to funkcja wysoka w urzędach naszego Kościoła. Chcę zaznaczyć, że przede mną prezesami Konsystorza były prof. Zofia Lejnbach i dr Dorota Niewieczera, a teraz najwyższą funkcję prezesa Synodu sprawuje również kobieta Ewa Józwiak (Synod jest jakby sejmem, a prezesa Konsystorza można porównać do premiera). Synod zbiera się każdego roku i każda parafia deleguje do niego jedną osobę na 50 członków parafii. Podejmuje on uchwały, które Konsystorz w okresie międzysynodalnym musi realizować. Podczas 6 lat służby w Konsystorzu, oprócz pracy administracyjnej, odwiedzałam nasze parafie, uczestniczyłam w ich problemach i sukcesach, utrzymywałam kontakt z diasporą, czyli z członkami naszego Kościoła rozsypanymi w całej Polsce, i wyjeżdżałam za granicę. Współpracowałam z Kościołami Reformowanymi w Berlinie, w Wilnie, na Litwie oraz z Kościołem w Czechach. Konsystorz współorganizował cykliczne konsultacje Polsko – Litewsko – Niemieckie, w których uczestniczyłam. W 1998 roku Konsystorz delegował mnie do USA. Wyjechałam na zaproszenie tamtejszego Kościoła Prezbiteriańskiego, który organizował cy-

kliczne konferencje prezbiterów ze wszystkich kontynentów. Ten rok przypadła Europie. Spędziłam 6 tygodni w Cincinnati w stanie Ohio. Był to okres miłych spotkań, ale również wyętej pracy polegającej na prezentowaniu mojego Kościoła w różnych środowiskach i grupach społecznych: dzieci, młodzieży, kobiet, a też w domach starców. Ale chyba taką sprawą, która mnie najbardziej nurtowała przez te 6 lat, była sprawa ordynacji kobiety w naszym Kościele. Każde zebranie Konsystorza zaczynało się od tego punktu – ordynacji, która w końcu doszła do skutku. Posłużę się tu książką „Kobiety i religie”. Jest tu napisane: „pierwszym Kościołem ewangelickim, który zezwolił na trwałą ordynację kobiet” („trwałą”, bo pierwszą ordynacją kobiet w kościołach ewangelickich była ordynacja metodystki Ewy Dolney w dniu 29 czerwca 1972 roku, ale jednak w dzień po uroczystości nowy prezbiter przeszedł na emeryturę i do dziś metodyści nie ordynowali następnej kobiety; dlatego występuje tu słowo „trwałą”) – trwałą ordynację kobiet, za którą szła pełna służba duchownego, był Kościół Ewangelicko-Reformowany, będący spadkobiercą szwajcarskiej reformacji. W roku 2003 w Zelowie w Zborze, którego korzenie sięgają czasów obecności na ziemiach polskich Braci Czeskich, odbyła się ordynacja Wiery Jelinek, która była żoną pracującego tu od lat pastora i czynnie pomagała mężowi w pracy kościelnej. Jako wykształcona teolożka miała wszelkie formalne uprawnienia do podjęcia pełnoprawnej działalności duchownej w parafii”. W latach 90. ubiegłego wieku zmieniliśmy nasze prawo wewnętrzne mówiące, że ordynowanym może być mężczyzna, który ukończył wyższe studia teologiczne i jest magistrem teologii, na artykuł, który wprowadził Synod, że może nią być osoba, również kobieta.

Może interesuje państwa również moja praca jako diakona. Moja praca w Konsystorzu przebiegała w bardzo dobrej i przyjaznej atmosferze, zaproponowano mi nawet kandydowanie na trzecią kadencję. Z tej propozycji jednak nie skorzystałam, gdyż czułam, że moje miejsce jest w Diakonii. Diakonia działała jako nieformalna grupa przy parafii warszawskiej, z którą od pewnego czasu współpracowałam i ta praca dawała mi satysfakcję. Rozpoczęłam prace

zmierzające do nadania Diakonii Kościoła osobowości prawnej, co nastąpiło w roku 2003, a w roku 2007 uzyskała ona status Organizacji Pożytku Publicznego. Jestem już 3. kadencję prezesem Diakonii. Statut Diakonii rozpoczyna się od słów: „Nasz Pan Jezus Chrystus powiedział: cokolwiek uczyniliście jednemu z moich braci najmniejszych, mnie uczyniliście (Mt 25,40)”. Kierując się tymi słowami, Kościół Ewangelicko-Reformowany przywiązuje bardzo dużą wagę do pracy diakonijnej, którą pojmuje jako najważniejszą służbę dla bliźniego. Chęć do pomocy potrzebującym wyniosłam z rodzinnego domu. Mój ojciec służąc własnym przykładem, przekazał mi wrażliwość na cudze nieszczęście i konieczność pomocy najmniejszym. Moje zaangażowanie w działalność diakonijną łączy się z moją działalnością w Kościele. Od kilku lat jestem przewodniczącą komisji diakonijnej Polskiej Rady Ekumenicznej. Praca ta pozwala mi pomagać organizacjom charytatywnym Kościoła w Polskiej Radzie Ekumenicznej. Mówiąc o własnej pracy, chciałam państwu uświadomić, jak dużą rolę odgrywają kobiety w Kościołach protestanckich.

Zofia Ratajska

Zacznę od paru informacji o sobie. Zajmuję się sztuką współczesną i publicystyką, prywatnie mam męża i troje dzieci. Wydaje mi się, na podstawie tego, co już tutaj zostało powiedziane, że główne postulaty feminizmu jako ruchu społecznego – wyzwolenie kobiet, zrównania ich praw z mężczyznami – wszystkie one już się u nas dokonały, w Polsce możemy więc o tym mówić tylko w aspekcie historycznym. Natomiast wszystkie znajome młode dziewczyny, zarówno moja najstarsza córka, która już zaczęła pracować, czy jej koleżanki najbardziej zajmuje kwestia pracy. Kwestia ta w równym stopniu zajmuje kobiety i mężczyzn.

Oczywiście nie mówimy o tych krajach i obszarach geograficznych, gdzie kobiety nadal traktowane są jak przedmioty, mówimy wyłącznie o naszych warunkach. Wydaje się, że tym, co w tej chwili najbardziej, niezależnie od płci, wszystkich interesuje, jest praca lub jej brak. Zyskanie dobrej pracy, utrzymanie się. Praca zajmuje



Zofia Ratajska (z mikrofonem)

często cały dzień i można powiedzieć, że w jakimś sensie jest to nowe zniewolenie, ponieważ dziś już mało kto ma na cokolwiek więcej czasu. Wszyscy, nie wyłączając społeczników, w tym znanych feministek, muszą się zajmować swoją pracą i na dodatkowe działania społeczne i na rodzinę już nie pozostaje wiele czasu. A zatem to się wszystko zmieniło, żyjemy w innych warunkach.

Natomiast jeśli chodzi w ogóle o feminizm, jako pojęcie i jako ruch, sądzę, że podejście każdej z nas determinują w znacznym stopniu przykłady rodzinne – jakie były kobiety w mojej rodzinie, jakie wartości bycia kobietą mi przekazały. W związku z tym chciałabym opowiedzieć parę słów o moich babce i matce. Miałam szczęście być późnym dzieckiem, zdążyłam mieć jeszcze „przedwojennych” rodziców, co pozwoliło mi zetknąć się ze światem dla moich rówieśników już dalekim. Moja babka ze strony ojca (druga zginęła w Powstaniu) była osobą o mocnym charakterze, zdecydowaną, w pełni zaangażowaną społecznie i patriotycznie. Już przed II wojną prowadziła szeroką działalność, głównie na rzecz kobiet i dzieci. Należało do tego zakładanie kół gospodyń wiejskich, ochronek, pomoc zdrowotna dla kobiet, wszelka pomoc i ochrona dworu

dla wsi. Można powiedzieć, że zajmując się tymi wszystkimi potrzebami, w tym rozległą edukacją gospodyń, była feministką, chociaż nigdy by tak o sobie nie pomyślała. W czasie wojny ta pomoc przeniosła się na innych potrzebujących, więźniów politycznych, uciekinierów, osoby pochodzenia żydowskiego. A więc pojmowanie roli kobiety można według tego określić, jako stawanie po stronie tych, co potrzebują pomocy.

Moja mama natomiast po bardzo ciężkich przejściach wojennych – brała udział w Powstaniu Warszawskim, była w obozie itd. – znalazła się w sytuacji, która dawała znacznie mniejsze możliwości zarówno materialne, jak i społeczne, a nawet dotyczące własnego rozwoju. Udało jej się skończyć historię, ale w czasach PRL-u nie mogła zajmować się tym, co ją interesowało (tymi czasami i zagadnieniami). Natomiast przekazała nam, dzieciom, wartości rodzinne, próbując wychowywać nas w pokoju i normalności. Zawdzięczamy jej rozwój intelektualny i otwartość na innych, znacznie szerszy zasób wiedzy niż uzyskiwany w szkole. Nasz dom był dla nas uczelnią, a mama chodzącą encyklopedią. Działała także charytatywnie ile mogła, wykorzystywała swoją znajomość języków, czasem pisała prace naukowe, ale dom i obecna w nim matka stanowił dla niej priorytet. Mając takie doświadczenia, miałam również to szczęście, że udało mi się wybrać wolny zawód, pozwalający mi łączyć pracę zawodową z rodziną, gotowaniem obiadu itp.

Towarzyszy mi świadomość tego, że dzieci są w domu przez bardzo krótki czas i warto im go poświęcić. To tak szybko mija. Matka, która nakarmi dziecko ciepłym obiadem, zadba o jego zdrowie i dowie się, co było w szkole, spełnia coś bardzo wartościowego. Czasu na realizację swojego zawodu mamy w gruncie rzeczy wiele, także po odchowaniu dzieci.

Dla mnie feminizm, czy raczej kobiecość, to jest sposób rozpoznania swoich talentów i wykorzystania ich poprzez i dzięki swojej kobiecości. Miałam szczęście kilka lat temu spotkać tegoroczną literacką noblistkę Swietlanę Aliksiejewicz. Było to wtedy, gdy dostała w Polsce nagrodę imienia Kapuścińskiego. Poznałyśmy się i rozmawiałyśmy. Byłam i jestem zachwycona jej książką „Wojna nie

ma w sobie nic z kobiety”. Napisała mi wtedy piękną dedykację, że ta książka jest o tym, że to, co ratuje człowieka, to jest tylko serce i miłość. Dla mnie kobiecość przejawia się właśnie w tym szczególnym uwrażliwieniu, stąd te wszystkie przykłady zaangażowania kobiet w pracach społecznych. Jest to niezwykle i bardzo cenne. W tej pięknej książce przykład kobiet – żołnerek próbujących nawet w takich warunkach ratować człowieczeństwo. To jest coś, czego – mam nadzieję – nie zagubimy. Obraz kobiety stworzonej, by ratować świat.

Dyskusja

Krystyna Rycerska

Jestem córką założycielki Stowarzyszenia Przymierze Rodzin Izabeli Dzieduszyckiej i cioteczną bratanicą Elżbiety Rufener-Sapiehy, fundatorki Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin.

Szesnaście lat pracowałam w korporacji. Codziennie rano modlimy się razem z mężem. Codziennie rano wychodząc z domu, kreślimy sobie krzyżyki na czole. To jest moje przesłanie dla osób młodych siedzących na sali. Jestem dumna z mojej mamy. Mając trójkę dzieci, kontynuowała tradycję kobiecości wyrażającej się w wielkiej trosce o drugiego człowieka, dbaniu o Polskę, w miłości do Kościoła i do Pana Boga. Z tych motywacji wyrosły szkoły, wyrosła Szkoła Wyższa, w której państwo możecie się teraz uczyć.



Krystyna Rycerska (z mikrofonem)

Na pracę społeczną mama zdecydowała się w momencie, kiedy – jako najmłodsza z trzech córek – miałam osiem lat. W tym czasie w naszym domu była pani, która wspierała mamę, i ojciec, który był dużo starszy od mamy, i gdy miałam szesnaście lat, to już nie

pracował i był w domu. Uważam, że rodzice potrafili współpracować ze sobą po to, żeby nas wychować, a równocześnie wspierali się wzajemnie w rozwijaniu swoich talentów.

Początkowo mama z wielkim zaangażowaniem działała w Klubie Inteligencji Katolickiej. Potem w stanie wojennym założyła Przymierze Rodzin. Oczywiście, jak wszystkie dzieci, nieraz wolałybyśmy, aby mama była więcej w domu, ale z dzisiejszej perspektywy myślę, że to wynikało z dziecięcego egoizmu, z niedojrzałości rozumienia, jak ważne jest dawanie siebie innym. Dzisiaj dumna jestem z obojga rodziców, gdyż uważam, że bez wsparcia mojego ojca mama niewiele by mogła zrobić.

Apeluję, by nie budować podziałów! Nie można tworzyć wizerunku, który mówi, że kobiety, które z różnych powodów muszą iść do pracy, czy kobiety pracujące w korporacji, są feministkami, są nieczułe i niedobre. W korporacjach pracuje wiele wspaniałych osób! Ważne jest, żeby kobieta czuła swoją osobowość, która wyraża się we wrażliwości i w służbie dla drugiego człowieka, a jako katoliczka w uczestniczeniu w życiu Kościoła.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Do tego, co mówiła moja przedmówczyni, dodam, że ile by się czasu poświęcało dzieciom, to zawsze będzie im mało. Równocześnie myślę, że rodzice, jako ludzie dorośli, muszą wziąć odpowiedzialność za ilość czasu, którą poświęca się dzieciom, a tę, którą poświęca się na rozwijanie własnych talentów. Dziś nasze dzieci, jako osoby dorosłe, pozytywnie oceniają naszą ówczesną decyzję i uważają, że była ona słuszna, że dzieliliśmy nasz czas. Dzięki niej dziś możemy służyć znacznie szerzej zarówno im samym, jak i wielu innym potrzebującym osobom.

Alina Kozińska-Bałdyga

Od ponad dwudziestu lat jestem zdeklarowaną katolicką feministką, przy czym kocham mężczyzn. W moim życiu z tym wspieraniem kobiet przez mężczyzn było różnie. Dziadkowie poginęli na wojnie, ojciec mój wcześniej zmarł, mąż był chory, a brat był ode mnie młodszy.

Mam troje dzieci. Mimo braku wsparcia ze strony mężczyzn w rodzinie, byłam w stanie stanąć na własnych nogach, dobrze wykształcić nasze dzieci i wyprowadzić je w świat oraz powiedzieć im – kochani, wy teraz macie prowadzić swoje życie, a mnie czyńcie babcią. Teraz, jako babcia Alinka, zajmuję się reformowaniem oświaty i zapraszam wszystkich do współpracy, bo oświata w Polsce potrzebuje wielu dobrych zmian.



Alina Kozińska-Bałdyga (z mikrofonem)

Powiem jeszcze o mojej prababce, która była *biznes woman*. Miała pięć córek, a równocześnie była właścicielką drukarni. Prowadziła tę drukarnię i w pewnym momencie wylądowała w Cyta-deli, bo za bardzo pomagała Trauguttowi. W mojej opinii prowadziła ją nie tylko po to, by dać jeść dzieciom, ale również dlatego, że była Polką, mimo że była ewangeliczką, z polskiej rodziny o niemieckich korzeniach, i uważała, że w ten sposób służy Polsce.

Teraz przejdę do mojego katolicyzmu. Moim zdaniem, pierwszą feministką była Maryja, matka Jezusa. Kiedyś byłam na rekolekcjach u Jezuitów, w czasie których rekolekcjonista ilustrował zwyczaj i życie w czasach biblijnych. Pomyślałam sobie wtedy o Marii „Boże, młoda dziewczyna w czasach cywilizacji biblijnej i kultury

patriarchalnej, w której za cudzołóstwo kamienowano kobietę, odważyła się powiedzieć Aniołowi, nie pytając się ojca, matki „Zgadzą się”. To jest coś niewyobrażalnego! Kiedyś usłyszałam, jak ksiądz powiedział, że pierwszym komunistą był Jezus Chrystus, to ja twierdzę, że pierwszą feministką była Maryja, matka Jezusa.

Jestem tradycjonalistką i wiem, jaką rolę chciałabym, żeby kobiety pełniły w Kościele. Kiedy byłam w Szwajcarii, mieszkałam u pani, która kiedyś powiedziała mi z uśmiechem „jestem najważniejszą osobą w naszym Kościele, bo jestem dyrektorem finansowym i to do mnie przychodzi ksiądz biskup pytać się, czy mamy w kasie pieniądze na to czy tamto”. Widząc często braki w tym zakresie w naszych polskich parafiach, uważam, że kobiety mogłyby się zająć pieniędzmi, odciążając księży, którzy często słabo się znają na gospodarce finansowej.

Z Izą Dzieduszycką spotkałam się i obie działałyśmy na polu organizacji pozarządowych. Uważam, że tak jak ona mam talenty przywódcze, lideryckie i lubię rządzić. Odziedziczyłam je zresztą po moich babcicach. Od czasów szkolnych zawsze byłam przewodniczącą samorządu klasowego, szkolnego, grupową na koloniach czy prezeską różnych organizacji, między innymi małej spółdzielni mieszkaniowej, założonej w roku 1981, która wybudowała osiedle. Uważam, że jak się kobiety nie wezmą do stworzenia dobrej polityki mieszkaniowej, to się demografia u nas nie poprawi. Mogę to udowodnić. Korelacja między budową jednego mieszkania a urodzeniem dziecka jest na poziomie 96%! Kiedyś poprosiłam moich studentów o podniesienie rąk, kto ma mieszkanie, aby założyć rodzinę. Wzniesionych rąk było niewiele. Odpowiedzi były głównie „czekam, jak babcia umrze”. Natomiast las rąk podniósł się na potwierdzenie braku perspektyw mieszkaniowych. Studenci głównie chcieli wyjechać za granicę. Uważam, że mężczyźni są bardziej od teorii i ideologii, a my od praktyki działania. Naszym zadaniem jest ukierunkować działania mężczyzn na bardziej twórcze, nie destrukcyjne. Pomóc, aby byli szlachetnymi ludźmi i dobrymi ojcami.

Obecnie za najważniejszą sprawę uważam zajęcie się uchodźcami i zakończenie wojen. Mój dziadek był oficerem, zginął w Ka-

tyniu, wujek harcerzem Szarych Szeregów i zginął w Oświęcimiu. Tak jak w wielu innych rodzinach długa byłaby lista ofiar wojny z mojej rodziny. Cudem moja matka przeżyła Pawiak i Ravensbruck. Zawsze mówiła, że wojna jest najstraszniejszą rzeczą na świecie. Dlatego uważam, że mam obowiązek pracować dla Polski i pokoju na świecie. Matka opowiadała mi, jak jej drużynowa zostawiła półtoraroczne dziecko pod opieką rodziny i poszła do powstania. Jej drużyna była odpowiedzialna za pocztę „Pasiaki” – Komendy Głównej Szarych Szeregów. Widocznie uznała, że jej obowiązek obywatelski, patriotyczny jest w tym momencie ważniejszy niż obowiązek macierzyński. Twierdzę, że termin Matka Polka jest obecnie źle interpretowany. To w rzeczywistości kobieta, która wie, w jakim momencie trzeba być bardziej matką, a w jakim momencie trzeba być bardziej Polką, obywatelką. Obywatelką – żołnierzem państwa podziemnego, obywatelką działającą w biznesie, w nauce, w organizacjach pozarządowych, w różnych obszarach sfery publicznej.

Kocham mężczyzn i uważam, że tak jak jest napisane w Biblii, kobieta ma towarzyszyć mężczyźnie wszędzie, w życiu publicznym, w polityce, w nauce, wszędzie. To, w czym obecnie żyjemy, to jest końcówka cywilizacji patriarchalnej, technicznej, wyrosłej z cywilizacji neolitycznej, która doprowadziła nas na granicę unicestwienia życia na naszej Ziemi. My, kobiety, musimy się organizować, aby chronić nasze rodziny, nasz kraj i nasz świat przed największymi zagrożeniami i rozwiązywać wielkie problemy cywilizacyjne w nasz kobiecy, praktyczny sposób. Zastanówmy się, co zrobić, aby nasi wspaniali mężczyźni przestali się bawić wojnami. Nie wiem, jak to zrobić, ale wiem, że jeżeli my, kobiety, się nie zorganizujemy, nie będziemy mieć pokoju. Musimy wejść w sferę polityczną. Musimy zająć się polityką właśnie po to, żeby był pokój na świecie, żeby nasi mężczyźni nie zabijali i nie ginęli na wojnie, tylko żeby mogli być z nami i nas wspierać, i kochać. My wszyscy, kobiety i mężczyźni, jesteśmy stworzeni do miłości.

Zofia Ratajska

Dzieci potrzebują mądrej matki, która je zainspiruje do działania, a nie tylko takiej, która mówi wyłącznie o porządkach, zakupach, gotowaniu. Bardzo cenię praktyczność u kobiet i podziwiam, jak kobiety umieją świetnie zagospodarować rzeczywistość. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że istnieje również kategoria egoizmu rodzinnego, że wszystko dla domu i dzieci, z pomijaniem potrzeb innych. I własnych – mama ma być szczęśliwa!

Lucyna Piątek

Uważnie wsłuchując się w każde wypowiedziane tu słowo, chciałabym podkreślić, że rodzina jest tą podstawową wspólnotą, która kształtuje wzorce i wartości. Bardzo dziękuję Bogu za moją rodzinę, za moich przodków, za moją matkę i ojca, którzy przekazali mi wartości – Bóg, Honor i Ojczyzna oraz miłość do drugiego człowieka i poświęcenie jemu siebie. W rodzinie kształtowane są wzorce męskości, które mamy od ojców, i delikatność od matek. Należy pamiętać, aby nie zmniejszać roli mężczyzny w rodzinie, bo to jest potem kalectwo dla dzieci.

Będąc nauczycielem, mam pod opieką młodzież od 16 do 20 roku życia. Mówię im „jeżeli nie będziesz miał szacunku do siebie, nie będziesz miał szacunku do nikogo”. A także, że miłość powinna być oparta na dwóch fundamentach „będziesz miłował Pana Boga swego z całego serca, a bliźniego jak siebie samego”. Jeżeli brakuje tych zasad, jest tragedia.

Trudno mówić o kobietach, o ich zadaniach i znaczącej roli do spełnienia, gdy nie będzie wspierały ich rodzin. Jestem nauczycielką i bardzo dziękuję Bogu za to, że znam moich uczniów. Oni pozwalają mi na to. Wiem o wielu ich sprawach osobistych, kiedy dziewczyna była po raz pierwszy z chłopakiem w łóżku, kiedy uczeń ma kolejną dziewczynę itp. Mówię im o odpowiedzialności. Niestety zdaje sobie sprawę, że odpowiedzialności nie uczy się dziecka, kiedy ma osiemnaście lat. Żeby kobieta mogła czuć się kobietą, a mężczyzna mężczyzną, muszą od dzieciństwa wzrastać w odpowiedzialności za to, co mówią, jak mówią, czy z szacunkiem, czy w żar-



Lucyna Piątek

tach, czy w miłości. Trzeba im wskazywać, że obojętnie, czy są na wycieczce czy na dyskotecę, są odpowiedzialni za siebie i za drugiego człowieka. Ta odpowiedzialność wpływa na rozwój człowieka – intelektualny, duchowy, a również zawodowy.

Od dwudziestu lat pracuję z małżeństwami. Powiem o pewnym niepokojącym wzorcu rodziny, który obserwuję, odwiedzając rodziny w domu. Przychodzi mąż z pracy i mówi „Cześć, stara, jak tam, są już żeberka, bo dzisiaj jestem cholernie głodny. Muszę coś natychmiast zjeść”. Mały synek, który ledwo mówi, za chwilę powie „mamo, wyczyść mi buty”. Groźne jest to, że taka postawa wydaje się naturalna i poprawna. Zanika słowo „mąż” i zwroty „kochany mężu, jak się cieszę, że wreszcie ciebie widzę”, „kochana żono”. Mówmy do siebie po imieniu. Jeżeli boimy się mówić „mężu”, „żono”, mówmy po imieniu przy dzieciach. Małe dzieci są gąbkami, które wchłaniają wszystko. Jestem przeciwna, jeżeli mama pozwala córce mającej kilkanaście lat mówić do siebie po imieniu. Uważam, że istnieją dwa święte słowa – „ojciec” i „matka” i wielu psychologów, socjologów się ze mną zgadza. Feminizmem, którego wszystkie kobiety pragną, jest to, aby w ich życiu mogła być zrealizowana wzajemna odpowiedzialność i bezinteresowną miłość.

Pani Alina wspomniała, że pierwszą feministką była Maryja. Ja bym sięgnęła dalej, do Starego Testamentu, do historii Debory i Baraka. To właśnie nie Barak, tylko Debora pokonuje największego przeciwnika izraelskiego. Od początku historii kobieta była waleczna. Debora wzięła odpowiedzialność za swój izraelski naród.

Warto sięgnąć do książek Karola Wojtyły „Osoba i czyn” albo „Kobietą i mężczyzną stworzył ich”. Autor pokazuje w nich, jak każdy mężczyzna i każda kobieta powinni uczyć się wzajemnych relacji w różnych sferach życia. Przy właściwych relacjach kobieta nie musi być ograniczana, nie musi się bać. Będzie twórcza i radosna i na każdym etapie życia może się realizować. A jej możliwości w dorosłym życiu zależą też od tego, czy była kochana już w życiu płodowym i w dzieciństwie.

Dzisiaj czasem obserwuję młode dziewczyny, które jeszcze nie umieją poradzić sobie z samą sobą, a już są w ciąży. Wtedy nie sztuka powiedzieć, by nie usuwała ciąży. Trzeba wszystko zrobić, żeby tej dziewczynie pomóc, żeby ona nie czuła się sama, żeby wiedziała, że jest ktoś, kto ją wysłucha i pomoże.

Krzysztof Haman

Dzisiaj wśród panelistów są same kobiety, również na sali przeważają panie, pozwolę więc sobie wtrącić punkt widzenia mężczyzny. To, co powiem, będzie więc bardziej teoretyczne niż wystąpienia moich przedmówczyń. Mówiąc o feminizmie, trzeba wziąć pod uwagę, że ma on różne warianty, które wysuwają różne postulaty; niektóre wydają się godne pełnego poparcia, inne raczej mniej albo wcale.

Chciałbym się tu zająć tylko jednym postulatem, który zawędrował do sławetnej konwencji antyprzemocowej, właśnie pod wpływem środowisk feministycznych, i wzbudził chyba najwięcej kontrowersji w dyskusjach wokół tej konwencji. Mianowicie chodzi mi o postulat zwalczania stereotypów na temat ról mężczyzny i kobiety w społeczeństwie. Otóż podobnie jak są różne feminizmy, tak i te stereotypy (rozumiane jako poglądy dość powszechnie i raczej bezrefleksyjnie przyjmowane, ale o niekoniecznie negatywnych ko-



Krzysztof Haman

notacjach) są najróżniejsze i zapewne niektóre z nich warte są zwalczania, niektóre zostawienia w spokoju, a inne, dobre, nawet poparcia i rozwoju. W zależności od tego, z czym mamy do czynienia, należałoby je zwalczać albo nie, lub nawet popierać. Możemy wyróżnić w szczególności trzy grupy tych stereotypów: stereotypy ról męskich i kobiecych w rodzinie, w społeczeństwie i wreszcie w relacjach damsko-męskich. W każdej z tych obszarów sytuacja wygląda inaczej. Jeżeli chodzi o stosunki społeczne na zewnątrz rodziny, to stereotypy te kształtowały się w ciągu wieków głównie w wyniku aktywności społecznej związanej z rodzajem pracy. Przez wiele stuleci praca najczęściej bywała pracą fizyczną, a ponieważ wiele prac fizycznych wymaga siły, a statystycznie rzecz biorąc kobieta jest słabsza fizycznie od mężczyzny (choć w konkretnych przypadkach nie zawsze), naturalny podział prac prowadził do powstawania tradycyjnych stereotypów ról kobiecych i męskich. Współcześnie, kiedy większość aktywności jest wspierana środkami technicznymi, sprawa predyspozycji biologicznej przestaje odgrywać rolę i nie ma sensu utrzymywanie stereotypów, które ograniczają dostęp kobiet do jakiegokolwiek aktywności społecznej z tej tylko racji, że są kobietami. Role męskie i kobiece stają się niemal całkowicie

wymienne. Tylko w bardzo nielicznych przypadkach można się doszukiwać racji, by pewne rodzaje aktywności społecznej były zarezerwowane dla mężczyzn, a inne dla kobiet.

W rodzinie sytuacja wygląda trochę inaczej. Sensowny podział aktywności wewnątrz rodziny może układać się rozmaicie w różnych rodzinach. Bywają rodziny, w których klasyczny, tradycyjny model, w którym mężczyzna zarabia, a kobieta zajmuje się domem, okazuje się optymalny i jego zwalczanie, co postulują niektóre radykalne feministki, nie ma sensu. Nie jest to jednak jedyny możliwy sensowny model. W innych, też dobrze funkcjonujących rodzinach, zarówno kobieta jak i mężczyzna pracują poza domem, a obowiązkami domowymi dzielą się między sobą i także nie widzą powodu, by rozwiązanie to z zasady zwalczać, co z kolei usiłują skrajni tradycjonałiści.

W rodzinie jednak występują też stereotypy, które zwalczać by należało, na przykład stereotyp męża, głowy rodziny, pana nad całą resztą. Ten stereotyp występuje wprawdzie także w Listach św. Pawła, ale trzeba pamiętać, że działał on w kulturze, gdzie stereotyp ten był rzeczą naturalną. Był on również obecny w kulturze europejskiej XVIII i XIX wieku, lecz – jak zauważył nasz poeta – „mąż jest wprawdzie głową rodziny, ale żona szyją, która tą głową kręci” (cytuje z pamięci), więc może nie było tak źle. Dla nas oczywiście właściwy jest model, w którym mężczyzna i kobieta wzajemnie się wspierają w całym spektrum działalności związanej z utrzymaniem domu i wychowaniem dzieci. I to powinno być zasadnicze kryterium, którym należałoby się posługiwać przy wyborze roli rodzinnej dla mężczyzny i kobiety w konkretnej sytuacji. Warto przypomnieć, że pierwsze zdanie zapisane w języku polskim „daj, ać ja pobruszę, a ty poczywaj” wskazuje, że już w średniowieczu byli mężczyźni, którzy uważali, że należy kobietę zastąpić w jej czynnościach, jeśli jest zmęczona. To podejście powinno być jak najbardziej utrzymywane i obecnie.

Oczywiście trzeba się przyglądać i rozsądnie oceniać, które stereotypy i w jakiej sytuacji są stereotypami korzystnymi dla funkcjonowania społeczeństwa, a które nie. Na przykład, w kwestii stosunków damsko-męskich zacieranie różnic między płciami pod

względem zachowania, stroju czy wyglądu jest, moim zdaniem, absurdalne, ale są ruchy feministyczne, które ten kierunek lansują.

Jest jeszcze jedna dziedzina, którą trzeba wziąć pod uwagę – sprawy wychowawcze. Niektóre środowiska feministyczne propagują, w imię równouprawnienia, model wychowania zunifikowanego, w którym chłopcy i dziewczynki powinni być wychowywani tak samo. Jest to podejście, wydaje mi się, bardzo niebezpieczne, bo równouprawnienie nie oznacza identyczności. W młodym wieku poczucie tożsamości płciowej nie jest jeszcze wyraźnie ukształtowane i jeżeli się będzie lansowało unifikację wychowania dzieci i młodzieży w duchu całkowitej równości, forsując takie same formy zabawy czy podobny typ zachowania, to wychowa się osoby niepewne swej tożsamości. Tymczasem chłopiec powinien wyrosnąć na mężczyznę, a dziewczynka na kobietę, w pełni świadomych zarówno swojej tożsamości, jak i też pełnej wzajemnej równoprawności.

Tak więc widać, że postulaty feministyczne bywają różne i trzeba wybierać, które są godne poparcia, a które nie.

Na zakończenie kilka uwag na temat konwencji antyprzemocowej, na którą powoływałem się na początku swego wystąpienia. Otóż uważam, że nie należało jej podpisywać ani ratyfikować (podobnie jak większość krajów, członków Rady Europy). Nie dlatego jednak, by miała stanowić jakieś zagrożenie dla polskiej rodziny (o co oskarżała ją, moim zdaniem raczej bezpodstawnie, większość jej przeciwników), lecz dlatego, że jest legislacyjnym buble, niepotrzebnie zaśmiecającym i tak dostatecznie zaśmiecony polski system prawny. Nie dostrzegłem, by ktoś na ten aspekt sprawy zwrócił uwagę. Przypuszczam, że ogromna większość dyskutantów po prostu konwencji tej w pełni i ze zrozumieniem nie przeczytała. Większość sensownych jej postulatów od dawna jest obecna w polskim prawie, a te, których tam nie ma, wystarczyłoby wprowadzić drogą niewielkiej nowelizacji. Problemem naszym jest zresztą nie tyle brak odpowiedniego prawa, ile niesprawność jego egzekwowania. Ale to nie temat na obecną dyskusję.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

*Polsko, co zrobiłaś ze swoim chrztem?
Jak to widzę?*

Cytaty

Jan Żaryn – Powrót do początku

Nie po raz pierwszy – i zapewne nie ostatni – należą się nam takie rekolekcje. Ostatnio, co najstarsi z nas pamiętają, przeżywalismy je za sprawą Prymasa Tysiąclecia w pamiętnym 1966 r. Dziś historycy nie mają wątpliwości: bez tamtego przeżywania dziedzictwa Kościoła i Narodu w 1000-letniej Polsce nie dożylibyśmy pokolenia Robotników '80, strajkujących w stoczni pod krzyżem i portretem papieża Jana Pawła II. Dziś także bez narodowej refleksji nad polskim dorobkiem nie pomożemy naszym następcom w odkrywaniu samych siebie.

Na początek zatem kilka propozycji do rozważań. Prof. Andrzej Nowak opublikował właśnie drugi tom swych „Dziejów Polski”, w których daje nam sygnał, co dla niego jest wartością konstytuującą nasze narodowe i chrześcijańskie dzieje. Jest nią wolność. Autor prowadzi nas na razie przez czasy Piastów. Na tej odziedziczonej wartości I Rzeczpospolita zbudowała swój wyjątkowy ustrój. Obywatele państwa – król, senatorowie i cała rzesza szlachecka – udoskonaliли w ciągu kilkudziesięciu lat XV i XVI wieku ustrój mieszany: monarchię, system arystokratyczny i demokrację. Wykonali – pod Bożym światłem – niezwykle pracę, polegającą na znalezieniu syntezy w trzech ustrojach do tej pory w historii myśli politycznej – od czasów Solona i Arystotelesa – uznanych za sprzeczne i wykluczające się nawzajem. Syntezę tę oparli na wolności i wynikającej stąd równości, rozumianej wielostronnie, jako równości w różnorodności nie tylko wyznaniowej, ale np. równości ziem, dorobku całych historyczno-geograficzno-politycznych krain, jak np. mojego Mazowsza, włączonego ostatecznie do systemu dopiero w 1526 r., czy Litwy – w 1569 r. Wolność jednostki, różnorodnego dziedzictwa, wobec omnipotencji państwa, władcy, będzie nam już towarzyszyć na dobre i na złe przez kolejne wieki.

Drugą propozycją do rozmyślań jest polski patriotyzm. Rozważmy go w 2016 r. Jest zdefiniowany przez pokolenia od Mieszka I po Solidarność i Jana Pawła II. Dominują w nim – jak mówiłem o tym wielokrotnie podczas moich wykładów – trzy postawy. Patriotyzm republikański, budujący Polskę poprzez zbiorową jedność jej obywateli. Podmiotem miłości staje się w nim państwo i jego ustrój. Tak być miało w czasach Jagiellonów i do takiego patriotyzmu odwoływał się po 1926 r. m.in. Józef Piłsudski. Drugą postawą jest patriotyzm insurekcyjny, powstańczy, w którym wylana krew i poświęcenie – nawet życia – jest dowodem miłości. Ostatnimi z szeregu nosicieli tego dziedzictwa będą powstańcy warszawscy czy Żołnierze Wyklęci. W ten patriotyzm jest wpisane odłożone w czasie zwycięstwo. Podobnie jak w trzeciej postawie, równie służebnej, której na imię patriotyzm narodowo-demokratyczny. Nie ukrywam, że jest mi najbliższy, że jest we mnie. Jego podmiotem jest Naród jako wspólnota składająca się przede wszystkim z odziedziczonego depozytu przenoszonego twórczo w przyszłość. Narzędziami dla tej postawy są zarówno konspiracyjne instytucje Polskiego Państwa Podziemnego, jak i legalne kasy oszczędnościowo-kredytowe w zaborze pruskim czy w końcu konstytuujące nas dzieła kultury. Nosicielami tego patriotyzmu stali się w naszych dziejach Roman Dmowski i kard. Stefan Wyszyński. Te wszystkie trzy patriotyzmy odnajdziemy w nauczaniu Jana Pawła II, próbującego podczas swego pontyfikatu ponownie nas zdefiniować.

Komuniści z epoki Gomułki wprowadzie wymarli i nikt nie zamierza stawiać pomników Kociołkowi, Kliszce czy Moczarowi, ale ich ideowi następcy – jakby nieświadomi równie żalosego finału swych postępów – silą się nadal, byśmy krzyż i portrety naszych przewodników ze wstydem w sercu pożegnali, wkładając je do lamusa historii. O niedoczekanie wasze! Rok 2016 będzie czasem niezapomnianym, z którego wyrośnie nowe polskie plemię.

Tomasz Jasiński – Mieszko książę Polski został ochrzczony (fragment)

Chciałbym stanowczo podkreślić, że w kolejnych wiekach religia chrześcijańska odegrała ogromną rolę w dziejach polskiego państwa i narodu. W czasie rozbitcia dzielnicowego była zarówno organizacyjnie (metropolia gnieźnieńska), jak i ideowo (kult św. Stanisława) głównym czynnikiem integracyjnym, który ostatecznie doprowadził do ponownego zjednoczenia państwa polskiego. W 1385 r. religia katolicka stała się podstawą unii z Litwą, co ostatecznie doprowadziło do powstania Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Polski przekład Biblii autorstwa polskiego jezuita Jakuba Wujka z końca XVI w. przyczynił się do powstania języka literackiego i do ostatecznego ukształtowania dzisiejszego języka polskiego. Tematyka religijna począwszy od Psalterza Dawidów Jana Kochanowskiego, a skończywszy na przekładach biblijnych Czesława Miłozza była nieprzerwanie obecna w polskiej literaturze i sztuce. W czasie zaborów Kościół katolicki stał się ostoją polskości, fundamentem formowania się nowoczesnego narodu polskiego. Z tego względu był prześladowany przez zaborców, zwłaszcza w zaborze pruskim i rosyjskim. W czasie II wojny światowej zarówno Niemcy hitlerowskie, jak i Związek Radziecki, mając pełną świadomość roli Kościoła katolickiego w życiu narodu polskiego, poddali go okrutnym represjom. Tysiące księży katolickich zginęło w niemieckich obozach koncentracyjnych i łagrach sowieckich. Również po wojnie komunistyczne władze PRL, zwłaszcza w okresie stalinowskim, prześladowały Kościół i jego wiernych. Wielu księży, a w tym też biskupów, więziono i torturowano. Więźniem na kilka lat stał się nawet prymas Polski kard. Stefan Wyszyński. Kościół katolicki w czasach PRL-u dzięki rozważnej, ale bezkompromisowej polityce, odegrał znaczącą rolę w odzyskiwaniu podmiotowości przez społeczeństwo polskie. Bez Kościoła polskiego, jego autorytetu, a w tym nauk polskiego papieża Jana Pawła II, nie doszłoby do powstania związku „Solidarność”, która wstrząsnęła sowieckim imperium. Działalność tego związku, a przede wszystkim postawa Jana Pawła II, zapoczątkowały upadek komunizmu i przywrócenie demokracji milionom ludzi w Europie. A wszystko zaczęło się 1048 lat temu...

KONWERSATORIUM LXXXVI

(19 marca 2016)

Polsko, co zrobiłaś ze swoim chrztem?

Jak to widzę?

Prowadzący: **Grzegorz Polak**, dziennikarz katolicki; **Iwona Waksmundzka**, filolog, poetka, autorka słów do hymnu skomponowanego specjalnie na 1050. rocznicę chrztu Polski z muzyką Roberta Jansona; **Krzysztof Zanussi**, reżyser, nauczyciel akademicki; **Marek Barański**, nauczyciel akademicki, historyk; **Tadeusz Wyszomirski**, członek Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego.

Grzegorz Polak

Gromadzi nas dzisiaj 1050. rocznica chrztu Polski. Będą okazałe uroczystości kościelno-państwowe 14 kwietnia w Gnieźnie, 15 i 16 kwietnia w Poznaniu. Łza się w oku kręci, kiedy pomyśli się o obchodach sprzed 50 lat, millenium chrztu Polski, które przebiegały w atmosferze silnej konfrontacji między państwem a Kościołem. Katolicy cieszyli się, że nie odłączono prądu i wody od Jasnej Góry, gdzie odbywały się główne uroczystości, a dzisiaj mamy w całej Polsce masę różnych wydarzeń: konferencji, uroczystości *stricte* kościelnych, wystaw, koncertów i innych wydarzeń artystycznych. I właśnie zaczniemy od wydarzenia artystycznego, którym jest hymn napisany specjalnie na 1050. rocznicę chrztu Polski. Jest to piękny, wspaniały utwór skomponowany przez Roberta Jansona. To nazwisko mówi samo za siebie. Kojarzemy go z wieloma przebojami zespołu Varius Manx. Jest tutaj z nami autorka pięknych słów do tego hymnu, pani Iwona Waksmundzka.



Paneliści i słuchacze



Grzegorz Polak (z mikrofonem,) dalej na prawo Marek Barański,
Krzysztof Zanussi i Tadeusz Wyszomirski

Poza nią mamy następujących panelistów. Obok mnie siedzi profesor Marek Barański, historyk, mediewista, były działacz opozycji demokratycznej. Dalej – profesor Krzysztof Zanussi, reżyser,

ale wystarczyłoby powiedzieć tylko nazwisko Zanussi i to uruchomiłoby naszą wyobraźnię, nie trzeba nic więcej mówić. Jest też z nami mój stary kolega, dr Tadeusz Wyszomirski z Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, a dlaczego jego obecność tutaj jest tak ważna, zaraz się państwo dowiedzą.

Zacznę od jedynej kobiety w naszym gronie. W hymnie, który za chwilę usłyszymy, odzwierciedla się nasza historia, ale jest także wyraźne odniesienie się do terażniejszości. Jak udało się to osiągnąć twórcom, że ten utwór tak może być odczytany?

Iwona Waksmundzka

Kiedy przedstawiciele Kościoła zwrócili się do nas, tj. do mnie i do Roberta Jansona z zapytaniem, czy napisalibyśmy godny utwór na Jubileusz chrztu Polski, to najpierw ogarnęło nas zdziwienie i radość, a potem trochę się tego wystraszyliśmy, dlatego że to ogromna odpowiedzialność przyjąć na siebie takie zadanie. Nie wiedzieliśmy, czy podołamy. I tak naprawdę tworzyliśmy, najpierw ja, a potem Robert, przez kilka miesięcy, poprzedzonych rozmyślaniami nad sensem tego, co się stało 1050 lat temu.

Można o tym myśleć w wielu aspektach, ale najważniejsze jest nie stracić istoty samego wydarzenia, tj. znaczenia przyjęcia wiary chrześcijańskiej przez Mieszka i jemu poddanych. Pozostałe aspekty: polityczne, społeczne, historyczne, kulturowe są drugorzędne, chociaż bardzo ważne i zasadnicze dla rozwoju i historii państwa polskiego. My skupiliśmy się przede wszystkim na samej istocie sakramentu chrztu i uważamy, że to wszystko, co się stało potem, to jest łaska wypływająca z tego wydarzenia.

Było to naprawdę bardzo trudne. Tworzyliśmy z wielką pokorą i cały czas z niepewnością, jak to się skończy, jak to się wszystko ułoży. Zawsze ma trudniej ten, który tworzy drugi. Musi dopasować się do muzyki lub słów pierwszego. Gdy pracowaliśmy z Robertem przy naszym poprzednim projekcie „Przygotuj się na miłość”, częściej byłam tą drugą. Dlatego jestem wdzięczna Robertowi, że tak dobrze odczytał ten tekst i napisał piękną, przejmującą muzykę, która stara się przenieść te słowa w hymn. To prawda, że jest tutaj



Iwona Waksmundzka wśród panelistów

nie tylko odwołanie się do chrztu Mieszkowego, ale jest też odniesienie do wszystkiego, co było jego konsekwencją dla naszego narodu w wielu wymiarach tego szczególnego wydarzenia z 966 roku.

Tyś jest mój syn

Muzyka: Robert Janson

Słowa: Iwona Waksmundzka

<http://we.tl/hehHupcSM9>

Tyś jest mój syn,
w tobie mam upodobanie
i w ziemi tej
i w ziemi tej.

Tyś sługa mój,
w białą szatę, w nowe życie,
przyoblecz się,
przyoblecz się.
Ziemió,

cierpliwa przez wieki,
śpiewaj dziś i wesel się!

Oto
Pan z nieba przychodzi
świętą wodą obmyć cię.

Niebo,
aniołów pieśnią
uwielbiaj dzieło Pana!

Woda,
jako znak łaski na
głowy nasze wylana!
Tyś jest mój syn,
w tobie mam upodobanie
i w ziemi tej
i w ziemi tej.

Tyś sługa mój,
w białą szatę, w nowe życie
przyoblecz się,
przyoblecz się.

Olej
święty na me czoło,
znacysz na nim dary swe.

Niechaj
zło już nie dosięgnie,
Jezus Chrystus strzeże mnie.

Ziemió,
wybrana przez Boga,

śpiewaj dziś i wesel się!

Pokłon
oddaj swemu Panu,
w wodzie życia zanurz się.

Tyś jest mój syn,
w tobie mam upodobanie
i w ziemi tej
i w ziemi tej.

Tyś jest mój Bóg,
pieczęć Twoją mam na sercu,
to Święty Duch,
to Święty Duch.

Tyś jest mój syn,
w tobie mam upodobanie,
i w ziemi tej
i w ziemi tej.

Tyś jest mój Bóg,
pieczęć Twoją mam na sercu,
to Święty Duch,
to Święty Duch.

Grzegorz Polak

Jeszcze jedno pytanie, bo wiele osób o to pyta. Dlaczego słowo „syn” w tytule jest napisane małą literą?

Iwona Waksmundzka

To jest działanie zamierzone. Kiedy daliśmy ten tekst przedstawicielom Kościoła, to też była to pierwsza uwaga. Chciano od razu zmienić na dużą literę. Wtedy wyjaśniłam, że te słowa znad Jordanu

zostały tak celowo zinterpretowane, przeniesione z Jezusa Chrystusa na Mieszka I, ale także na każdego człowieka, który przyjmuje sakrament chrztu świętego. Bo tak naprawdę ten sakrament jest nieskończony. On trwa cały czas, trwa do dzisiaj i właściwie określa naszą tożsamość cały czas. Tożsamość wspólnoty Kościoła. Każdy ochrzczony jest tym wybranym synem, który dostępuje łaski sakramentu chrztu świętego. To jest przeniesienie na nas wszystkich. Zabieg specjalny.

Grzegorz Polak

Dziękuję uprzejmie. Teraz chciałbym zaprosić państwa na część historyczną. Panie Profesorze, czy gdyby nie chrzest przed 1050 laty, to bylibyśmy państwem, czy byśmy przetrwali jako naród, czy byśmy nie podzielili losów np. potężnych Wielec, z którymi walczył Mieszko I, a którzy zginęli w mrokach historii? Jakie były motywy kierujące księciem Polan, czy tylko to, że Bóg Czechów i Niemców jest potężniejszy niż setki bogów pogańskich? To są bardzo ważne pytania. Jednym słowem: co by było, gdyby?

Marek Barański

Rzeczywiście nie wiemy, co by było, gdyby, ale możemy się domyślać. W X i XI wieku za Odrą istniało potężne państwo Wielec. Wielcy pozostali przy pogaństwie i dziś ich nie ma. Istniało słowiańskie państwo Obodrytów. Leżało ono jeszcze bardziej na zachód. Jego książęta wprawdzie przyjęli chrzest, ale lud pozostał pogański. Dziś także tego państwa nie ma. Zarówno terytoria wieleckie, jak i obodryckie są obecnie częścią Niemiec. Biorąc to pod uwagę, można wysunąć przypuszczenie, że gdyby Mieszko I nie przyjął chrztu, to zapewne do końca swego życia władałby silnym państwem. Zapewne państwo to byłoby jeszcze silniejsze pod władzą jego syna, Bolesława Chrobrego. Jednak pogańskie państwo nie mogło przetrwać w ówczesnej Europie. Sądzę, że gdyby Polska nie przyjęła chrztu, to bylibyśmy teraz chrześcijanami, lecz zachodnie części naszej ojczyzny weszłyby w skład Niemiec, większość ich



Marek Barański (z mikrofonem)

mieszkańców mówiłaby po niemiecku, południe Polski stałoby się częścią Czech, a wschód – częścią prawosławnej Rosji. Jednak dzięki przyjęciu chrztu wytworzył się naród polski i zaistniała Polska.

O wielu wydarzeniach niestety nie wiemy. Wiemy, że chrzest odbył się w roku 966 i obchodzimy jego rocznicę 14 kwietnia. Tego dnia wypadła Wielkanoc w 966 roku, zapewne sakrament chrztu w tym właśnie dniu przyjął Mieszko i jego najbliższe otoczenie. Jednak nie jest to pewne, chrzest Mieszka mógł się odbyć każdego innego dnia roku 966. Nie wiemy też, gdzie się to odbyło. Ja sądzę, że było to w Gnieźnie, Gniezno było wtedy centralnym punktem państwa. Ale wydarzenie to mogło mieć miejsce w Poznaniu. W ostatnich latach archeolodzy odkryli w Poznaniu kościół, który Mieszko zaczął budować już w roku 965, a więc może to było tam? Jednak najważniejsze, że chrzest odbył się w Polsce. Tak sądzi większość historyków.

Należy się też zastanowić, czy Mieszko musiał przyjąć chrzest. Wydaje mi się, że nie musiał. Nie wierzę, że obawiał się agresji niemieckiej prowadzonej pod hasłem chrystianizacji. W roku 966 Polska praktycznie nie graniczyła jeszcze z państwem niemieckim.

Dopiero w roku 963 Niemcy pod wodzą margrabiego Gerona podbili Łużyce i dopiero wtedy zaistniała granica polsko-niemiecka. Jednak Łużyce były świeżym łupem jeszcze nie schryścianizowanym i nie zintegrowanym z resztą państwa. Obserwując walki na Łużycach, mógł Mieszko poczuć się pewnie. Margrabia Geron musiał ciężko walczyć przeciw Łużyczanom. Prowadząc tę wojnę, sam został ranny, jego bratanek zginął. Tymczasem Mieszko był silniejszy od Łużyczan. Siłę państwa Mieszka poświadcza Ibrahim ibn Jakub, żydowski dyplomata wysłany przez kalifę Kordoby do cesarza Ottona I, który pozostawił relację ze swej podróży. Według Ibrahima Polska była największym spośród państw słowiańskich. Mieszko mógł sądzić, że obroni się przed agresją.

Polska nie musiała się chrzcić, gdyż niemal ze wszystkich stron była otoczona poganami. Na północo-zachodzie graniczyła z pogańskimi Wioletami, na północo-wschodzie żyli pogańscy Prusowie. Wschodnimi sąsiadami Mieszka była pogańska jeszcze Ruś, a na południo-wschodzie żyli pogańscy Węgrzy. Tylko na południu za sąsiadów mieliśmy chrześcijańskich już Czechów. Nie graniczyliśmy jednak z ziemiami, które później utworzyły państwo czeskie, tylko z podporządkowaną w połowie X wieku Pradze Małopolską i Śląskiem. Choć ziemie te podlegały chrześcijańskiemu księciu Czech, były jeszcze pogańskie. I w końcu na zachodzie dopiero co podbici przez Niemców pogańscy Łużyczanie. Mieszko, władca silnego państwa otoczonego niemal ze wszystkich stron ludami pogańskimi, nie musiał przyjmować chrztu. Mimo to zdecydował się na chrzest. Co więc zadecydowało, że jednak się ochrzcił?

Sądzę, że jedną z przesłanek tej decyzji była znajomość ówczesnego świata. Żeniąc się z Dobrawą, z pewnością odwiedził Czechy i widział czeskie kościoły. Z pewnością porównywał ich wspaniałość ze zgrzebnymi sanktuariami pogańskich bogów, jakie z miał w swoim państwie. Wiemy, jak one wyglądały. W Górach Świętokrzyskich, na Świętym Krzyżu, czyli na Łysicy, zachował się do dziś kamienny wał. Nie był to wał obronny, otaczał on przestrzeń, w której nikt nie mieszkał. Zachowały się tam jednak ślady obrzędów pogańskich. Podobny krąg istnieje do dziś na górze Ślęży na Śląsku,

a także w Gnieźnie. Skromne pogańskie sanktuaria nie mogły się równać z chrześcijańskimi kościołami. Kościoły zapewne wywarły na Mieszku wielkie wrażenie. A może był on w Niemczech? Może widział tamtejsze kościoły? Niewykluczone. Niewątpliwie dostrzegł, że Bóg chrześcijański jest potężniejszy od bogów słowiańskich, a kto wie, może zrobiła na nim wrażenie sama wiara? Może naprawdę uwierzył, że Bóg chrześcijan jest jedynym Bogiem?

Niejednokrotnie mówi się o chrzcie Mieszka, a nie o chrzcie Polski. Gdyby jednak był to tylko chrzest Mieszka, to Polska pozostawałaby nadal pogańska, tak jak Obodryci, po którym nie ma już niemal śladu. W roku 966 doszło jednak do chrztu całego państwa, wszystkich lub niemal wszystkich jego mieszkańców.

Przed niewielką grupą misjonarzy, którzy przybyli do Polski w roku 966, stanęło bardzo trudne zadanie. Musieli oni ochrzcić nie tylko Mieszka i jego najbliższe otoczenie, ale też poddanych władcy rozsianych po wielkim, zalesionym kraju. Tych zaledwie kilkunastu zapewne ludzi musiało jeździć po bezdrożach, aby dotrzeć do oddalonych od siebie polan, zagubionych wśród lasów i chrzcić na nich, po krótkich naukach, mieszkających tam ludzi. Z czasem liczba księży wzrosła, ale na początku było ich z pewnością niewielu. Nieliczni byli tacy, którzy zdecydowali się pojechać do kraju, jak wtedy mówiono, barbarzyńców, i narażać się tam na niebezpieczeństwo. Chrzest jednak odbył się bez sprzeciwu poddanych Mieszkowi ludzi. Nie od razu oczywiście przyjęli oni wszystko, co niesie ze sobą chrześcijaństwo, recepcja nowej wiary trwała długo, jednak już byli ochrzczeni. Nowa wiara stopniowo była przyjmowana, nieliczne źródła mówią, jak się to odbywało. Jednym z tych źródeł jest „Żywot Pięciu Braci Męczenników” napisany przez Brunona z Kwerfurtu. Z jego relacji wiemy, że przybyli do Polski dwaj Włosi, Benedykt i Jan, i tu, wraz z dwoma Polakami, Mateuszem i Izaakiem, zostali osadzeni przez Bolesława Chrobrego w fundowanym przez władcę klasztorze w Międzyrzeczu. Do pomocy został im przydzielony służący Krystyn. Zakonnicy przygotowywali się do podjęcia misji wśród pogan. Nie zdążyli jednak, gdyż miejscowi bandyci, sądząc, że zakonnicy mają wielkie skarby, napadli na klasz-

tor. Skarbów nie znaleźli, ale zakonników i służącego Krystyna zabili. Niemal natychmiast męczennicy zostali uznani za świętych, polscy chrześcijanie zaczęli oddawać im cześć. Jednak nie tylko oni. Bernard z Kwerfurtu pisze, że mówili mu mieszkańcy pobliskiej wsi o tajemniczych światłach błyszczących ponad klasztornym kościołem i o głosach z niego dobiegających. Mówili mu o tym ludzie, którzy jeszcze zachowywali pogańskie zwyczaje i oddawali cześć swym dawnym bogom. Ale dzięki męczennikom zaczęli już przemawiać wiarę chrześcijańską. Klasztor promieniował już nową wiarą na swe otoczenie.

Proces chrystianizacji trwał oczywiście długo. Objął wszystkich mieszkańców Polski dopiero wtedy, gdy powstała organizacja parafialna i w jej sieci znalazły się wszystkie polskie wsie i miasta. Nastąpiło to dopiero w XIII wieku. Proces ten jednak zapoczątkował Mieszko I.

Grzegorz Polak

Dziękuję bardzo za ten świetny wstęp historyczny.

Podczas pierwszej pielgrzymki do Francji w 1980 roku papież Jan Paweł II postawił Francuzom kłopotliwe pytanie: „Francjo, co zrobiłaś ze swoim chrztem?” Było ono postawione w kontekście laicyzacji i odchodzenia Francji od wartości chrześcijańskich. Pragnę zapytać pana Krzysztofa Zanussiego, czy sparafrazowanie tego pytania i odniesienie go do Polski jest zasadne. „Polsko, co zrobiłaś ze swoim chrztem?” pytam w kontekście kondycji naszego chrześcijaństwa.

Krzysztof Zanussi

Trafił pan tym pytaniem w mój przyrodzony pesymizm, więc łatwo będzie mi teraz ponarzekać. Wystarczy porównanie tego, co było 50 lat temu, kiedy nasze chrześcijaństwo było bardzo zjednoczone. Byliśmy wszyscy ramię w ramię, mieliśmy bardzo wyraźne przywództwo, bardzo głęboko akceptowane. Pozycja episkopatu i kardynała Wyszyńskiego były niepodważalne. Myśmy czuli, że to jest nasz przywódca. I był przeciwnik. Proszę państwa, dzisiaj prze-

ciwnik jest też obecny, chociaż nie tak zdeklarowany. Kościół mamy podzielony. Dramatycznie. Spełniło się marzenie carskiej ochrony. Przez cały wiek XIX myśleli, jak podzielić polski Kościół. To się udało dopiero w ostatnich latach. Biskupi bardzo źle mówią publicznie o sobie nawzajem, księża mówią bardzo źle o biskupach, a co do wiernych, to są tak podzieleni, że często rodziny nie rozmawiają ze sobą. Czyli coś złego zrobiliśmy przez te lata. I teraz jak patrzę na to, jak chrześcijaństwo ma się w reszcie Europy, widzę, ile tam jest ruchów odnowy, ile tam jest żarliwości, której wcale w Polsce nie znajduję, a jeśli ruchy odnowy do nas przychodzą, to przecież stamtąd, z zachodu, nie od nas. Ksiądz Blachnicki był jedynym twórcą ruchu, ale tylko polskiego. Ruch Światło – Życie nie wyszedł poza Polskę. Natomiast to, co potrafiło zrobić *Comunione Liberazione*, to, co robią dalej *Focolarini* i dziesiątki innych ruchów tego rodzaju, są odpowiedzią na laicyzację czy na wypieranie Kościoła ze sfery publicznej. Wykładam na kilku uczelniach, nie filmowych, nie artystycznych, widzę wśród młodzieży taką zmianę stosunku do religii, do chrześcijaństwa, jakiej bym się nie spodziewał, że zajdzie przez parę lat mojego życia. To się błyskawicznie zmieniło. Pierwsze skojarzenie chrześcijaństwa to hipokryzja, zakłamanie, zamiatanie grzechów pod dywan, to jest stereotyp, który się nagle pojawił, którego dawniej nie było. Przecież grzechy Kościoła były zawsze i wiedzieliśmy o nich, ale one dzisiaj w obrazie publicznym zdominowały dyskusję na temat Kościoła. Przynależność do Kościoła jest wśród młodych obciachem. Więc coś zmarnowaliśmy.

Na przykładzie Irlandii widzieliśmy, jak przestaje być chrześcijańska, a była nią nie mniej niż Polska. Mieliśmy wszystkie ostrzeżenia, czego nie należy robić, a jednak zrobiliśmy coś nie tak, skoro mając wspañały pontyfikat Jana Pawła II, teraz mamy taki dołek, w który wpadliśmy jako społeczność chrześcijańska. Myślę, że straty będziemy długo sumować i będą one olbrzymie. Trzeba świadectw wielkiej żarliwości, jeśli chciałoby się bronić chrześcijaństwa.

Miałem zaszczyt dwadzieścia lat zasiadać w Papieskiej Komisji do Spraw Kultury. Jako jedyny świecki Polak. Nasłuchałem się wszelkich złośliwości korytarzowych. Wtedy Polacy byli bardzo

głośni, nawet tak złośliwie mówiono, że jak słyhać stukot butów na tych kamiennych posadzkach Watykanu, to idą polscy biskupi, bo tak walą tymi buciorami, żeby przewyciężyć nieśmiałość i zażenowanie. I wtedy różne myszki watykańskie szeptały mi do ucha: „co wy, Polacy, tak się pysznicie? Czy wy mieliście chociaż jednego wielkiego teologa? Zdaje się, że nie. A czy mieliście porządną herezję chociaż jedną?



Krzysztof Zanussi

Też nie”. Nasze chrześcijaństwo było bardzo patriotyczne, bardzo walczyliśmy o nasze historyczne przetrwanie. Ale popatrzmy na naszą kulturę. Mało jest ona przeniknięta chrześcijaństwem. Oczywiście mamy Kochanowskiego. W latach rozkwitu można wskazać na twórców wielkich. Ale potem już Dostojewskiego polskiego nie mamy. Owszem, mamy Norwida i na tym lista się kończy. Potem jest jeszcze Miłosz i mimo że katolicy najbardziej na niego narzekają, to na pewno jest to poeta wielkiej religijnej inspiracji. Sienkiewicz to jest bardzo prościutkie wyobrażenie o pierwszych chrześcijanach. „Quo vadis” jest bliżej Aleksandra Dumasa niż jakiś wielkich pisarzy, choćby francuskich, którzy jak Bernanos potrafili przeżywać chrześcijaństwo w różnych epokach i dać tego wyraz w sztuce. Tylko polska muzyka przez pewien kontrast do światowej mody rzeczywiście jest zadziwiająco religijna. Nie mówię już o Szymanowskim, u którego widać wiele inspiracji i utworów dedykowanych wierze (Stabat Mater). Potem Penderecki, Kilar, Górecki – to byli twórcy głęboko związani z chrześcijaństwem i za to zresztą uważano, że oni są w tym wsteczni. Oni nastawiali głowy za wiarę. Ale w literaturze nie mamy takich pisarzy. Największa pisarka XX wieku, jeśli chodzi o prozę, Maria Dąbrowska była religijnie obo-

jętna. Także jeżeli uważamy, że chrześcijaństwo to jest pewne zadanie i wyzwanie, to nie możemy być zachwyceni sobą, bośmy ten chrzest nienajlepiej wykorzystali. Wobec tego trzeba teraz w trudnych czasach pielęgnować chrześcijaństwo, ale z żarliwością, bo żarliwość porywa, natomiast jak chrześcijaństwo robi się państwowe, to takie chrześcijaństwo zawsze upada. Mimo że po drodze załatwi wiele spraw doczesnych, materialnych, ale to nie porywa ludzi. To nie jest przesłanie miłości, które naprawdę jest silne i potrafi wyrwać z obojętności czy nawet przełamać niechęć.

Grzegorz Polak

Mamy wśród nas doktora Tadeusza Wyszomirskiego z Kościoła prawosławnego, więc spojrzymy też na nasze chrześcijaństwo z perspektywy wschodniej. Pół wieku temu, wydawałoby się, że zaściankowy według norm zachodnioeuropejskich polski Episkopat na uroczystości milenijne na Jasnej Górze zaprosił prawosławnego ekumenicznego patriarchę Konstantynopola. Zaprosił też papieża. Co to byłoby za cudowne spotkanie w cieniu ikony jasnogórskiej, gdyby właśnie w maju 1966 roku padli sobie w objęcia dwaj patriarchowie – Wschodu i Zachodu. Niestety, nie doszło do tego, bo komuniści nie wpuścili żadnej delegacji zagranicznej. My się jednak dzisiaj spotykamy z chrześcijańskim Wschodem i 1050. rocznica chrztu jest doskonałą okazją, żeby przypomnieć, że na ziemiach polskich, na jej południowych obrzeżach był wcześniej chrzest w tradycji cyrylo-metodiańskiej. Do ciebie, Tadeuszu, kieruję to pytanie, podobnie jak do profesora Barańskiego: co by było, gdyby Polska przyjęła chrzest w tym obrządku?

Tadeusz Wyszomirski

Nie bardzo jestem przygotowany na dyskusję co by było, gdyby? Myślałem, że skupimy się na tym, co miało miejsce. Wiadomo, że jeżeliby chrzest metodiański się utwierdził, należelibyśmy kulturowo do sfery wschodniej lub też przez pewien czas, tak jak dzisiejsza Chorwacja, byłibyśmy pomostem, pośrednikiem między Wschodem a Zachodem, ale to jest materiał na jakąś opowieść typu science-fiction.

Chryścianizacja to oczywiście był długi proces na ziemiach polskich i na ziemiach Rusi, a nie akt jednorazowy. Mnie interesuje pytanie, co było pierwsze – ślub z Dobrawą czy chrzest Mieszka? Tego właśnie nie wiemy. Nikt rozsądny nie będzie negował chrztu Mieszka w obrzędku łacińskim, ale „czy możliwy był ślub pogańca z chrześcijańską księżniczką?” – pyta w swojej publikacji ksiądz Jerzy Klinger.



Tadeusz Wyszomirski

Jako liturgistę interesuje go kwestia „jeżeli jedna strona była pogańska, to w jakim obrzędku sprawowano ceremonię?” Tego nie wiemy. Bardzo niewiele wiemy, jak już powiedział pan profesor Barański, o naszym pierwszym historycznym władcy. Dlatego profesor Urbańczyk napisał obszerną pracę monograficzną zatytułowaną „Mieszko Pierwszy nieznan”.

Teraz ze strony wschodniej. Zasadnicze kwestie, to dlaczego Mieszko nie został kanonizowany. Każdy Chrzciciel swojego ludu był kanonizowany z automatu, Stefan na Węgrzech, Włodzimierz na Rusi, Olaf w Norwegii, z wyjątkiem Mieszka. Czemu jego syn Bolesław Mieszkowic nie zrobił nic, żeby kanonizować, jeżeli nie ojca, to przynajmniej matkę? Dobrawa chyba bardzo nadawała się na świętą patronkę. Nie zrobiono tego. A może poddanych ochrzczono wcześniej? W Krakowie jest kościół św. Wojciecha, przy wejściu możemy przeczytać, że został zbudowany przez św. Wojciecha. Mało prawdopodobne, żeby św. Wojciech budował kościoły ku swojej czci. Co ciekawe, jest to kościół murowany z lat około 1000 roku, a wcześniej był w tym miejscu kościół drewniany. Głębiej archeolodzy odkryli cmentarz, ale nie pogański, tylko chrześcijański.

Centrum ówczesnego Krakowa to był Wawel, a kościół św. Wojciecha był położony z daleka od Wawelu, czyli musiał to być jakiś inny ośrodek miejski, który już w tamtych czasach, 30 lat po oficjalnym chrzcie, miał dobrze zorganizowaną sieć parafialną. To musi dziwić. Skąd taka organizacja w czasach misyjnych? Jestem zwolennikiem tezy, że południowa Polska, kraj Wiślan, uległa chrystianizacji z Moraw. Złośliwi od razu mówią „tak, to Kościół prawosławny tak mówi, żeby sobie dopisać dłuższą historię na ziemiach polskich”. Nie! Książę na Wiślech, o którym czytamy, że urągał chrześcijanom, to nie jest jakaś postać legendarna.

Wydaje się nam, że chrystianizacja Polski ma dwa źródła – łańskie i metodiańskie. Otóż Kościół Rzymski w Polsce obchodził w swojej historii Millenium dwukrotnie. W 1996 były to już drugie obchody. Pierwszy episkopat ogłosił w 1863 roku, ponieważ tradycja metodiańska była wtedy jeszcze oczywistością.

Jan Paweł II w „*Slavorum Apostolii*”, słynnej encyklice wydanej w 1985 roku na Millenium misji cyrylo-metodiańskiej, bardzo ostrożnie sformułował zdanie: „Polska otarła się o misję metodiańską”. Zawsze była rywalizacja między Gnieznem a Krakowem. Gniezno odrzucało misję metodiańską. Wszystko zaczęło się tutaj, w Gnieźnie w 966 roku. Natomiast ludzie związani z Krakowem nie byli tego tacy pewni. Bo kiedy założono biskupstwo w Krakowie? Nigdy go nie założono. To kiedy się zaczęło? Uważa się, że krakowskie biskupstwo jest kontynuacją biskupstwa w Nitrze. Na zakończenie mojej wypowiedzi jeszcze przypomnę rozmowę ze słynnym dominikaninem o Aleksandrem Hanke-Ligowskim OP, ekumenistą i opozycjonistą, później misjonarzem na Ukrainie i w Rosji, który w rozmowie ze mną powiedział: „nigdy nie zgodzimy się na misje metodiańskie w Polsce”. Tylko nie wiem, czy mówił to w swoim własnym imieniu czy w imieniu wszystkich katolików w Polsce?

Grzegorz Polak

Panie profesorze, czy pan chciałby do tego coś dodać?

Marek Barański

Może tylko tyle, że niestety mamy bardzo mało źródeł, które mogłyby oświetlić tamte czasy. Może były na naszych ziemiach jakieś misje cyrylo-metodiańskie, ale nie ma o nich śladu w źródłach pisanych. Niektórzy historycy jednak uważają, że w Krakowie mogli działać biskupi cyrylo-metodiańscy. Najstarszy spis biskupów krakowskich, przed ustanowionym w tysięcznym roku biskupem Poppo, wymienia jeszcze Prohora i Prokulfa. Nie wiemy, kim oni byli, może właśnie biskupami z czasów wcześniejszych, z czasów misji cyrylo-metodiańskiej? Gall Anonim pisze, że za czasów Bolesława Chrobrego Polska miała dwóch arcybiskupów. Jednym z nich był brat św. Wojciecha, Radzym-Gaudenty, ale nie wiemy, kim był ten drugi. Niektórzy sądzą, że mógł to być arcybiskup liturgii metodiańskiej. Liturgia ta przetrwała w Czechach do końca wieku XI. Ale czy istniała w Polsce? A może pisząc o dwóch arcybiskupach, Gall się pomylił? Nie wiemy, źródła pisane są bardzo niejasne.

Dyskusja

Marek Barański

Bardzo mało wiemy o czasach, o których teraz mówimy. Nie wiemy, kiedy Mieszko I się urodził, nie wiemy, kiedy zaczął rządzić. Zapewne około roku 960 wstąpił na tron, ale jest to tylko przypuszczenie. Czasy panowania Mieszka I zawierają wiele niewiadomych. Wiemy, że miał dwóch braci, jeden z nich nazywał się Czhibor, nie znamy imienia drugiego. Nie wiemy, co stało się z ich potomstwem, o ile je mieli. Również w nieco późniejszych czasach nie wszyscy członkowie dynastii są nam znani. Są to naprawdę ciemne czasy, aby zrekonstruować historię, musimy posilkować się hipotezami. Są one niekiedy bardzo prawdopodobne, ale zawsze są to tylko hipotezy. Na pewno chrzest był, na pewno Mieszko I ożenił się z Dobrawą, na pewno dużą rolę odegrali księża, którzy przybyli z Czech, ale szczegółów nie znamy. Znamy tylko jednego z misjonarzy, Jordana, od roku 968 biskupa polskiego, ale imion innych nie znamy.

Krzysztof Zanussi

Jestem kompletnym laikiem z historii, ale oburzyłem się na zbitkę słów, których pan użył. Te czasy nie były ciemne. To my jesteśmy ciemni, bo nie wiemy. A to były czasy niebywałego rozkwitu Europy, kiedy powstawała Christianitas, to marzenie chrześcijańskiego świata jedności. Wyznawano zasadę, że jeżeli będziemy tej samej wiary, to będziemy jednością i nie będziemy walczyć między sobą. Twierdzę, że Średniowiecze było najpiękniejszym okresem w historii ludzkości na terenie Europy. To było coś, z czego powinniśmy być dumni i nie wierzyć w te głupstwa, które Voltaire wypisywał, że to były czasy ciemnoty. Przeciwnie, będziemy uważali niedługo iluminizm, który zalecał w epoce Oświecenia kierowanie się w życiu wyłącznie zasadami rozumu ludzkiego, za czas ciemnoty, bo to medytowanie po rewolucji francuskiej zepsuło nam Europę. Ale dzisiaj, kiedy świat tak daleko zagalopował, że już XIX i XX wiek to jest jakaś odległa przeszłość i już wiemy, że zarówno Newton, jak i Voltaire są myślicielami zamkniętej i minionej epoki, bo od Einsteina zaczęło się coś zupełnie innego, i że inaczej musimy patrzeć na świat, który nas otacza. Wobec tego brońmy Średniowiecza jako pięknego czasu. Pokłosem Średniowiecza były między innymi uniwersytety.

Marek Barański

Użyłem słowa ciemny w takim sensie, jak byśmy weszli do muzeum ze wspaniałymi zbiorami, w którym światło byłoby zgaszone. Tam były wspaniałe rzeczy, tylko nie wiemy, jak one wyglądały. Zgadzam się całkowicie, że Średniowiecze, pod każdym względem, było wspaniałą epoką. Nie tylko pod względem wiary, idei i nauki, ale nawet pod względem wynalazków. Więcej wynalazków było w okresie średniowiecza niż w czasach późniejszych, powiedzmy do XVIII wieku.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałabym poruszyć sprawę obserwowanego obecnie odchodzenia młodych ludzi od Kościoła. Jest to sprawa ogromnie zło-

żona, ale jedną z przyczyn widziałabym w permanentnym braku czasu na rozmowę rodziców z dziećmi. Pamiętam długie rozmowy mojego ojca z moimi braćmi na najróżniejsze tematy, również światopoglądowe. To zapotrzebowanie na rozmowę widzimy również my, kiedy odwiedzają nas różni młodzi, nie tylko nasze wnuki.

Druga wartość, której poszukują młodzi, to świadectwa życia. Pamiętam rekolekcje, które współprowadziliśmy z moim mężem dla narzeczonych w kościele Świętej Anny, wkrótce po jubileuszu 40 lat naszego małżeństwa. Mieliśmy wątpliwości, czy nie jesteśmy już za starzy na animatorów i czy nasze świadectwa docierają do młodych. Mówiliśmy wtedy, jak szczęśliwe może być małżeństwo, mogą być ludzie, którzy żyją zgodnie z Dekalogiem. Utkwiła mi w pamięci wypowiedź uczestników pod koniec rekolekcji, że szczególnie dziękują nam za nasze świadectwa, bo pokazały im, że można przeżyć tyle lat razem i dalej być szczęśliwym w małżeństwie.

Trzeba zdawać sobie sprawę, że spojrzenie młodych jest bardzo wnikliwe i krytyczne, bez akceptacji dla najdrobniejszego fałszu czy zakłamania. Jeżeli w swoich rodzinach widzą tego przykłady, że co innego się robi, a co innego się głosi, to odrzucają świat głoszonych wartości. Jedynie w pełni prawdziwe świadectwo życia przemawia do młodego człowieka.

Prowadząc Uczelnię opartą na wartościach chrześcijańskich, musimy na co dzień pamiętać, że tylko świadectwo naszego życia jest tą wartością, która przemawia do drugiego człowieka.

Od wspomnianych rekolekcji minęło już 15 lat. Wkrótce minie nam 55 lat naszego małżeństwa. Nic się nie zmieniło w naszej opinii – stosowanie Dekalogu na co dzień jest, w naszej opinii, absolutnym gwarantem cudownego, szczęśliwego życia.

Grzegorz Polak

Bardzo serdecznie gratulujemy. To, co powiedziała Pani Profesor, jest dobrym podsumowaniem. Życie z Dekalogiem jest życiem szczęśliwym. Uważam, że dzięki tym wartościom dzisiaj istniejemy jako naród.

Serdecznie dziękuję naszym prelegentom za obecność i za to, co powiedzieli. Spojrzeliśmy na jubileusz chrztu Polski z różnej strony, choć oczywiście nie wyczerpaliśmy tematu. Rok jubileuszowy będzie służył do tego, żeby do tych problemów wielokrotnie wracać.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

*Czym jest dla mnie praca społeczna
i jak ją realizuję?*

Cytaty

Papież Franciszek – Służba oznacza, że czyni się wolę innych (spotkanie z młodymi księżmi i seminarzystami studiującymi w Rzymie 12 maja 2014, fragment)

Leadership... to jest sedno pytania... Jest tylko jedna droga – potem będę mówił o pasterzach – ale gdy chodzi o *leadership*, jest tylko jedna droga: posługa. Innej nie ma. Jeśli masz wiele zalet – jesteś komunikatywny itd. – ale nie jesteś sługą, twoja *leadership* załamie się, niczemu nie będzie służyć, nie potrafi skupiać wokół siebie. Tylko posługa: służenie... Pamiętam bardzo dobrego ojca duchowego, ludzie do niego chodzili, było ich tylu, że czasem nie mógł odmówić brewiarza w całości. I gdy zbliżała się noc, chodził do Pana i mówił: „Popatrz, Panie, nie wykonałem Twojej woli, ale mojej też nie! Wykonałem wolę innych!”. I tak obaj – Pan i on – pocieszali się. Pewien ksiądz, który pracował w bardzo ubogiej dzielnicy – bardzo ubogiej! – w takiej *villa miseria*, faweli, powiedział: „Potrzebowałbym zamknąć okna, drzwi, wszystkie, bo w pewnym momencie proszą mnie o tak wiele, tak wiele rzeczy: o rzeczy duchowe, o rzeczy materialne, że na koniec miałbym ochotę wszystko pozamykać. Ale to by nie było według Pana”, mówił. To prawda: kiedy nie ma posługi, nie możesz przewodzić ludowi. Posługa pasterza. Pasterz zawsze musi być do dyspozycji swojego ludu. Pasterz musi pomagać ludowi wzrastać, wędrować. Wczoraj w czytaniu z Ewangelii zaciekało mnie słowo „popchnąć”: pasterz popycha owieczki, aby szły szukać trawy. Zaciekało mnie to: każe im wychodzić, każe im wychodzić na siłę! W oryginale jest ten odcień: każe wyjść, używając siły. Jakby je wyganiał: „idź, idź!” To jest pasterz, który sprawia, że jego lud wzrasta, i który idzie zawsze ze swoim ludem. Niekiedy pasterz musi iść przodem, by wskazywać drogę; kiedy indziej jest wśród ludzi, by dowiedzieć się, co się dzieje; wielokrotnie musi być z tyłu, by pomagać ostatnim, a także by iść za wędchem owiec, które wiedzą, gdzie jest dobra trawa.

Pasterz... Św. Augustyn, nawiązując do Ezechiela, mówi, że pasterz musi służyć owcom, i podkreśla dwa niebezpieczeństwa: przypadek pasterza, który wykorzystuje owce, by jeść, by zarabiać pieniądze, bo ma interes finansowy, i przypadek pasterza, który wykorzystuje owce, by się dobrze ubrać. Mięso i wełna. Tak mówi św. Augustyn. Przeczytajcie to piękne kazanie *De pastoribus*. Trzeba je czytać wciąż na nowo. Tak, są dwa grzechy pasterzy: pieniądze, są tacy, którzy się bogacą i robią rzeczy dla pieniędzy – pasterze dorobkiewicz; i próżność, są pasterze, którzy uważają, że są ponad swoim ludem, oderwani od niego... myślimy, pasterze – księżęta. Pasterz dorobkiewicz i pasterz książe. To są dwie pokusy, o których mówi w swoim kazaniu św. Augustyn, nawiązując do fragmentu z Księgi Ezechiela. To prawda, pasterz, który szuka samego siebie, zarówno drogą pieniędzy, jak drogą próżności, nie jest sługą, nie ma prawdziwej *leadership*. Pokora musi być bronią pasterza: pokorny, zawsze sługa. Musi dążyć do tego, by służyć. A nie jest łatwo zachować pokorę, nie, nie jest łatwo! Mówią mnisi pustyni, że próżność jest jak cebula: kiedy bierzesz do ręki cebulę, zaczynasz ją obierać, i jeśli czujesz się próżny, zaczynasz obierać próżność. Warstwa po warstwie, jeszcze jedna i jeszcze jedna... i na koniec dochodzisz do... niczego. „O, dzięki Bogu, obrałem cebulę, obrałem próżność”. Tak robisz i pachniesz cebulą! Tak mówią ojcowie pustyni. Taka jest próżność. Kiedyś rozmawiałem z pewnym jezuitą – dobrym, dobrym człowiekiem – ale był taki próżny, taki próżny... I my wszyscy mu mówiliśmy: „Jesteś próżny!”, ale on był tak dobry, że wszyscy mu to wybaczyliśmy. Pojechał na rekolekcje, a kiedy wrócił, powiedział nam we wspólnocie: „Jakie piękne rekolekcje! Przeżyłem osiem dni w niebie i odkryłem, że byłem bardzo próżny! Ale dzięki Bogu pokonałem wszystkie pasje!”. Taka jest próżność! Bardzo trudno jest uwolnić księdza od próżności. Lecz lud Boży przebacza ci wiele rzeczy: przebacza ci, jeśli się poślizgniesz z powodów uczuciowych, przebacza ci to. Przebacza, jeśli się poślizgniesz z powodu kieliszka wina, przebacza ci to. Lecz nie przebaczy ci, jeśli jesteś pasterzem przywiązany do pieniędzy, jeśli jesteś pasterzem próżnym, który nie traktuje dobrze ludzi. Osoba próżna

nie traktuje bowiem dobrze ludzi. Pieniądze, próżność i pycha. Trzy schody, które prowadzą do wszystkich grzechów. Lud Boży rozumie nasze słabości i wybacza je; ale tych dwóch nie przebacza!

Kiedyś słyszałem takie słowa o pewnym proboszczu: «Ten człowiek znał imiona wszystkich ludzi ze swojej dzielnicy, znał nawet imiona ich psów!». To piękne! Był blisko nich, znał każdego, znał historię wszystkich rodzin, wiedział wszystko. I pomagał. Był przy nich... Bliskość, posługa, pokora, ubóstwo i poświęcenie. Pamiętam starych proboszczów z Buenos Aires, kiedy nie było telefonów komórkowych, poczty głosowej; spali koło telefonu. Nikt nie umierał bez sakramentów. Wzywali ich o każdej porze: wstawali i szli. Posługa, posługa. A kiedy byłem biskupem, cierpiałem, kiedy dzwoniłem do jakiejś parafii i odpowiadała mi automatyczna sekretarka... Tak, nie ma *leadership*! Jak możesz prowadzić lud, jeśli go nie słyszysz, jeśli nie jesteś sługą?

Ewa Gałach (kierująca świetlicą przy siedleckiej parafii
św. Stanisława)

proszona o receptę na zarażenie chęcią pomocy bliźnich przywołuje słowa bł. Jana Pawła II: „Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, lecz przez to, kim jest; nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi”. Trzeba dać sobie szansę, odważyć się i zacząć. Pomaganie wciąga i staje się pasją – podkreśla.

Zaznacza też, że niezdecydowanym należy uświadomić, że każdy ma coś, czym może podzielić się z drugim człowiekiem. Często wystarczy sama obecność. Znaczenie mają bowiem nie tylko pieniądze, ale przede wszystkim szczęście! Skoro wolontariat daje radość obdarowującym i obdarowanym, to można uznać, że jako służba jest ogromną wartością – ocenia.

ks. Marek Dziewiecki
Wolontariat w duchu Ewangelii (fragment)

Chrześcijaństwo nie ogranicza się do sfery religijnej, lecz oznacza zgodny z Ewangelią sposób postępowania w każdej sferze życia: osobistej, rodzinnej i społecznej. Na końcu doczesności Bóg zapyta nas o to, czy kochaliśmy bliźniego, zwłaszcza tego, który był w potrzebie. Istotą chrześcijaństwa jest sztuka życia w miłości tu i teraz. Chrześcijanin to nie teoretyk czy ideolog miłości, ale świadek miłości Boga do człowieka. To ktoś, kto kocha, a nie tylko mówi, że kocha czy że należy kochać.

Jedną z form miłości bliźniego jest wolontariat, czyli bezinteresowne angażowanie się w troskę o ludzi w potrzebie: o chorych, samotnych, biednych, uzależnionych, bezradnych. Jednak wolontariat chrześcijański wyraźnie różni się od wolontariatu humanistycznego i może właśnie dlatego nie jest promowany w dominujących mediach. Wolontariat według zasad Ewangelii ma głębsze motywy, bo wynika z miłości Boga do człowieka, a nie tylko ze spontanicznej wrażliwości na potrzeby bliźnich. Po drugie, wolontariat chrześcijański ma głębsze cele. Nie chodzi tu tylko o nakarmienie głodnych czy odwiedzenie samotnych. Chodzi o pomaganie bliźnim w rozwoju, aż do świętości włącznie. Po trzecie, wolontariat jest na tyle chrześcijański, na ile wiąże się z pogłębioną formacją w duchu Ewangelii i na ile jest owocem tejże formacji.

KONWERSATORIUM LXXXVII

(23 kwietnia 2016)

Czym jest dla mnie praca społeczna i jak ją realizuję?

Prowadzący: ks. **Adam Zelga**, proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego; ks. kardynał **Kazimierz Nycz**, Arcybiskup metropolita warszawski; **Jacek Waksmundzki**, przedsiębiorca, działacz społeczny, współtwórca Centrum Działań Społecznych bł. Edmunda Bojanowskiego; **Maria Środoń**, socjolog, pracownik naukowy UW, współzałożycielka Stowarzyszenia Ochocianie; **Marta Bejnar-Bejnarowicz**, nauczycielka chemii w Liceum i Gimnazjum Przymierza Rodzin; **Adam Wiśniewski**, prawnik, członek Przymierza Rodzin; **Szymon Fulara**, inżynier i wychowawca Przymierza Rodzin; **Ignacy Dembiński**, uczeń Liceum Przymierza Rodzin, uczestnik projektu „Nie wstydz się pomocy”.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Witam państwa bardzo serdecznie na tym niezwykłym naszym dzisiejszym spotkaniu, 87. Konwersatorium, połączonym z projekcją filmu „Koncert dla Izy”. Jest on o życiu i działalności Izabeli Dzieduszyckiej, wieloletniego prezesa Stowarzyszenia Przymierze Rodzin oraz założycielki i inicjatorki powstania wszystkich szkół Przymierza Rodzin w Warszawie. Cieszę, że jesteśmy tu dzisiaj wszyscy razem.

Witam bardzo serdecznie wszystkich panelistów naszego Konwersatorium, a szczególnie Księdza Kardynała Kazimierza Nycza, który zgodził się uczestniczyć w panelu naszego konwersatorium.

Witam wszystkich państwa, którzy budowaliście te nasze szkoły, wszystkich naszych sponsorów, którzy od początku nas wspierali

na różnych polach i którzy nas wspomagają do dziś. Widzę ich tu wielu. Ogromnie im dziękuję. Dziękuję bardzo serdecznie za przybycie na to wyjątkowe dla nas spotkanie licznych naszych przyjaciół, których jest tu bardzo wielu. Widzę mnóstwo osób, którym chciałabym podziękować osobiście, ale oczywiście nie jest to możliwe ze względu na brak czasu.

Witam naszych słuchaczy i studentów Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin, a także nauczycieli i uczniów Szkół Przymierza Rodzin. Bardzo serdecznie wszystkim witam i dziękuję za przybycie.

Nasze dzisiejsze Konwersatorium jest nawiązaniem do głównego przesłania filmu „Koncert dla Izy” – pracy społecznej, służby na rzecz drugiego człowieka. Jest to już 87. Konwersatorium. Spotkania te odbywają się już 11. rok w cyklu comiesięcznym, a efektem ich jest 10 wydanych już tomów książki pt. „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”.

Przed projekcją filmu poproszę panią Krystynę Dzieduszycką-Rycerską, córkę Izy Dzieduszyckiej, o parę słów wprowadzenia do tego filmu.

Krystyna Dzieduszycka-Rycerska

Mam miły obowiązek podziękowania osobom, które stworzyły film o Mamie. Przede wszystkim chciałam podziękować Piotrowi Morawskiemu, który z wielką wrażliwością towarzyszył Mamie w kolejnych dniach tworzenia i nagrywania filmu. Serdecznie dziękuję panu Grzegorzowi Kasperkowi, który jest producentem filmu, oraz Redakcji Programów Katolickich Telewizji Polskiej, z Ojcem Rafałem Sztejką SJ i panią redaktor Joanną Ładzińską-Molak, bez których ten film by nie powstał. Na ręce Magdy Kielczewskiej i Marty Bejnarowicz składam podziękowanie całemu Zarządowi Przymierza Rodzin za wsparcie powstania filmu. Dziękuję całej społeczności Przymierza Rodzin, ale przede wszystkim dyrektorom Szkół, w których był kręcony film, jak również dzieciom i ich rodzicom. Szczególnie dziękuję dyrektorom trzech Szkół im. Jana Pawła II, którzy zorganizowali „Koncert dla Izy”, w podziękowaniu Mamie za Jej działalność, oraz Antoninie Krzysztoń, której muzyka, zare-

jestrowana podczas tego koncertu, tworzy wspaniałą klamrę spinającą cały film.

Stoję przed Państwem, którzy zrobiliście tak wiele dla Przymierza Rodzin. Każdy z Was ma bardzo indywidualną historię wspierania czy to szkół, świetlic, czy grup Przymierza Rodzin. W imieniu Mamy za całe to wsparcie i współpracę bardzo Państwu dziękuję. Nazwiska sponsorów wypisane są w Auli szkoły im. Jana Pawła II, w której obecnie się znajdujemy.

Dziękuję też wszystkim, którzy wraz z Mamą, w sekcji rodzin Klubu Inteligencji Katolickiej tworzyli grupy młodzieżowe i dziecięce. Nie ma dzisiaj z nami Joanny Świącickiej, przewodniczącej KIK, ale jest Marcin Świącicki, który podpisywał akt budowy Szkół, tych tutaj na Ursynowie.

Doświadczaliśmy tego, że Mama łączyła ludzi o bardzo różnej historii i doświadczeniu, po to, aby wspólnie tworzyć różnorakie dobro i niezwykle dzieła.

Film, który za chwilę będzie prezentowany, niestety, ze względu na ramy czasowe nie mógł pokazać wszystkich tych dzieł Mamy oraz ludzi, którzy byli w nie zaangażowani. Wspomnę niektórych z tych, którzy już odeszli. Ludwik Kastory, który działał w KIK, tworząc grupy młodzieżowe i dziecięce, Ksiądz Kardynał, Prymas Józef Glemp, który ogromnie wspierał Przymierze Rodzin, pani profesor Inka Słomińska, która od początku istnienia Szkoły Wyższej była w grupie jej wykładowców, pani Elżbieta Rufener-Sapieha, która wspierała budowę wszystkich Szkół, a szczególnie Szkoły Wyższej, której była główną fundatorką. Wspierała też całą działalność Mamy. O tej ostatniej Adam Pietrzak powiedział, że zrezygnowała ze zbudowania pałacu na ziemi, budując dla siebie pałac w niebie. Ta postawa jest charakterystyczna dla wielu osób z jej środowiska, które przeżyło II wojnę światową.

Patriotyzm Mama rozumiała zawsze jako konkretną działalność na rzecz drugiego człowieka. Raz tylko poszła na manifestację, o czym jest mowa w filmie, na manifestację 3 maja. Poza tym, tak jak mówi w swej książce „Kucem na Ursynów”, liczyło się dla niej działanie, którego motorem, w moim odczuciu, była głównie wiara i za-

ufanie do Pana Jezusa. To widziałyśmy w domu i tak postrzegałyśmy inspirację Mamy do działania.

Warto powiedzieć młodym, że życie w rodzinie, w której rodzice poświęcają swój czas dla pracy społecznej, to jest wielka radość, wielki przywilej, ale też jest wyzwaniem. Mam nadzieję, że dla was, szczególnie młodych siedzących tu na sali, ten film będzie inspiracją do ciekawego życia.

Na koniec powiem, że Mama za każdym razem, kiedy film miał być kręcony pytała: „ale co ja takiego w życiu zrobiłam, że wy chcecie o mnie robić film ?” Sami państwo ocenicie, czy było warto.

Prezentacja filmu „Koncert dla Izy”

Konwersatorium – wystąpienia panelistów

Ks. Adam Zelga

Na wstępie zacytuję siebie samego o tym, że są trzy przymierza: Stare Przymierze, Nowe Przymierze i Przymierze Rodzin. Bardzo serdecznie zapraszam do stołu prezydialnego naszych panelistów: księdza kardynała Kazimierza Nycza, pana Jacka Waksmundzkiego, panie Marię Środoń i Martę Bejnar-Bejnarowicz, panów Adama Wiśniewskiego, Szymona Fulara i Ignacego Dembińskiego.

Film, który obejrzelśmy, jest znakomitym wprowadzeniem w tematykę dzisiejszego spotkania. Zakorzenie je tylko teologicznie. Służba społeczna wywodzi się ze Starego i Nowego Testamentu. Ze Starego Testamentu wtedy, kiedy Pan Bóg mówi do człowieka „czyńcie sobie ziemię poddaną”, i z Nowego Testamentu, gdy Jezus Chrystus mówi „miłujcie się wzajemnie tak, jak ja was umiłowałem”. To są dwa źródła służby społecznej i chyba one dają człowiekowi poczucie sensu, spełnienia i zbawienia.

Bardzo serdecznie wszystkim państwa witam. To już jedenasty rok naszej konwersatoryjnej historii, pomyślanej jako pokłosie nauczania i służby Jana Pawła II. Ich niecodziennosc polega na tym, że opierają się na świadectwach panelistów. Powstało 10 tomów takich świadectw. Mają one odpowiedzieć na trudne pytania współ-



Paneliści: od prawej ks. Adam Zelga, ks. kardynał Kazimierz Nycz,
Maria Środoń, Marta Bejnar-Bejnarowicz, Jacek Waksmundzki,
Szymon Fulara, Adam Wiśniewski, Ignacy Dembiński



Słuchacze

czesnego człowieka. Dziś to pytanie brzmi „Czym jest dla mnie praca społeczna i jak ją realizuję?” Księżę kardynale, bardzo prosimy o świadectwo.

Ks. kardynał Kazimierz Nycz

Nie wiem, czy to będzie świadectwo. Natomiast chciałem na początku podziękować za to, że jestem pierwszym mówiącym, z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że najgorzej jest mówić na końcu, kiedy już wiele powiedziano. Po drugie, zawsze jest nadzieja, że mądrzy młodzi ludzie, którzy siedzą po mojej prawej stronie, dopowiedzą wiele do tego, czego ja nie powiedziałem, a po trzecie, że jeszcze dzisiaj mam spotkanie w Częstochowie z dużą akademicką pielgrzymką, więc będę musiał wyjść wcześniej.

Film, który obejrzelśmy, jest syntezą życia pani Izabeli Dzieduszyckiej, i nie sposób rozpocząć swego wystąpienia bez stanowczego stwierdzenia, że do pokazanego w filmie świadectwa pracy społecznej Izabeli Dzieduszyckiej w czasie jej dość długiego życia nie dorosnę nigdy. Obejrzany film pokazuje też jedną, moim zdaniem, fundamentalną rzecz i sprawę. Często narzekamy na trudne czasy, które nam uniemożliwiają czy wręcz zamykają drogę do robienia czegoś pożytecznego, dobrego, wspaniałego, a życie pani Izabeli pokazuje, że nie czekając na lepsze czasy, przez całe swoje życie czyniła ona dzieła, które były zawsze skierowane ku drugiemu człowiekowi i ku społeczności ludzkiej. Oczywiście czasy, które przyszły po roku 1989, niewątpliwie poszerzyły możliwości działania takim społecznikom jak pani Izabela, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Pani Izabela pokazuje swoim życiem, w jaki sposób te ostatnie 25 lat potrafiła wykorzystać, ale nie wykorzystałaby ich tak, gdyby nie była osobą wcześniej uformowaną, gdyby nie miała talentu, energii i niespokojnego ducha.

Często przytaczam powiedzenie mojego wspaniałego biskupa, u którego byłem następcą w Koszalinie – księdza biskupa Jeza. Był to człowiek, który przeżył dwie wojny światowe, był 3,5 roku więziony w Dachau, przyszedł na Ziemię Zachodnie, do Gorzowa, ze Śląska, organizował nową diecezję i był bardzo pogodnym, zaan-

gażowanym człowiekiem, aktywnym do 90. roku życia. Zmarł tuż przed nominacją kardynalską. Mówiono, że wiadomość o nominacji go zabiła. Papież powiedział mu, że w środę zostanie kardynałem, a we wtorek przed tą nominacją umarł.

Wiadomo, jak to wśród świeckich nieraz bywa, a jeszcze częściej wśród księży – wszyscy narzekają na ciężkie czasy. Ksiądz biskup Jeż słuchał tego dwie minuty, uderzał pięścią w stół, lekko podnosił głos, żeby zagrać zdenerwowanie, bo w rzeczywistości był gołębiego serca, i mówił „proszę państwa, jeżeli ktoś w tym gronie ma prawo narzekać na ciężkie czasy, to ja mam do tego prawo. Przeżyłem wojnę jedną, drugą, trudny czas stalinowski, Dachau. Słyszeliście kiedykolwiek, żebym narzekał na trudne czasy? Wy po prostu nie macie pomysłu na życie albo się wam nic nie chce, dlatego zwalacie winę na to



Ks. kardynał Kazimierz Nycz

wszystko, co jest poza wami”. Ja dzisiaj to mówię nie dlatego, żeby chwalić biskupa Jeża w dziesięć lat po jego śmierci, ale traktuję jego jako osobę we wszystkim, co zrobił, jako świadka ogromnego zaangażowania społecznego. On, który był niesłuchanie skrzywdzony przez Niemców chociażby przez obóz, dostał w latach 80. i 90. odznaczenia niemieckie jako budowniczy mostów. On był w tle listu biskupów z 1965 roku, potrafił wychodzić naprzeciw, potrafił ludzi obdarzać przebaczeniem bez warunków wstępnych. Bo każde przebaczenie, które jest obwarowane „a ja ci przebaczę, jeśli”, takie przebaczenie przynosi dużo mniejsze owoce. Przebaczenie, które jest bez warunków wstępnych, tak jak było w przypadku wspomnianego listu biskupów polskich do niemieckich, nawet takie, za

które ta trójka biskupów musiała się strasznie narazić komunistom, ono przyniosło owoce. Nie na drugi dzień, nie na drugi tydzień, ale za parę lat, za kilkanaście lat stało się właśnie takim momentem przebaczenia.

Na zakończenie, wracając jeszcze raz do pracy społecznej, trzeba powiedzieć, że my jako Polska, jako Kościół w Polsce w 1989 roku właściwie zaczynaliśmy od zera, jeśli chodzi o takie dzieła społeczne, które powstały oddolnie, jak szkoły prywatne i katolickie, przedszkola, niepaństwowe domy pomocy społecznej. 30 lat komunizmu wszystko zniszczyło. Dzięki takim ludziom jak pani Izabela, dzięki poszczególnym Caritasom diecezjalnym i innym organizacjom diecezjalnym i ludziom świeckim w Kościele, w czasie tego 25-lecia zrobiliśmy ogromnie dużo. Oczywiście zawsze będzie tak jak z tą przysłowiową szklanką, o której malkontent powie, że „do połowy jest pusta”, ale myślę, że musimy czasem umieć się pochwalić i powiedzieć, że aż „do połowy jest pełna”. Ostatnio byłem w czasie wizytacji biskupiej we wspaniałej szkole na Bielanach, wazszej szkole, Szkole Przymierza Rodzin. Kiedy patrzę na tę szkołę i na te kilkaset nowych katolickich szkół w Polsce, to sobie myślę, że to jest droga, którą powinniśmy iść dalej, nie czekając na to, co dla nas zrobią z góry. Oczywiście to nie znaczy, że nie mamy prawa spodziewać się i wymagać tego, żeby państwo dbało sprawiedliwie o wszystkie szkoły katolickie, które są w całej Polsce i we wszystkich jej regionach. Jednak równocześnie to nie znaczy, że jeżeli obie drogi, ta od dołu i ta od góry nie spotkają się, to mamy prawo do narzekania, że czasy są trudne. W jakimś sensie obie drogi wynikają z przykazania miłości Boga i bliźniego, które jest fundamentem Ewangelii. Czasy są czasem trudne, ale człowiek, który jest w te czasy zaangażowany i próbuje je zmieniać, nie ma czasu na narzekanie, ponieważ jest tak zakorzeniony i zaangażowany w to, co robi dla dobra innych ludzi. W tym znaczeniu pragnę wyrazić wielkie uznanie dla bohaterki dzisiejszego spotkania, filmu i konwersatorium, ale także ogromną prośbę, żeby wokół pani Izy, tak jak dotychczas, pojawiali się ludzie, którzy będą trzymać linię i ducha jej działania. Łatwo jest skrócić z dziełem, które jest słuszne, piękne i

wspaniale, gdy nie zachowa się ducha, w którym było prowadzone. Ufam, że pani Izabela Dzieduszycka jako honorowy prezes Stowarzyszenia Przymierze Rodzin będzie jeszcze przez wiele lat udzielała swego ducha swojemu dziełu. Pani Izo, bardzo, bardzo serdecznie dziękuję.

Maria Środoń

Czym jest dla mnie praca społeczna? Jest po prostu zadaniem, nie traktuję jej specjalnie górnołotnie. Jest zadaniem, które w pewnym momencie staje przed człowiekiem i można się albo od niego uchylić, albo je podjąć. Jestem wychowanką KIK i myślę, że to jest wielka zasługa środowiska Klubu Inteligencji Katolickiej i Przymierza Rodzin, że wychowało całe pokolenia w duchu podejmowania zadań, nieuchylania się przed nimi i nieoglądania się na innych. Kiedyś odbyłam rozmowę, która mi uświadomiła, że pod tym względem jesteśmy „inaczej myślący”. Próbowałam namówić kogoś w spółdzielni mieszkaniowej, żeby coś razem zrobić. Chodziło o zagospodarowanie podwórka. Mój rozmówca powiedział mi wtedy: „ja to chętnie zrobię, ale tylko jeżeli będą to robić również wszyscy inni, bo jeżeli nie, to będę frajerem”. Wtedy pomyślałam, jaki to jest inny sposób myślenia od naszego, że nie oglądamy się na brak zaangażowania innych, podejmujemy zadania bez zbędnego bicia piany. Jest to wartość, którą mnie i moim znajomym dał Klub Inteligencji Katolickiej, dała ciocia Iza Dzieduszycka, ciocia Zula Wielowieyska, dał nam Ludwik Kastory i całe pokolenia wychowawców. Uważam, że jest to niezwykła siła tego środowiska, że potrafi wychowywać społeczników. Mnie interesuje miasto, zarówno naukowo, jak też jako pole działania społecznego, i kiedy obserwuję różnych działaczy miejskich w Warszawie, to widzę, że korzenie wielu z nich tkwią w Przymierzu Rodzin albo w Klubie Inteligencji Katolickiej. Jest dla mnie bardzo ciekawe, że tak to się dzieje.

Dziesięć lat temu założyliśmy z sąsiadami Stowarzyszenie Ochocianie. To nie jest działalność charytatywna, choć czasami podejmujemy inicjatywy charytatywne. Jest to głównie budowanie lokalnej wspólnoty w mieście. Zapoczątkował tę działalność kon-

flikt o Park Wielkopolski. To jest taki mały parczek między ulicami Filtrową i Wawelską. W 2007 roku władze dzielnicy Ochota postanowiły zrobić rewitalizację tego parku. Została zaplanowana bez udziału i wiedzy mieszkańców i ten projekt był bardzo nieudany. Szedł w kierunku utworzenia parku reprezentacyjnego, zupełnie w poprzek sposobom dotychczasowego jego użytkowania. Czternaście furtek, płot. Furtki zamykane na noc, otwierane rano, strażnik. Szczególnie istotne w tym konflikcie było to, że plac zabaw, który był na środku tego parku, miał zostać przeniesiony w pobliże sześciopasmowej ulicy Wawelskiej. Uzasadnienie władzy było takie, że hałas z tego parku trzeba zgromadzić w jednym miejscu. Ulica Wawelska hałasuje, na placu zabaw dzieci hałasują, więc w reszcie parku będzie święty spokój i będzie cudownie. Wzbudziło to protest mieszkańców, a szczególnie matek.

Była to dla mnie bardzo ciekawa obserwacja. Dzisiaj w mieście bardzo brakuje lokalnych „agor”. Agora w starożytnych Atenach była miejscem, do którego ludzie przychodzili, aby, z jednej strony, po prostu pobyc z sobą, porozmawiać, pohandlować, a z drugiej, aby podejmować ważne, istotne decyzje dla miasta. Takimi lokalnymi „agorami”, dopóki nie mieliśmy wszyscy telewizorów, były lokalne ryneczki w miastach, gdzie ludzie wychodzili po południu po pracy czy w czasie wolnych dni. Siadywali tam i rozmawiali o sprawach ważnych i nieważnych. Uważam, że dzisiaj niemal jedyną agorą w przestrzeni realnej jest piaskownica, czyli miejsce, gdzie przychodzą matki z dziećmi. Ponieważ siedzenie z dzieckiem w piaskownicy jest raczej nudne, to nawiązuje się relacje z innymi matkami, poznaje się sąsiadów, którzy czasami są bardzo różni od nas. To jest ten moment, kiedy można poznać społeczność lokalną. Nie przypadkiem więc protest, o którym wspomniałam, w pierwszej kolejności oparł się na matkach. Zakończył się kompromisem, ale spowodował też utworzenie sieci mailowej, szerokiej sieci komunikacji. Początkowy krąg kilkunastu matek stał się inicjatorem rozległej grupy e-mailowej oraz profilu na facebooku, przez które docierają informacje do około 4000 tysięcy osób. Powstała również bardzo aktywna grupa zamknięta na facebooku, która liczy około 2500

osób, gdzie codziennie dyskusja wre na różne tematy. Początkowo wydawało się, że jak się skończy wspomniany konflikt, to skończą się też te nasze szersze kontakty. Ale okazało się, że ta potrzeba jest bardzo silna i wszystkim brakuje mocniejszej identyfikacji z miejscem zamieszkania. W mieście zwykle tworzymy wspólnoty oparte na swoich znajomych, natomiast bardzo rzadko na sąsiadach mieszkających koło nas.

Parę słów o najważniejszych naszych działaniach. Oprócz organizowania takich imprez, jak piknik sąsiedzki, który odbywa się co roku w Parku Wielkopolskim i uczestniczy w nim około 500 osób, nasza działalność obejmuje między innymi tak zwane działania watch-dogowe, które polegają na monitorowaniu władzy lokalnej. W ostatnim czasie była opisywana w prasie afera dotycząca sprzedaży nieruchomości użytkowych po zaniżonych cenach, bez przetargów. Wykrycie tej afery było między innymi skutkiem naszych działań, bo myśmy się o tym dowiedzieli i udało nam się tę sprawę nagłośnić. Kolejną bardzo ważną dla nas sprawą jest partycypacja obywatelska – to, żeby ludzie mieli poczucie wpływu na rzeczywistość, która ich otacza, mieli możliwość współdecydowania. Jeśli chodzi o przestrzeń w mieście, to w większości mamy poczucie wpływu sięgające co najwyżej klatki schodowej. Jeśli zaś chodzi o kształt przestrzeni publicznych, to mamy na ogół bardzo niskie albo żadne poczucie wpływu. Świadczy to o kryzysie demokracji, o którym się obecnie dużo pisze w socjologii. Partycypacja obywatelska próbuje włączać obywateli w decyzje o ich najbliższej przestrzeni. Wspomagamy te działania. Zgłaszamy projekty do budżetu partycypacyjnego, który jest częścią budżetu miasta przeznaczaną na projekty oddolne. Udało nam się w 2015 roku uzyskać prawie 340 tysięcy złotych na nasadzenia i drobne remonty w Parku Wielkopolskim.

Kolejna kwestia, w którą się angażujemy, to działalność na rzecz zrównoważonego rozwoju miasta, czyli takiego rozwoju, który zapewnia dobrą jakość życia mieszkańcom. Na przykład, daje łatwy dostęp do zieleni, transportu, komunikacji (np. ścieżek rowerowych), zapewnia dobrą jakość powietrza w mieście itp.

Ulica Wawelska w tunelu to jest kolejna nasza akcja, której celem jest poprowadzenie pod ziemią tej część obwodnicy Śródmieścia. Udało nam się już uzyskać poparcie miasta dla tego projektu.

W ostatnim roku naszej działalności bardzo ważnym wątkiem było Pole Mokotowskie, gdzie miasto miało plany poważnych inwestycji infrastrukturalnych. Złożyliśmy wniosek o konsultacje społeczne, pod którym podpisało się 2300 mieszkańców Warszawy. Odbłyły się warsztaty *charette*, które organizował i prowadził Maciej Mycielski, architekt z Holandii. Warsztaty *charette* to bardzo ciekawe narzędzie, za pomocą którego mieszkańcy razem z decydentami, urbanistami, ekspertami planują przestrzeń publiczną. Jesteśmy w Warszawie jeszcze daleko w tyle za zachodnią Europą w zakresie konsultacji społecznych i partycypacji, gdzie, jak na przykład w Londynie, nie da się wybudować nawet budynku – plomby bez zaangażowania lokalnej społeczności w konsultacje.

Jako socjolog postrzegam działalność społeczną podwójnie: z jednej strony jako moje osobiste doświadczenie, ale z drugiej – z poziomu metarefleksji socjologicznej. Alexis de Tocqueville zauważył blisko 200 lat temu, że po okresie dużych przemian społecznych i zmianach systemu następuje moment, kiedy ludzie wchodzi w skrajny indywidualizm. Otrzymują możliwość nieskrępowanego budowania karier osobistych i bogacenia się i w związku z tym wybierają indywidualistyczne strategie życiowe, które powodują kryzys wspólnoty. Jeżeli się temu nie zapobiega poprzez stowarzyszenie się, to kończy się to powstaniem społeczeństwa egoistów. To jest stara, ale bardzo aktualna w naszej rzeczywistości refleksja, która towarzyszy mi w mojej działalności społecznej.

Marta Bejnar-Bejnarowicz

Chcąc odpowiedzieć na pytanie, czym jest dla mnie praca społeczna, stwierdziłam, że jest czymś niezwykle naturalnym. Mogę powiedzieć, że liceum, studia chemiczne skończyłam przy okazji, a całe moje życie wiązało się naprawdę z tym, że działałam społecznie. W tym roku obchodzę jubileusz 25 lat działalności w Przymierzu Rodzin. Miałam to szczęście, że byłam w grupie młodzieżowej KIK-

u przez 10 lat i równocześnie we własnym domu oglądałam jak powstawało Przymierze Rodzin. Mój tata bardzo zaangażował się społecznie, działając wspólnie z ciotką Izą Dzieduszycką, a mój brat był wychowawcą w KIK-u. To wszystko się odbywało przy wsparciu mamy, o której tutaj nie można zapomnieć, bo trzeba wiedzieć, że ludzie, którzy pracują społecznie, to bardzo często nie mają czasu na nic innego i bez poparcia osób, które pozostają w domu, nie byłoby to możliwe. Obecnie w mojej pracy społecznej mam wsparcie mojego męża. Nie każdy musi działać na pierwszej linii frontu, ale każdy w tej pracy społecznej uczestniczy.

Poznałam wtedy ciotkę Izę Dzieduszycką, której świadectwo życia i działania było dla mnie bardzo ważne.

Myślę, że na moje zaangażowanie w Przymierze Rodzin miało wpływ zarówno to, co wyniosłam z grupy KIK-u, jak też i to, w czym uczestniczyłam w parafii u Jezuitów, gdzie uczęszczałam na religię, byłam uczestnikiem Oazy i wydawaliśmy gazetkę parafialną. To wszystko doprowadziło do tego, że mogłam się zaangażować tak wiernie w Przymierze Rodzin.

Najpierw prowadziłam grupę dziecięcą i młodzieżową w parafii Świętej Trójcy w Warszawie. Tę grupę założyłam i zamknęłam. Trwało to 10 lat. Z moimi wychowankami byłam cały czas od ośmiolatków do osiemnastolatków i do tej pory utrzymuję z nimi kontakty. Równocześnie zaangażowałam się w prowadzenie kursów dla pomocników i wychowawców. W filmie, który państwo przed chwilą widzieli, było pokazane, jak ważne jest, żeby młodzi wychowawcy byli autorytetami dla wychowanków. Tego trzeba się nauczyć. Temu służą nasze kursy i obozy, które organizowane są wspólnie z Klubem Inteligencji Katolickiej. Nie zliczę, ile już zorganizowałam obozów i ile kursów poprowadziłam.

W pewnym momencie zostałam poproszona, żeby zaangażować się w pracę zarządu Przymierza Rodzin i bodajże 16 lat temu rozpoczęłam działalność w zarządzie, która trwa do tej pory.

„Po drodze” skończyłam studia i okazało się, że w tej szkole Przymierza Rodzin potrzebny jest chemik. I od 18 lat uczę chemii w gimnazjum i liceum Przymierza Rodzin na Ursynowie. Trudno powiedzieć,

gdzie się kończy w tym powołaniu praca zawodowa, a zaczyna praca społeczna. Uważam, że bycie wychowawcą i nauczycielem jest powołaniem i ono nie mierzy się od godziny do godziny. Myśląc o tym, uważam, że praca społeczna jest dla mnie służbą na rzecz dobra.

To, co było pociągające dla mnie w Przymierzu Rodzin, to, za co jestem wdzięczna wszystkim jego twórcom, a szczególnie cieni Izie, to pewna swoboda działania. Te ramy Przymierza Rodzin są tak otwarte, że dawały możliwość własnych wyborów, dawały możliwość własnego rozwoju, można było pójść w tym kierunku, w którym się chciało jako wychowawca. To, kim jestem obecnie, niewątpliwie zawdzięczam Przymierzowi Rodzin. Trudno było być wychowawcą i samemu się nie wychowywać. Kiedy rozpoczęłam pracę w grupie, miałam 16 lat. W tym wieku człowiek nie jest jeszcze w pełni ukształtowany. Myśl, że trzeba być o krok przed swoimi wychowankami, ciągle mi towarzyszyła i to pobudzało do ciągłego rozwoju. Było dla mnie bardzo ważne, że jestem odpowiedzialna od A do Z za to, co robię. Muszę zorganizować wszystko, wymyślić program i podjąć odpowiedzialność za młodych ludzi.

Praca społeczna jest też pewną postawą wobec drugiego człowieka. Dla mnie bardzo ważna jest praca z innymi ludźmi w czasie robienia jakiegoś dobra. Umiejętność słuchania innych i umiejętność towarzyszenia im. To nie oznacza, że zawsze trzeba się z każdym zgadzać, ale trzeba go słuchać. Czasem trzeba powiedzieć „nie”, „koniec”. Jeżeli chodzi o pracę wychowawcy, to wydaje mi się, że to towarzyszenie jest tutaj kluczowe. Nie narzucanie własnych wyobrażeń, tylko towarzyszenie i przychodzenie z pomocą.

Oczywiście widzę też pewne trudności. Po 25 latach zaangażowania społecznego mam prawo o tym mówić. Trudności w realizowaniu pracy społecznej to uczucie pewnego wypalenia. Przez tyle lat można stracić jasną wizję celu. Ważnym elementem jest potrzeba czasu na refleksję, czasu na modlitwę, na zdystansowanie się. Nie można przez cały czas pracować na wysokich obrotach, cały czas działać, potrzebny jest czas, żeby zastanowić się, co dalej. I druga trudność, którą widzę, to jest borykanie się z brakiem zaufania u niektórych ludzi, z ich podejrzliwością, czy przypadkiem się nie

czerpie jakichś korzyści z pracy społecznej. Te korzyści są, ale nie są one materialne. Korzyść – to rozwój własnej osobowości.

Chciałabym jeszcze z państwem podzielić się refleksjami na temat przygotowywania młodych ludzi do służby społecznej. Otóż niewątpliwie w naszych grupach, czy to KIK-u czy Przymierza, wychowanie ma za zadanie wprowadzać w służbę społeczną i to jest pewna sztuka. To nie jest coś łatwego, ale jest to powinnością wychowawcy. Dzieci w naszych grupach na początku są zachęcane do dzielenia się choćby drugim śniadaniem. Wydaje się to rzeczą banalną i prostą, ale w swojej istocie jest rzeczą podstawową. Należy otworzyć się na drugą osobę i podzielić się czymś prostym. Z czasem, kiedy dzieci rosną, obowiązkiem wychowawcy jest też pokazać, że są inne grupy i trzeba, na przykład, zorganizować młodszym dzieciom zabawę. Już nie tylko my sami się bawimy, ale też chcemy coś dać innym, więc musimy coś dla nich przygotować. Kulminacyjnym momentem jest przygotowanie swoich podopiecznych do bycia wychowawcami. Osobiście dorobiłam się 12 wychowawców z mojej grupy.

Jeszcze parę słów o tym, co jest ważne w wychowaniu do pracy społecznej. Pierwsza rzecz to jest jasność celu. Kiedyś na obozie leśnik poprosił nas, żebyśmy w zamian za to, że mieszkamy na terenie nadleśnictwa wykonali pewne prace społeczne z grupą. Leśnik uznał, że nadajemy się tylko do tego, żeby przerzucać gałązki z jednej strony lasu na drugą. O ile ja sama rozumiałam ten cel, to dzieci nie bardzo, ponieważ tych gałęzi było tyle, że przerzucanie tych gałązek było dosyć absurdalne. Chodziło o to, żeby oczyścić pas przeciwpożarowy. Ale to była żmudna, trudna praca, która dla dzieci dziesięcioletnich była kompletnie niejasna. Jeżeli cel nie jest jasny i nie widać wyraźnego efektu pracy, to można tylko zniechęcić do pracy społecznej.

Uważam, że kolejne etapy powinny być niezbyt trudne, powinny być osiągalne. Być może najpierw trzeba zacząć od prostych prac fizycznych. W parafii Świętej Trójcy przenosiliśmy bibliotekę parafialną i to było dobre zadanie, bo konkretne, jasne, pomocne, a nie wymagało jeszcze kontaktu z innymi ludźmi. Przygotowywaliśmy też paczki świąteczne. Kiedy dzieci rosną, jest już czas, by wprowa-

dzać prace z innymi ludźmi. Przygotowywaliśmy z grupą pikniki rodzinne, w czasie których organizowaliśmy zabawy dla dzieci z parafii. To było proste zadanie dla dzieci czternastoletnich. Zabawa z innymi dziećmi była dla nich przyjemnością. Kolejnym etapem, kiedy doszliśmy do liceum, były spotkania ze starszymi ludźmi i z osobami niepełnosprawnymi. W tym przypadku trzeba dobrze przygotować młodych ludzi do takich spotkań. Zaangażowaliśmy się w projekt „młoda filharmonia”, gdzie woziliśmy niepełnosprawnych na koncerty czwartkowe do filharmonii. Muszę powiedzieć, że to było bardzo trudne doświadczenie. Główna trudność polegała na tym, że ci młodzi ludzie nie bardzo wiedzieli, o czym i jak rozmawiać z tymi osobami i jak je traktować. W tym przypadku, podobnie jak i w innych, ogromnie ważna jest rola wychowawcy. Nigdy nie możemy oczekiwać od młodych ludzi, że będą pracować społecznie, jeżeli sami się nie zaangażujemy. Razem nosiliśmy niepełnosprawnym wózki i pokazywaliśmy, jak należy rozmawiać z drugim człowiekiem. To było bardzo cenne. W mojej grupie były powszechnie znane dwa warunki wyjazdu na obóz: uczestnictwo w pracy społecznej i w formacji religijnej. Warunki te dotyczyły także wychowawców. Były obowiązkowe dla nas wszystkich.

Zaobserwowałam jeszcze jedną trudność przy zachęcaniu młodych ludzi do pracy społecznej. Młodym ludziom brakuje wytrwałości w działaniu, w cenie jest akcyjność, natomiast zaangażowanie się na dłużej, rezygnacja z pewnych przyjemności są trudne. To dotyczy nawet wychowawców, którzy się zastanawiają, czy mają pojechać na obóz czy gdzieś indziej, w miejsce bardziej atrakcyjne. Trzeba pokazywać, że zyski są niepoliczalne: to że się ma szerokie grono znajomych, że się przekracza własne ograniczenia, że ma się dystans do własnych problemów i że wszystko to daje jednak wielką satysfakcję.

Jacek Waksmundzki

Jestem przedsiębiorcą. Czuję się tutaj, w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin, jak u siebie w domu. Jestem też parafianinem parafii tu po sąsiedzku, pod wezwaniem bł. Edmunda Bojanowskiego. Od czasu, kiedy razem z rodziną zamieszkaliśmy w parafii bł. Edmunda Boja-

nowskiego, można powiedzieć, że zaczęło się dziać coś ważnego, coś dobrego. I wokół tego będzie się koncentrowała moja wypowiedź. Wróć do pytania tego konwersatorium: czym jest dla mnie praca społeczna? Moja odpowiedź będzie krótka. Praca społeczna jest integralną częścią każdego mojego dnia, bo zajmuję się codziennie moją rodziną, co jest naturalne, zajmuję się pracą zawodową, a trzecią przestrzenią, którą realizuję prawie codziennie, jest praca społeczna. Jest może jeszcze czwarta przestrzeń: relacje towarzysko-przyjacielskie, ale one łączą się z wszystkimi trzema pozostałymi. Problemem w takiej sytuacji jest to, żeby te trzy przestrzenie dobrze ze sobą współpracowały, najlepiej byłoby, gdyby sobie pomagały albo osiągały jakąś dużą synergię.

Przechodząc do drugiej części pytania – jak realizuję pracę społeczną, chciałbym powiedzieć o trzech punktach: pierwszy punkt to jest parafia i otoczenie parafii, stąd to moje przedstawienie się jako parafianina parafii bł. Edmunda Bojanowskiego. W tym punkcie również chciałbym zawrzeć informacje o relacjach parafii z miejscem, gdzie przebywamy, ze Szkołą Wyższą Przymierza Rodzin i ze spotkaniami, które już się tutaj odbyły. Ksiądz Adam, mój przyjaciel i proboszcz parafii pod wezwaniem bł. Edmunda Bojanowskiego, jest związany z Konwersatoriami od samego początku i obaj traktujemy te spotkania jako nasz społeczny dom.

Ja i moja rodzina staliśmy się parafianami naszej nowej parafii w 2002 roku. Została ona założona rok wcześniej. Otworło się przed nami przepiękne pole działania, aby tworzyć tę parafię. Wiele udało nam się już zrealizować. Na miejscu kaplicy powstał kościół i zaplecze parafialne. Jak państwo wyjdą z tej szkoły, to zobaczą, że kościół już stoi, na razie w stanie surowym. Jest to duży obiekt. Pierwsze prace związane z tym projektem to był 2004 rok, budowa 2009. Dzisiaj jesteśmy już po skończeniu stanu surowego całego obiektu i uruchomiliśmy dolny kościół. Równoległe powstawały rzeczy ewidentnie społeczne: przedszkole parafialne imienia Aniołów Stróżów, prowadzone przez Siostry Służebniczki ze Zgromadzenia założonego przez bł. Edmunda Bojanowskiego, rozpoczęła działalność szkoła dla dzieci autystycznych „Krok po kroku” i jest jeszcze sporo innych inicjatyw, które są w fazie planowania. Obszar parafii jest

dość dużym polem działalności moich bliskich i mnie. Jak już powiedziałem, w ramach tego punktu jest również współpraca ze Szkołą Wyższą Przymierza Rodzin, za którą bardzo dziękujemy. Widzimy ją jako pomoc nam bardzo potrzebną i uczącą nas.

Przechodząc do punktu drugiego, mam na myśli tworzenie Centrum Działań Społecznych Edmunda Bojanowskiego. Jest to inicjatywa ludzi świeckich i naszych przyjaciół księży. Tworzymy je od trzech lat, również na terenie parafii, ale jako organizację niezależną, jako coś przy parafii. Pomysł jest dość stary, ale jego praktyczna realizacja zaczęła się trzy lata temu, a jego apogeum przypadło na rok 2014, czyli dwusetną rocznicę urodzin Edmunda Bojanowskiego. Grupa inicjatywna, która tworzy Centrum, doprowadziła do tego, że zrealizowano projekt Oratorium na cześć Edmunda Bojanowskiego, napisany przez Pawła Buczyńskiego, oraz seminarium zorganizowane we współpracy z Szkołą Wyższą Przymierza Rodzin i Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego. W wyniku tego seminarium powstała interesująca publikacja.

Centrum jest na etapie tworzenia, więc trudno dzisiaj mówić o jego ostatecznym kształcie i zadaniach, natomiast główna idea jest taka, żeby realizować przesłanie testamentu Błogosławionego, aktualnego w dzisiejszym świecie. Staramy się w różnych projektach propagować zarówno te treści, jak i postać samego Edmunda. Nie oznacza to, że mamy zamiar zamknąć się tylko i wyłącznie w tym obszarze, ale co przyniesie przyszłość, zobaczymy. Dotychczas Centrum przygotowało w zeszłym roku duży koncert w Poznaniu, na Malcie, na który przyszło ponad trzy tysiące osób. Było dla nas bardzo dużym i pozytywnym zaskoczeniem. Z tego koncertu powstała płyta „Przygotuj się na Miłość. Rzecz o Edmundzie Bojanowskim”. Kolejną inicjatywą i to najświeższą, która powstała w Centrum, jest hymn „Tyś jest mój syn”, który został wykonany w czasie głównej, uroczystej Mszy świętej w czasie obchodów jubileuszu 1050 lat od Chrztu Polski w katedrze w Poznaniu, a następnego dnia hymn został wykonany na stadionie INEA w trakcie obchodów, które miały główny temat „Gdzie Chrzesz, tam nadzieja”. Zapraszam państwa na stronę Centrum: www.edmundbojanowski.pl.

Trzeci punkt jest związany z moją rodziną, mianowicie istnieje fundacja, która nazywa się Projan. Nazwa wzięła się stąd, że chcieliśmy zadedykować tę działalność mojemu ojcu, Janowi. Fundacja prowadzi trzy programy: pro-rodzina, pro-zdrowie i pro-senior. W programie pro-rodzina współpracujemy z około dwudziestoma domami rodzin zastępczych. Celem jest pomoc i współpraca, aby dzieci w tych rodzinach miały lepsze warunki rozwoju, lepsze warunki edukacji, a również też poprawa zdrowia. Program pro-zdrowie wynikał po części z programu pro-rodzina, bo spotkaliśmy mnóstwo rodzin, które są w dramatycznej sytuacji, mając bardzo chore dzieci, które często nie są funkcjonalne, czy to przez zespół Downa czy sprawy neurologiczne. Współpracujemy z około 80 dziećmi, dla których dostarczamy nie tylko pomoc finansową, ale organizujemy to, co rzeczywiście jest potrzebne. Możemy podzielić się naszymi doświadczeniami, że w przypadku paru rodzin terapie i zastosowane metody w porównaniu do tego, co było wcześniej, przyniosły kolosalne pozytywne zmiany, a w paru przypadkach możemy mówić nawet o cudzie. Dzieci, które praktycznie nie chodziły, zaczęły próbować chodzić, dzieci, które nie miały praktycznie żadnego kontaktu ze światem, zaczęły wykazywać ten kontakt i rozwijać się w tym kierunku. Fundacja ma pełną nazwę Fundacja Rodziny Wąskmundzkich Projan. To jest ta synergia między rodziną a pracą społeczną, o której wspominałem na początku. Mamy grupę działających wolontariuszy i specjalistów, którzy dostarczają potrzebnych kwalifikacji, a dopiero w drugiej kolejności wsparcia finansowego.

Szymon Fulara

Chciałbym włożyć do tego wszystkiego łyżkę dziegciu. Kiedy patrzę na Przymierze Rodzin, to uważam, że mimo wszystkich osiągnięć, jest nas jednak stale zbyt mało, mało robimy i trzeba by zrobić znacznie więcej. Jestem od dziesięciu lat wychowawcą, ale też absolwentem naszego liceum. I pokrótce opowiem o doświadczeniach na podstawie dwóch grup przymierzowych. Te grupy Przymierza to jest właśnie to miejsce, z którego większość z nas się najprawdopodobniej wywodzi. Zaczęły one istnieć w latach 1980.,

kiedy pani Iza je zakładała i rozpowszechniły się po całym mieście. Czasy się zmieniają i przychodzi taki moment, że musimy się dostosować. Bardzo ważnym elementem naszej działalności jest profesjonalizacja, ale też odpowiadanie na potrzeby społeczeństwa. To, że wśród wychowawców brakuje młodych ludzi, jest częściowo winą tego, że nie potrafimy się dostosować. Kiedy widzę dookoła tylu młodych ludzi, to zastanawiam się, dlaczego żaden z nich nie chce się zaangażować. To nie jest narzekanie, to jest próba diagnozy, że za mało inspirujemy i za mało rozpowszechniamy ten nasz dar, którego nie możemy chować, ale trzeba się nim dzielić. To jest to moje świadectwo. Gdy prowadziłem te dwie grupy, o których wspominałem, udało mi się zainspirować moich młodych. Jeździłem z nimi na obozy, wiele z nimi byłem, a reszta przyszła przy okazji. Nie mówię, że to jest wyłącznie moja zasługa. Przypomina mi się tekst papieża Franciszka, który mówił o proboszczach z faweli argentyńskich, że mają tak mało czasu, bo ludzie ciągle przychodzą. Cały czas robią coś dla innych, cały czas ktoś czegoś od nich chce. To jest ta myśl, którą chciałem państwu przekazać. Nas jest zbyt mało. Nikt nie jest w stanie poświęcić dwudziestu paru godzin na dobę na pracę społeczną. Gdyby nas było więcej, moglibyśmy się dzielić zadaniami. Młodzi gonią, aby mieć dużo pieniędzy, komórkę, samochód, dom. Musimy z tym walczyć, inspirować młodzież i dzielić się z nimi własnym doświadczeniem. Serdecznie zachęcam do inspirowania młodych ludzi, do dawania im radości i poczucia sensu, by nie czuli się frajerami w dzisiejszym świecie.

Adam Wiśniewski

Ja również byłem wychowawcą w Przymierzu Rodzin. Razem z Szymonem byliśmy wychowawcami w ośrodku przy kościele Najświętszego Zbawiciela. Najpierw więc chciałbym państwu powiedzieć kilka słów o moim doświadczeniu dotyczącym Przymierza Rodzin, a potem przekazać kilka refleksji związanych z pracą społeczną.

Swoją przygodę z Przymierzem Rodzin rozpocząłem, mając 16 lat. Podobnie jak Marta Bejnarowicz zostałem wtedy wychowawcą, z tą tylko różnicą, że Marta wzrastała w Przymierzu, a ja – można

powiedzieć – zostałem „wzięty z ulicy”. Proszę sobie wyobrazić, jaką odwagę musiała mieć osoba, która przyjęła nieznanego 16-latkę, by został wychowawcą i opiekował się dziećmi. Tą osobą była pani Hania Rembertowicz, odpowiadająca za ośrodek Przymierza przy parafii Najświętszego Zbawiciela. Pani Hania prowadziła nasz ośrodek przez ponad 25 lat. Jak wielkim była i jest dla nas autorytetem, spróbuję przedstawić, opowiadając dwie krótkie anegdotki. W naszym ośrodku, wyjaśniając dzieciom kim jest w Stowarzyszeniu pani Iza Dzieduszycka, zawsze mówiliśmy, że to taka pani Hania, ale dla całego Przymierza. W drodze na któryś z zimowych obozów narciarskich w pociągu jedna z naszych wychowanek, może siedmio, ośmioletnia dziewczynka, pokłóciła się z księdzem, który wiedząc, że w całym kraju panuje odwilż, zanegował możliwość jeżdżenia w górach na nartach. Dziewczynka z oburzeniem wyjaśniała, że w górach na pewno będzie śnieg, bo na dworcu tak jej powiedziała pani Hania. Zaangażowanie społeczne pozwala, zwłaszcza młodym ludziom, na zetknięcie się z osobami, które stają się autorytetami, które stanowią wyzwanie, by przekraczać samych siebie, by stawać się lepszymi. Częste rozmowy, ale przede wszystkim wspinał się świadectwo życia takich osób, jak pani Hania czy ówczesny proboszcz parafii, ksiądz prałat Bronisław Piasecki, kształtowały nas, ucząc żyć prawdziwymi wartościami. Działalność społeczna buduje również relacje międzyosobowe – więzi, które potrafią trwać. W ubiegłym roku uczestniczyłem w ślubie tejże ośmiolatki przekonanej o śniegu w górach. Choć od tamtego czasu minęło już kilkanaście lat i dzieli nas spora różnica wieku, wciąż czujemy się związani z tym środowiskiem, w którym wyrastaliśmy.

Doświadczenie Przymierza Rodzin nauczyło mnie tego, że warto jest chcieć w życiu czegoś więcej – że nie można poprzestać na niezbędnym minimum, ale należy podejmować wysiłek dla osiągnięcia wspólnego dobra. W stowarzyszeniu, jak w każdej społeczności, nie wszyscy się lubiliśmy, często dyskutowaliśmy między sobą, spieraliśmy się w różnych sprawach – ale różnice czy nawet konflikty nie stanowiły przeszkody dla wspólnego działania. Praca społeczna często uczy umiejętności współpracy, działania zespoło-

wego. Dziś z perspektywy kilkunastoletniej pracy zawodowej muszę przyznać, że jestem przekonany, iż było to doświadczenie bardzo dobrze przygotowujące mnie do różnych wyzwań czy obowiązków. Umiejętność współpracy, łatwość nawiązywania relacji z innymi oraz chęć podejmowania starań o to „coś więcej” – to ważne cechy dla całego społeczeństwa, które mogą być wspianiale rozwijane dzięki działalności społecznej.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na głęboką myśl pozostawioną nam przez św. Jana Pawła II, który w swojej adhortacji „*Christifideles laici*” zapisał zdanie będące inspiracją do podejmowania przez każdego z nas aktywności społecznej. „Nowe sytuacje – zarówno w Kościele, jak i w życiu społecznym, ekonomicznym, politycznym i kulturalnym – domagają się dzisiaj ze szczególną siłą zaangażowania świeckich. Bierność, która zawsze była postawą nie do przyjęcia, dziś jeszcze bardziej staje się winą. Nikomu nie godzi się trwać w bezczynności.” (Jan Paweł II, Posynodalna Adhortacja Apostolska „*Christifideles Laici*”, pkt 3).

Wydaje mi się, że warto spojrzeć na zagadnienie działalności społecznej przez pryzmat słów Ojca Świętego – jak na przyjęcie określonej postawy życiowej – otwartości wobec innych, dostrzegania drugiego człowieka, razem z jego słabością, problemami i potrzebami. Postawa, która nie tylko szuka korzystnego dla siebie zaangażowania, ale przede wszystkim dostrzega, poszukuje i jest wrażliwa na te sytuacje, które wymagają zaangażowania w jakieś dobro. Postawa otwartości na dobro, które wymaga podjęcia. Taki powinien być właśnie duch działalności społecznej. Aktywność społeczna może stać się także antidotum na występujące dziś coraz częściej dziwne, pozorne relacje międzyludzkie, których doświadczają zwłaszcza ludzie młodzi: mając setki znajomych na facebooku, żyją często w wielkiej samotności. Ta postawa otwartości na dobro z pewnością pomaga nam również zwalczyć w sobie pokusę egoizmu, nadmiernej koncentracji na sobie i własnych potrzebach. Może być ona w końcu realizowana nie tylko poprzez formalny udział w pracach jakiegoś stowarzyszenia czy organizacji, ale także w pracy zawodowej, w relacjach rodzinnych, sąsiedzkich. Dostrzegać potrzeby innych osób, mieć również odwagę i dobrą

wolę, by zaryzykować dla większego dobra, poświęcając to, czym się dysponuje – czas, umiejętności, a nieraz zwyczajnie rezygnując z tak zwanego własnego „świętego spokoju”.

Na koniec chciałbym wspomnieć przykład osoby, która inspirowała mnie od wielu lat do podejmowania takiej postawy. Myślę o św. Urszuli Ledóchowskiej, która mówiła, że najlepszą formą ewangelizacji i miłości bliźniego jest nieustanna pogoda ducha. Odnoszenie się do ludzi z uśmiechem, który ich podtrzyma, pocieszy, umocni. Jest to także wspańska forma ascezy wewnętrznej – niezależnie od tego, czego się doświadcza, co boli czy zasmuca – potrafić być dla innych wsparciem, chociażby tylko przez drobny uśmiech i dobre słowo. Ta nieustanna pogoda ducha pomaga przełamywać samego siebie i wychodzić ponad własne potrzeby, by dostrzec i podjąć dobro, które jest wokół nas.

Ignacy Dembiński

Jestem uczniem pierwszej klasy liceum w tej szkole (Szkole im. Jana Pawła II na Ursynowie, w Warszawie). Parę dni temu podeszła do mnie na przerwie pani Marta Bejnarowicz i zaproponowała mi, żebym dzisiaj tutaj wystąpił. Bardzo się ucieszyłem, gdyż w mojej rodzinie pomoc bliźniemu stoi zawsze na pierwszym miejscu. Moja babcia Nicole wyjeżdża często na misje, moja mama prowadzi fundację dla osób przewlekle chorych, a mój tata rozdaje codziennie jedzenie bezdomnym. Kiedy miałem jedenaście lat, obejrzałem krótki filmik, jak jeden człowiek rozdawał jedzenie bezdomnym. Zobaczyłem uśmiech i radość tych ludzi, że w końcu będą mieli co zjeść i stwierdziłem, że ja też będę musiał coś takiego w życiu robić. W tym roku wzięliśmy razem z kolegami udział w olimpiadzie, na którą mieliśmy zrobić projekt społeczny. Stwierdziliśmy, że to jest idealny czas, żeby połączyć dobre z pozytywnym. Zaczęliśmy rozpowszechniać naszą akcję. Zastanawialiśmy się nad nazwą. Były różne propozycje. Aż w końcu mój kolega się mnie spytał, czy nie będę się wstydził prosić różnych ludzi o pieniądze. Stwierdziliśmy wtedy, że idealną nazwą dla naszego projektu będzie „Nie wstydz się pomocy”, bo dla młodzieży czy bezdomnych jest wstydem prosić o



Ignacy Dembiński (z mikrofonem) obok Adam Wiśniewski

pieniądze czy o pomoc. No i tak się zaczęło. Zebraliśmy pierwsze pieniądze, kupiliśmy kurtki i od razu poszliśmy je rozdać. Znalazienie bezdomnych wydawało nam się najprostsze, ale w rzeczywistości było to najtrudniejsze. Chodziliśmy już długo, aż w końcu znaleźliśmy dwie małe budki, zapukaliśmy tam i wyszła przestraszona kobieta. Ona nam powiedziała, że ludzie często ich upokarzają. Gdy rozmawialiśmy, jeszcze parę osób do nas podeszło. Rozdaliśmy kurtki i spytaliśmy, czy nie wiedzą, gdzie jeszcze można znaleźć bezdomnych. Zaprowadzili nas wtedy do kolejnego domku, gdzie mieszkały dwie kobiety i jeden mężczyzna. Daliśmy najpierw kurtki paniom, a potem panu, niestety mimo że ta kurtka była rozmiaru XXL, to na tego mężczyznę była za mała, ponieważ miał ponad dwa metry wzrostu. Popatrzyłem się na jego nogi i zobaczyłem, że ma na stopach klapki. Od razu go zapytałem, czy poszukać jakichś butów dla niego i spytałem się o rozmiar. Okazało się, że ma numer 50 i nigdzie nie mogliśmy znaleźć butów takiego rozmiaru. Wtedy napisaliśmy na facebooku post, czy ktoś ma do oddania buty rozmiar 50, ale niestety nikt nie miał. Ku naszemu zaskoczeniu dostaliśmy paczkę z Ameryki z nowymi butami rozmiar 50. Byliśmy bardzo

zdziwieni, że nasza akcja dotarła aż za ocean. Od razu poszliśmy oddać paczkę temu mężczyźnie. Potem dostawaliśmy kolejne pieniądze, kupowaliśmy kolejne kurtki. I dostaliśmy kolejną paczkę, w której było dziesięć par ciepłych spodni narciarskich i ciepłych koszulek. Cieszyliśmy się, że ludzie chcą nam pomagać.

Jednym z problemów, który napotkaliśmy, było to, że nie zawsze ludzie nam ufają, bo myślą, że będziemy z tego czerpać osobiste korzyści.

Gdy skończyła się zima, poszedłem do jednego z domów dla bezdomnych i spytałem, co im jest potrzebne. Okazało się, że wszystko – spodnie, koszulki, kurtki, wszystko. Będziemy kontynuować naszą akcję. Zapraszam do obejrzenia naszej strony na facebooku *Nie wstydz się pomocy*. Można też do nas pisać pytania pod niewstydzsiepomocy@gmail.com.

Izabela Dzieduszycka

Serdecznie dziękuję wszystkim prowadzącym to Konwersatorium oraz wszystkim tak licznie przybyłym. Było to dla mnie ogromnie miłe spotkanie. Pozwoliło mi spotkać tylu moich przyjaciół. Bardzo, bardzo dziękuję.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki



Iza Dzieduszycka (w pierwszym rzędzie, druga od lewej)

C.d. wypowiedzi otrzymanej drogą korespondencyjną

Krzysztof Haman (Warszawa)

Ostatni cytat z przypadających na dzisiejsze spotkanie (ks. Marek Dziewiecki. Wolontariat w duchu Ewangelii), eksponujący różnicę między wolontariatem chrześcijańskim a wynikającym z innych motywacji i w pewnym sensie akcentujący jego wyższość, budzi moje wątpliwości co do zgodności z Ewangelią. W przypowieści o dobrym Samarytaninie nic nie wskazuje, by działał on z motywów religijnych; z żydowskiego punktu widzenia był wręcz pół poganinem. W scenie Sądu Ostatecznego u św. Mateusza zbawieni wprost pytają Chrystusa: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym...”, co wyraźnie sugeruje, że działali nie ze względu na Niego. Oczywiście, będąc chrześcijaninem, podejmuję działania dla dobra bliźnich także ze względu na wymogi mojej wiary, jako wyraz mojej miłości Boga, ale świadomość, że działam przy tym również na rzecz własnego zbawienia, raczej ujmuje im nieco waloru bezinteresowności. Nie lekceważmy żadnego bezinteresownego działania dla dobra bliźnich, niezależnie od jego bezpośrednich motywów. Sądzę, że każda taka aktywność ma swoje ostateczne źródło w Bogu, bez względu na to czy działający zdaje sobie z tego sprawę czy nie. Poza tym stwierdzenie, że wolontariat według Ewangelii wynika z miłości Boga do człowieka, wydaje mi się nie całkiem logiczne, przynajmniej jeżeli chodzi o bezpośrednie wynikanie; w końcu wolontariuszem jest człowiek, a nie Bóg.

Podziały społeczne
– czy mam na nie wpływ?
Czy działam na rzecz pojednania?

Cytaty

O. Maciej Zięba – Ale nam się wydarzyło. O Papieżu i Polsce, Kościele i Świecie (str. 389)

Parę lat temu jako jedyny duchowny byłem na konferencji w Mediolanie, w której uczestniczyli wybitni politycy i ekonomiści. Zorganizowano tam dyskusję panelową, w której politycy reprezentujący Maroko, Syrię i Izrael debatowali o politycznej sytuacji na Bliskim Wschodzie. Wszyscy trzej panowie wyglądali bardzo podobnie: mieli podobne semickie rysy twarzy, byli w tym samym wieku – około sześćdziesiątki, wszyscy byli dość zażywej postury, nosili podobnie eleganckie garnitury, wszyscy również skończyli dobre szkoły średnie w Anglii, a potem uniwersytety w Stanach Zjednoczonych, używali też wykwintnej angielszczyzny. Ale cała ich rozmowa sprowadzała się do tego, że Arabowie mówili „Ponieważ wyście nam zrobili to, myśmy musieli zrobić to i to i dlatego nasza reakcja na wasze poczynania musiała być taka, a nie inna”, a na to Żyd odpowiadał: „Nie, bo to wyście wtedy postąpili tak a tak i to my byliśmy zmuszeni, by w ten sposób zareagować na wasze poczynania”. Z obu stron podawane były konkretne liczby, fakty i cytaty. Po dwóch godzinach wszyscy obecni na sali mieli świadomość, że przez cały czas tkwimy w tym samym miejscu. W końcu jeden ze słuchaczy, polityk ze Szwecji, niewątpliwie już z ery postchrześcijańskiej, poprosił o głos i powiedział: „Z tego co panowie mówią, wynika, że konflikt między wami nigdy się nie skończy, że jeżeli do waszej polityki nie wprowadzicie kategorii pojednania oraz przebaczenia, to będzie on trwał do ostatecznego wyniszczenia obu stron”. „Ma pan rację – replikował polityk z Izraela – ale pan oczekuje, żebyśmy my, Żydzi, i oni muzułmanie, zachowali się tak, jak dobrzy chrześcijanie, a nawet oni miewają z tym duże problemy”.

Ks. Józef Tischner
– **Myśli wyszukane** (fragment)

Kiedyś miłość bliźniego wyrażała się w poleceniu „nie będziesz zabijał nieprzyjaciół”. A teraz do tego przykazania doszło nowe: „będziesz rozumiał nieprzyjaciół”. Musisz rozumieć, bo nieprzyjaciel ma ci bardzo dużo do powiedzenia o tobie samym, o twojej własnej sytuacji.

O. Maciej Zięba – Kłopot za kłopotem
(str. 155-156)

W „strategii dwutaktu” (według Jana Pawła II) niezwykle ważnym elementem działania było uszanowanie osobowej godności każdego człowieka – także tych stojących po drugiej stronie barykady.

Wspomnę tylko zakończenie pierwszej pielgrzymki do Polski w 1979 roku. Osobiste podziękowania Papieża dla służb bezpieczeństwa ochraniających go podczas tej wizyty były dla mnie – studenta prześladowanego przez te służby – sporym i bolesnym wstrząsem. Dowiedziałem się jednak znacznie później, że owo uściśnięcie przez Jana Pawła II rąk oficerów SB było w ich kręgu – ludzi wychowanych w przekonaniu, że są otoczeni nienawiścią – bardzo szeroko komentowane i zrobiło ogromne wrażenie. We mnie wówczas jednak spowodowało przede wszystkim rozgoryczenie oraz wewnętrzny bunt. Dopiero z czasem „nawróciłem się” pod wpływem Papieża, ucząc się przy tym od niego, że w każdej sytuacji należy dostrzegać godność człowieka jako osoby oraz że nigdy nie mamy do czynienia z sytuacją czystego dobra i czystego zła. Rzeczywistość, zwłaszcza ta ludzka, jest znacznie bardziej zniuansowana, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka. Dlatego, nie zamykając oczu na istniejące podziały i nie obawiając się etycznej oceny, trzeba się uczyć szukać dobra wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe. I wspierać jego budowanie. A – co najważniejsze – zawsze szanować ludzką godność. Także wśród naszych adwersarzy, a nawet osób postępujących niegodziwie. To jest trudna, ale niesłychanie ważna lekcja, której swej Ojczyźnie i Kościołowi w Polsce udzielił św. Jan Paweł II. Lekcja, która – jak pokazują dzisiejsze polskie realia – wciąż jeszcze nie została przez nas odrobiona.

KONWERSATORIUM LXXXVIII

(21 maja 2016)

Podziały społeczne – czy mam na nie wpływ?

Czy działam na rzecz pojednania?

Prowadzący: **Włodzimierz Wieczorek**, doktor teologii, nauczyciel akademicki Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin; **Kazimierz Kloc**, profesor Szkoły Głównej Handlowej, uznany mediator i prezes Polskiego Stowarzyszenia Mediatorów; **Michał Łuczewski**, doktor socjologii, psycholog, zastępca Dyrektora Centrum Myśli Jana Pawła II; **Andrzej Ciepela**, przedsiębiorca, wieloletni dyrektor Polskiej Unii Dystrybutorów Stali.

Włodzimierz Wieczorek

Witam na kolejnym naszym Konwersatorium, ostatnim w bieżącym roku akademickim. Tym razem zajmiemy się tematem podziałów społecznych w Polsce i tym, czy mamy na nie wpływ, czy jesteśmy rzecznikami budowania porozumienia społecznego? Oczywiście nie chodzi nam tutaj o analizę socjologiczną związaną z klasyfikacją społeczną czy poszczególnymi grupami. Raczej chcemy zastanowić się nad tymi emocjami, które są pierwotne wobec wszystkich innych podziałów i zastanowić się nad tym splotem nieufności, wzajemnych niechęci czy podejrzliwości, które często uniemożliwiają dialog. Bo nawet jeżeli stwierdzenie „wojna polsko-polska” jest retoryczną przesadą, to jednak wiele osób ma takie doświadczenie, że podczas Wigilii Bożego Narodzenia lepiej nie poruszać w rodzinie pewnych tematów, nie ryzykując tym samym wolnych miejsc przy stole. Chodzi o to, że te podziały często biegną między osobami najbliższymi, w rodzinie, a co dopiero w życiu społeczno-politycznym.



Włodzimierz Wieczorek (z mikrofonem) wśród panelistów

Porządkując wiedzę na ten temat, który mamy dzisiaj zadany, chcemy, by wybrzmiała jednak ta perspektywa budowania dialogu, umiejętności definiowania czy to dobra wspólnego, czy tego, co nas łączy. Zatem chcemy się zastanowić, w jaki sposób ponad podziałami tworzyć wspólny raport tego, co nas łączy.

Z tego względu zaprosiliśmy do panelu osoby, które są na swoich odcinkach zaangażowania naukowego czy społecznego wybitne. Chciałbym serdecznie powitać Kazimierza Kłoca, profesora Szkoły Głównej Handlowej, który jest założycielem i członkiem Polskiego Stowarzyszenia Mediatorów, znaczącym autorytetem i praktykiem – co jest bardzo istotne. Witamy wśród nas pana doktora Michała Łuczewskiego, który jest zastępcą dyrektora Centrum Myśli Jana Pawła II, socjologiem, psychologiem. Pan doktor będzie porządkował nasze myśli w odniesieniu do etosu solidarności, który jest naszym dziedzictwem, a zwłaszcza w odniesieniu do tego, co nam przekazał Jan Paweł II. Witamy pana Andrzeja Ciepiałę, przedsiębiorcę i wieloletniego dyrektora Polskiej Unii Dystrybutorów Stali. To jest jeden z motywów myślenia o budowaniu wspólnoty wokół konkretów. Tak jak Unia Europejska genezą sięga do Wspólnoty

Żelaza i Stali, tak też pewne inicjatywy budowania społeczności wokół konkretnego właśnie zaczynają się od wspólnego pracowania na rzecz tego, co jest na co dzień potrzebne. Przecież niezależnie od poglądów politycznych wszyscy płacimy kartą kredytową, mamy wspólne wodociągi, autostrady. Są to konkrety, które nas łączą.

Chciałbym na rozpoczęcie tego konwersatorium poprosić pana doktora Michała Łuczewskiego, żeby zaprezentował nam, jak wygląda zagadnienie podziałów społecznych w optyce myśli Jana Pawła II i etosu Solidarności.

Michał Łuczewski

Bardzo serdecznie dziękuję za zaproszenie i jestem wdzięczny za tak liczne grono słuchaczy, mimo tej ранней, sobotniej pory. Będziemy mówili o pojednaniu. Mój przedmówca wspominał już o wojnie polsko-polskiej. Żeby dojść do pojednania, trzeba rozpocząć od wojny. Pięć lat temu opublikowałem książkę, która jest jakby oddolną historią Polski z punktu widzenia wsi w Beskidzie i tam zastanawiałem się, w jaki sposób polskojęzyczni chłopci stali się Polakami przez ostatnie 700 lat. To, co można pokazać właśnie z takiej perspektywy oddolnej, która jest również naszą perspektywą, to jest nieustanny konflikt – polskość tworzy się w nieustannym konflikcie. To, że dzisiaj mamy „wojnę polsko-polską”, jest to polska tradycja. My tak weszliśmy w tę wojnę, która trwa od iluś set lat, że się do niej już przyzwyczailiśmy i czasami się tylko dziwimy, że tę wojnę kontynuujemy. Pierwsze moje odczucie jest takie, że wojna jest czymś pierwotnym. Ten konflikt między nami stale będzie istniał, bo zawsze są stawki tego konfliktu. Jest stawka polityczna, stawka ekonomiczna, jest stawka wpływu społecznego czy stawka wpływu moralnego. Ludzie z konieczności będą zawsze ze sobą w konflikcie, pytanie tylko jest takie, czy ten konflikt jest destrukcyjny czy konstrukcyjny.

Kiedy nawet spojrzymy na konflikt, który wydawał się bardzo krytyczny, to znaczy konflikt, do którego często powracaliśmy od czasów stalinowskich, który kulminował w roku 1966, było to tysiąclecie państwa polskiego czy chrztu polski, w zależności od tego,



Michał Łuczewski

kto jaką ideologię reprezentował. Konflikt ten, który można byłoby określić jako konflikt między Władysławem Gomółką, który wskazywał, że to jest tysiąc lat państwa polskiego, i kardynałem Wyszyńskim, który podkreślał, że to jest tysiąc lat polskiego chrześcijaństwa, był w efekcie konfliktem konstruktywnym. Wspólnota narodowa była tutaj czymś, co było oczywiste, co łączyło Gomółkę z Wyszyńskim. Co prawda, oni inaczej ją rozumieli, ale samo założenie wspólnoty narodowej wychodziło obronną

ręką z tego konfliktu. Ten konflikt, w różnych odsłonach, pojawia się w Polsce do dzisiaj. Kiedy się porówna obecną temperaturę konfliktu z tą w wieku XIX czy też w okresie komunizmu, to dzisiaj i tak jest nieźle. Jesteśmy cywilizowani, jeszcze się do siebie czasami uśmiechamy, jeszcze mamy trochę humoru, jeszcze nie do końca bierzemy na serio te wszystkie czarne przewidywania, co się z Polską stanie. Więc dzisiaj nie jest z Polską tak źle, jak było do tej pory. Dlatego nie przesadzajmy z tym, że ten konflikt, albo ta wojna, jest czymś wyjątkowym – ona jest czymś, co nam towarzyszy od wielu, wielu lat.

Dzisiaj dla nas jest aktualne pytanie, jak ten konflikt zamienić w coś konstruktywnego, żeby ten konflikt tak bardzo nas nie bolał. Można sobie stworzyć fałszywy pokój. Często tak bywało, że pokój wprowadzany był w sposób fałszywy, to znaczy pokój był zapisany przez tego, kto był silniejszy. Kiedy ktoś zdominuje sferę polityczną, sferę ekonomiczną czy sferę moralną i narzuca swoją wizję, mamy wtedy do czynienia z pokojem, ale jest to pokój fałszywy. Pokój ten ukrywa przemoc, na której jest oparty. Taki pokój panował w czasie ustroju komunistycznego. Ustalała ją silniejsza grupa, która miała monopol na używanie przemocy, na tajne służby itp. Była w stanie

narzucać pokój, ale ludziom ten pokój nie odpowiadał i protestowali. Dlatego określiłbym tego rodzaju pakt oparty na sile pokojem fałszywym, który nie może trwać. Natomiast pokój prawdziwy, który – wydaje mi się – jest tym, do czego powinniśmy dążyć, to jest pokój, na który wskazywał Jan Paweł II. Jest to pokój oparty na prawdzie i na dobru. Było to odkrycie Jana Pawła II dzielone ze wszystkimi w czasach komunizmu, od Adama Michnika, Jacka Kuronia, po Józefa Tischnera i księdza Jerzego Popiełuszkę. Na zło nie odpowiadamy złem, czy na przemoc nie odpowiadamy jeszcze większą przemocą, tylko odpowiadamy pojednaniem. I jest fundamentalne pytanie, czy to pojednanie dzisiaj w Polsce jest możliwe.

W ubiegłym roku zastanawialiśmy się z moim studentami, czy da się powrócić do doświadczenia Solidarności. Powstała książka, którą opublikowaliśmy po polsku i angielsku, bo uważamy, że Solidarność jest czymś zbyt ważnym, żeby tylko Polacy mogli się o nią kłócić, to jest nasz eksport, to jest nasz projekt dla świata. Zastanawialiśmy się w niej, na ile ten projekt prawdziwego pokoju z czasów Solidarności może być aplikowany nie tylko do wojny polsko-polskiej, ale również do wojny światowo-światowej, tej wojny, która trwa na zewnątrz. Przedstawiliśmy sześć kroków, w których ten pokój można osiągnąć.

Pierwszy element tego pokoju to jest stanięcie w prawdzie, to jest zobaczenie tej rzeczywistości takiej, jaka ona jest, a to w szczególności oznacza, że musimy zobaczyć, gdzie są obszary zła w tej rzeczywistości. Żeby to zrobić, musimy zacząć ze sobą rozmawiać. Często jest tak, że jedni uważają za dobro to, co inni uważają za zło, albo też dobre formuły są wykorzystywane w sposób strategiczny. Takim elementem wykorzystywania strategicznego dobrych formuł do złych celów może być, na przykład, pojęcie tolerancji albo pojęcie równości, otwartości. Zwłaszcza pomyślcie państwo o pojęciu tolerancji, które często nam nie pozwala zobaczyć rzeczywistości takiej, jaka ona jest. Bo jeśli sami uważamy siebie za ludzi otwartych, tolerancyjnych, jeśli mówimy, że nie wolno dzielić Polaków, jeśli uważamy, że trzeba tworzyć wspólnotę, to ci ludzie, którzy się z nami nie zgadzają, będą od razu przez nas wykluczani w sposób

jeszcze bardziej radykalny niż w innych sytuacjach. Jeśli ludzie myślą, że są otwarci, ale są skonfrontowani z innością, z jakimś sprzeciwem, będą mieli skłonność do tego, żeby, jeżeli oni się z tym nie zgadzają, nie tylko krytykować poglądy innych ludzi z punktu widzenia moralnego albo jakichś racji, ale krytykować bezpośrednio tych ludzi jako zamkniętych, nietolerancyjnych, ciemnych; ludzi, którzy są dziwni, którzy mają jakieś kłopoty psychiczne i tak dalej. Trzeba starać się spojrzeć na siebie bardzo krytycznym okiem, aby nie wykluczać od razu innych i zdawać sobie sprawę z perwersyjnego mechanizmu wykluczania innych przez tych, którzy chcą wykluczać wykluczenie. Na przykład ludzie, którzy myślą, że są tolerancyjni i otwarci, z konieczności nie będą widzieli swojego bardzo radykalnego wykluczania innych, bo wtedy ich wizja widzenia świata i widzenia siebie jako tolerancyjnych i otwartych byłaby zachwiana. Mam nadzieję, że jest to zrozumiałe i że każdy zrobił sobie taki mały rachunek sumienia. Lepiej o sobie myśleć, że nie jestem wcale taki dobry, tolerancyjny, otwarty i dopiero muszę zdobywać te cechy, wtedy inaczej będę patrzył na ludzi, z którymi jestem w konflikcie. Pierwszą zasadą jest więc stanąć w prawdzie. Jan Paweł II mówi mocniej – mieć sumienie. Tischner mówi, żeby mieć sumienie, trzeba najpierw chcieć mieć sumienie.

Druga zasada to jest zasada dobra, czyli mimo że widzimy zło w otaczającej nas rzeczywistości, musimy odnajdywać w niej również jakieś większe dobro. Coś, co nas będzie łączyło. W Polsce takim dobrem było, przywoływane już dzisiaj, dobro wspólne. Inaczej się rozmawia, kiedy myślimy, że może być jakieś dobro, które może nas łączyć. Inaczej myślimy o sobie, kiedy uważamy, że jest coś takiego jak godność, że jest godność, która może nas połączyć, i zastanawiamy się, jak ją budować. Jest też coś takiego jak etos. W dzisiejszym dyskursie politycznym wszystkie te słowa są pomijane. Nie mówimy o godności, o sumieniu, o dobru wspólnym, jeśli jednak mówimy, to przeciwko komuś, a nie żeby się razem zastanowić. W związku z tym trzeba przejść od wizji zła do wizji dobra, które będzie wyznaczało naszą przyszłość. W czasach Solidarności nieprzypadkowo mówiliśmy, że jest to rewolucja sumienia, rewolucja

dobra, rewolucja ducha, że jest to rewolucja godności. Mówił tak na przykład Leszek Kołakowski.

Trzecim elementem jest to, że kiedy widzimy dobro, możemy skierować siebie na dobro, na coś, co nas przekracza. Jan Paweł II mówił często o integralności człowieka. Nie możemy być człowiekiem, jeśli nie mamy czegoś, co będzie ukierunkowywało nasze działania. Jeśli nie ma jakiegoś dobra, nie ma celu, nie ma powołania w naszym życiu, będziemy kierowani przez to, co jest przypadkowe, przez jakieś przypadkowe nasze impulsy, przez ideologie, które sączą nam się codziennie z gazet czy z internetu. Musimy mieć w sobie jakieś dobro i to dobro wykształca w nas pewne nawyki działania, które możemy tradycyjnie określić jako cnoty. To jest stare słowo, dzisiaj rzadko używane, które należałoby dzisiaj przywrócić, zastanawiając się, jakie cnoty my dzisiaj mamy. Czy mamy cnotę nadziei, cnotę wiary, cnotę sprawiedliwości czy cnotę umiarkowania i tak dalej. Karol Wojtyła kształcił w sobie te cnoty. Miał cnotę wiary i cnotę nadziei, o czym świadczy krótki epizod z roku 1953. To był wyjątkowo zły rok dla polskiego kościoła, rok, kiedy aresztowano kardynała Wyszyńskiego, kiedy trwał proces Kurii Krakowskiej, zapadały wyroki wieloletniego więzienia. Wspomniany epizod dotyczy rozmowy Karola Wojtyły ze swoim znajomym, który się okazał tajnym współpracownikiem, który przekazał te słowa do Urzędu Bezpieczeństwa i dzięki temu mamy do nich dzisiaj dostęp. Było to wyjątkowe sformułowanie, bo wcześniej Karol Wojtyła wystrzegał się ocen politycznych, a wtedy, w roku 1953, kiedy miał 33 lata, mówił bez osłonek „śruba się dociska, jest coraz gorzej, wszystko to, co mówimy, jest wykorzystywane przeciwko nam, ale jedna rzecz jest pewna, zwycięstwo może być tylko po naszej stronie”. Po 25 latach zostaje papieżem i jest od razu określony przez KGB jako główny wróg. Wspomniany epizod pokazuje wielką cnotę nadziei. Podobnie możemy pokazać cnoty tych wszystkich, których wymieniłem, od Jacka Kuronia po księdza Jerzego Popiełuszkę. Oni wszyscy musieli mieć wymienione cnoty, by umieć budować lepszą rzeczywistość.

Czwarty punkt polega na tym, że jak już jesteśmy cnotliwi, jak już wiemy, co mamy robić i jak to mamy robić, to musimy zacząć

to robić. Nieprzypadkowo Karol Wojtyła zatytułował swoją książkę „Osoba i czyn” (chyba czyta się ją w czyścicu, bo jest taka trudna), czyli jesteśmy osobą, mamy godność, widzimy jakieś dobro, które jest przed nami, ale to nie wystarcza – musimy działać. I to jest czwarty element, który trzeba realizować, aby można było stworzyć ten prawdziwy pokój. Dla Karola Wojtyły i tych wszystkich, których wymieniałem, to zawsze była służba innemu, na tym polega prawdziwe działanie. Czyli noszenie brzemion innych. Jak spojrzycie państwo na naszych polityków, to oni na pewno nie chcą nieść nawet swoich własnych brzemion, oni chcą, żeby inni nosili ich brzemiona. Brakuje w nas takiego myślenia, jak możemy pomóc drugiej osobie, drugiej stronie. Wydaje się dzisiaj paradoksalne myślenie, które było obecne w Solidarności, że solidarność polega na noszeniu brzemion drugiego. Dzisiaj tego nie ma.

Przechodzę teraz do dwóch ostatnich punktów. Czasami jest tak w naszym życiu, że chcemy być dobrzy, chcemy nieść brzemiona innych, ale drudzy nie chcą tego. Co teraz zrobić? Odpowiedzią może być dialog. Odpowiedź ta była realizowana w czasach Solidarności, była wskazywana przez Karola Wojtyłę i Józefa Tischnera, ale to nie był taki dialog, jak go rozumiemy dzisiaj, że sobie pogadamy, poklepiemy się po ramieniu i się rozejdziemy, pozostając każdy przy swoim zdaniu. Chodziło o to, że dialog nigdy nie miał być celem samym w sobie. Miał to być dialog, który prowadził do dobra, który prowadził do solidarności, który prowadzi do naszej wewnętrznej przemiany. To miał być dialog duchowy, to miał być dialog, kiedy duchy się spotykają i te duchy się zmieniają. To miał być dialog oparty na prawdzie. Jak dzisiaj wygląda ten dialog? To nie jest ten dialog, o który chodziło ludziom w czasach Solidarności, że się wychodziło poza siebie, żeby się ze sobą spotkać.

I ostatni element. Wtedy, kiedy dialog nie działa, kiedy wychodzimy poza siebie, próbujemy z kimś rozmawiać, ale druga osoba się z nami nie zgadza, upokarza nas, to wtedy nam pozostaje siła, wielka siła, która się doskonali w słabości, to jest siła przebaczenia. I znowu to przebaczenie nie jest krótkim przebaczeniem, tylko to przebaczenie jest oparte na prawdzie, że wiadomo, kto co zrobił i

dopiero wtedy, kiedy wiemy, kim jesteśmy, jesteśmy w stanie przebaczyć. A ta siła jest tak duża, że władze komunistyczne nie chciały puścić książki o Jacku Salija „Miłujcie nieprzyjacioły wasze”, bo wiedziały, że to jest wielka siła, więc lepiej, żeby ludzie nie przebacali nieprzyjaciołom, bo wtedy komuniści straciliby ten napęd, który mieli, a napęd polegał na przemocy, na konflikcie, na generowaniu podziałów, a nie na budowaniu mostów. Te sześć elementów, które można pokazać, że były bardzo silnie obecne w opozycji antykomunistycznej, były silnie obecne u Karola Wojtyły, i że one mogą być zastosowane dzisiaj, tylko żeby to się stało, to musi się zdarzyć cud, bo jesteśmy głęboko utopieni w konflikcie. Ale czy Solidarność nie była cudem?

Włodzimierz Wieczorek

Dziękuję bardzo za tę wypowiedź. W materiałach, które przesłaliśmy państwu, jest wspomnienie o Macieju Zięby, zapis jego doświadczenia jako studenta, który widział podczas pierwszej pielgrzymki Papieża do Polski, jak Jan Paweł II dziękuje służbom bezpieczeństwa za ochronę podczas pielgrzymki. Wtedy jego, jako studenta, który obrywał nieraz na demonstracjach, jakoś to poruszyło. Dopiero po latach zrozumiał siłę tego znaku podanej ręki, siłę tej woli, która osobie służbowo wrogiej podaje dłoń na znak podziękowania za wyświadczoną pomoc i ochronę. Ta myśl została nam przybliżona w schemacie sześciu elementów przedstawionych przez pana doktora – od stanięcia w prawdzie aż do postawy przebaczenia.

Teraz proszę o zabranie głosu pana profesora Kazimierza Kloca i o przybliżenie nam własnej optyki, własnego doświadczenia – świadectwa intelektualisty, osoby pracującej z młodzieżą na uniwersytecie, ale też osoby, która w niełatwych relacjach między pracodawcami i pracownikami próbuje odnaleźć wspólny język przy definiowaniu dobra wspólnego. Są to zapewne trudne poszukiwania dwóch stron o odmiennych przekonaniach, ale takich, które muszą zdefiniować jakiś wspólny raport zgodności, żeby rozwiązywać konflikty.



Kazimierz Kloc

Kazimierz Kloc

Na wstępie chcę powiedzieć, że po wprowadzeniu pana doktora Łuczewskiego, w którym poruszany problem został ujęty z punktu widzenia uniwersalnego, filozoficznego, etycznego, moralnego, chrześcijańskiego, moja wypowiedź będzie z pozycji praktyka, mediatora, który jest między dwiema stronami, które się kłócą, który znajduje się w sytuacji, że strony są na ogół do siebie tak zniechęcone, tak

siebie nie lubią, tak walczą ze sobą, że próba bycia w tej pozycji jest zupełnie niezwykle doświadczeniem. Jestem od dwudziestu paru lat mediatorem z listy ministra pracy w tak zwanych sporach zbiorowych. Od 1991 roku jeżdżę po całej Polsce, od firm takich jak KGHM po takie jak ZOO w Poznaniu.

Gdy dostałem zaproszenie do udziału w panelu Konwersatorium i przeczytałem tytuł naszego spotkania: „Podziały społeczne. Czy mam na nie wpływ? Czy działam na rzecz pojednania?”, to na pierwszy człon pytania postanowiłem odpowiedzieć wprost – jakiś minimalny wpływ mam, bo jestem członkiem tego społeczeństwa, natomiast łatwiej mi będzie odpowiedzieć na drugą część pytania – co robię na rzecz pojednania? A więc jestem mediatorem, w specyficznym obszarze – stosunków zbiorowych pracy. Dotyczy to za targów między pracodawcą a pracobiorcą, kwestii związanych z wynagrodzeniami, zwolnieniami, przebudową firmy, konfliktami personalnymi. Cała masa zjawisk, w jakich żyjemy w realnym świecie. Nie chcę mówić o teorii. Moją wypowiedź oprę na moim doświadczeniu jako praktyka. Zanim jednak przejdę do tych kwestii praktycznych, na temat kwestii, jak rozmawiamy ze sobą i jak ja to widzę, i jak możemy próbować wyjść ze sporu, to chcę powiedzieć,

że z wielkim uznaniem przeczytałem te trzy przytoczone wyjątki do naszej dyskusji, które właśnie sprowadzają się do uszanowanie godności, do uznania, że przeciwnik też ma coś do powiedzenia o tobie, do pojednania i przebaczenia.

Tak jak powiedziałem, chcę mówić o praktyce. Otóż warto wiedzieć, tytułem wprowadzenia, że dla specjalistów od mediacji wywodzących się z tradycji chrześcijańskiej pierwszą książką, która uczyła negocjacji między zwaśnionymi stronami, jest Biblia i opisane w niej sytuacje. Otóż zajmowałem się tym teoretycznie i kiedy nauczałem negocjacji, to tego przykładu zawsze używałem. Sztandarowy przykład – Mojżesz i Faraon. Specjaliści od negocjacji uważają, że tam są trzy fundamentalne opisy, jak należy negocjować. Jeżeli idziesz na negocjacje, trudne rozmowy, to nie idź nigdy sam. Zawsze weź kogoś ze swojej strony, kto cię wspomůže, kto da ci oddech w tych trudnych rozmowach. Druga wskazówka jest taka, żeby każde negocjacje zaczynać od postawy kooperatywnej. Jeżeli druga strona również postawi się w sytuacji kooperatywnej, to wchodzicie wspólnie na dobrą ścieżkę. Jeżeli druga strona przyjmie postawę konfrontacyjną, to wtedy łatwiej jest przejść z postawy kooperatywnej na konfrontacyjną niż odwrotnie. I trzecia wskazówka z tej słynnej biblijnej opowieści: twardy przeciwnik ustępuje wtedy, kiedy zagrasz jego bezpośrednim interesom. Otóż z tej jednej opowieści specjaliści od negocjacji sformułowali całą koncepcję, że instrukcje dotyczące tego, jak należy rozmawiać, są zawarte w tej biblijnej opowieści.

A teraz przejdę do konkretów wynikających z mojego doświadczenia. Zacznę od podziałów społecznych. Podziały społeczne, co jest oczywiste dla socjologa czy filozofa, były, są i będą. Musimy nauczyć się żyć w świecie, w którym one istnieją i nauczyć się rozwiązywać wspólnie problemy, które wynikają z ich istnienia. To jest punkt wyjścia. Jeżeli pojawia się podział społeczny, to występują zawsze jakieś różnice interesu. W swojej działalności mediatora spotykam się z tym na co dzień. Różnice interesów. Jeżeli istnieją różnice interesów, to znaczy, że trzeba zacząć rozmawiać. Jeżeli różnica interesów wywołuje konflikt, spór czy wrogość, to ten konflikt może być roz-

wiązany jedną z trzech uniwersalnych metod. Pierwszą jest przemoc, czyli jedna ze stron przez przemoc tłamsi drugą. Jest to najgorszy sposób, który nie rozwiązuje sprawy, tylko wywołuje coraz większą agresję i bunt. Drugą, najczęściej stosowaną metodą rozwiązywania różnicy interesów, jest próba poszukiwania kompromisu. Trzecią metodą dojścia do porozumienia jest próba osiągnięcia konsensusu. Rozróżnia się kompromis i konsensus. Kompromis to jest sytuacja, w której obie strony świadome problemu ustępują w jakimś stopniu drugiej stronie, są tu więc wzajemne ustępstwa. Natomiast idea konsensusu opiera się na przetworzeniu konfliktu we wspólną debatę nad rozwiązaniem problemu i znalezieniem takiego sposobu jego rozwiązania, który zadowoli obie strony. W wyniku tego strony nie są już stronami, ale jedną grupą, która debatuje nad tym, jak konflikt rozwiązać. Specjaliści od negocjacji nazywają tę metodę wygrana – wygrana, metoda *win – win*. Otóż z mojego doświadczenia, z praktyki moich kolegów i koleżanek, wiem, że ta metoda w naszej rzeczywistości jest niestety bardzo rzadko stosowana. Najbardziej typowym rozwiązaniem, które pojawia się w sytuacjach konfliktowych w zakładach pracy między pracodawcą a pracobiorcą, jest metoda osiągnięcia kompromisu. Jak do tego kompromisu można dojść? Pierwsza sprawa to spotkanie stron. Fundamentalna sprawa. Są sytuacje, kiedy strony są tak zantagonizowane, że w ogóle nie chcą się spotkać, tak skonfliktowane, że już nie chcą usiąść przy wspólnym stole. Czasami zdarzało mi się prowadzić rozmowy oddzielnie, rozmawiałem z jedną stroną, potem przechodziłem do innego pokoju, na innym piętrze, do drugiej strony, rozmawiałem, potem przenosiłem pewne pomysły, idee od jednej strony do drugiej i ostatecznie jedynym momentem, kiedy obie strony się spotkały, było podpisanie formalnie dokumentu końcowego. Ale były też takie sytuacje, że strony się nie spotkały i oddzielnie podpisały dokument końcowy.

Fundamentalną sprawą wyjściową jest realne spotkanie stron, oczywiście odpowiednio przygotowane. Jeżeli doprowadzimy do takiego spotkania, wtedy wszystko jedno, czy to są spory zbiorowe czy konflikt między rozwodzącymi się małżonkami, czy wokół opieki nad dzieckiem, pojawia się fundamentalna sprawa, by rozmowa na tym

spotkaniu była oparta na zasadzie wspólnego języka. Strony muszą jednoznacznie rozumieć to, o czym rozmawiają, a jednocześnie muszą rozmawiać językiem, który jest na takim samym poziomie, na takiej samej płaszczyźnie. Podam przykład dotyczący konfliktów zbiorowych. Gdy otwieram spotkanie mediacyjne w jakiejś firmie, to z reguły na początku jest tak, że strony mówią zupełnie innymi językami. Jedna strona mówi językiem sprawiedliwości społecznej. Poruszane są kwestie warunków życia, niskiej płacy, obciążeń, a druga strona mówi językiem liczb, ile firma jest dłużna, jakie ma zyski, przychody, co musi zrobić i jakie ma na to środki. To są dwa zupełnie inne języki, które nie znajdują wspólnej płaszczyzny. Jeżeli w trakcie rozmów uda się ustalić wspólny język, to wtedy wchodzimy na ścieżkę porozumienia. Polega to na wspólnym definiowaniu i takim samym rozumieniu problemu, o którym rozmawiamy. Kolejnym warunkiem takiego spotkania jest kwestia określenia wspólnych wartości. Musimy wspólnie znaleźć i wskazać na podstawowe elementy, które łączą obie strony. Jeżeli to nie są wartości, to przynajmniej próbujemy w ramach definiowanego problemu znaleźć wspólne kryteria, według których będziemy ten problem próbowali rozwiązywać. Co się dzieje dalej? Otóż takie spotkanie nazwałem kiedyś teatrem. Ludzie, przedstawiciele stron odgrywają swoje role. Kiedy pierwszy raz pojechałem na mediacje i znalazłem się między stronami, to poczułem się, jakbym był w teatrze. Nie tylko ja, ale i uczestnicy odgrywali swoje role. Teatr może być zamknięty, ale też może być otwarty. W teatrze zamkniętym z jednej strony siedzą przedstawiciele jednej grupy interesu, a z drugiej strony przedstawiciele drugiej grupy interesu, tych jest pięciu i tych jest pięciu. W teatrze zamkniętym próbujemy rozmawiać, zdefiniować problem, próbujemy stworzyć wspólne podstawy języka, w którym rozmawiamy, próbujemy określić wartości i kryteria rozwiązania problemu. Ten teatr zamknięty właśnie polega na tym, że na ogół wszyscy uczestnicy tego przedstawienia wchodzą w swoje role. Zacznę, na przykład, od tak podstawowej rzeczy jak ubiór. To, co mnie uderzyło na samym początku, kiedy wszedłem w sytuację rozwiązywania konfliktów, to była różnica ubioru. Z jednej strony miałem przedstawicieli pracodawcy, którzy

byli w garniturach i pod krawatami, a z drugiej przedstawiciele pracowników, którzy byli w swetrach albo w koszulkach i w dżinsach. Na początku poszedłem na te mediacje pod krawatem, ale szybko przy następnych mediacjach zdjąłem krawat, ponieważ symbolizował on, że jestem po stronie pracodawcy.

Teatr zamknięty rozgrywa się w jednym zamkniętym pomieszczeniu, gdzie ludzie próbują dojść do porozumienia. Ale teatr może się otworzyć. To jest bardzo trudne zjawisko. Zetknąłem się z nim w jednej z firm. Strona pracownicza zażądała tam, żeby rozmowy były prowadzone w hali fabrycznej, gdzie były rozstawione stoły dla pracodawcy i dla strony pracowniczej, a z tyłu była publiczność, to znaczy pracownicy tego zakładu. W takim otwartym teatrze odgrywanie ról znacznie się potęguje. Teatr otwarty wychodzi do całej społeczności danego przedsiębiorstwa. Już nie tylko do swojej grupy, którą reprezentuje, ale do społeczeństwa ze swoimi celami, problemami, wartościami, swoim argumentowaniem. Teatr otwarty jest bardzo trudny, ponieważ tam właśnie role, które odgrywają strony, dochodzą do kolejnej potęgi zachowań, utrudniając porozumienie.

Co sprzyja dialogowi? Praktyka i teoria mówią o tym w sposób bardzo uporządkowany. Po pierwsze, istnieje coś takiego jak dobra wiara. Jest to przekonanie, że obie strony podchodzą do rozmów z dobrą wiarą, to znaczy z intencją, żeby ten problem rozwiązać, znaleźć wspólne korzystne rozwiązanie, albo rozwiązanie kompromisowe. To jest niezwykle ważne. Wiele mediacji rozpoczyna się od tego, że mediator mówi, iż liczy na to, że strony przystępują z dobrą wiarą, dobrą wolą do rozwiązania problemu. Jest to określenie ogólne, ale co ta dobra wola oznacza w praktyce? Oznacza ona, że strony muszą umieć się słuchać, bo niestety w bardzo wielu kwestiach mamy do czynienia z tym, że strony siebie nie słuchają. Każdy powtarza swoje argumenty, każdy szuka argumentów, żeby obalić argumenty przeciwnika, a nie próbuje go zrozumieć. Ta umiejętność słuchania drugiej strony jest fundamentalnym, kolejnym warunkiem, żebyśmy dochodzili do jakiegoś sensownego rozwiązania. Kolejna rzecz to jest identyczne rozumienie problemu, o którym rozmawiamy. Strony sporu często inaczej rozumieją problem, inne

przykładają do niego wartości. Jest to kwestia wspomnianego już wspólnego języka. W teorii negocjacji jest takie zalecenie: „spróbujcie przekształcić wyjściowe wasze stanowiska wobec tego problemu poprzez określenie, jaki interes wami kieruje. Co wy naprawdę chcecie osiągnąć? Jeżeli zdefiniujecie interesy stron, to zastanówcie się, czy wasze stanowiska wyjściowe nie mogą być zmodyfikowane, po to, żeby znaleźć wspólne wartości czy też wspólne rozwiązanie”. Co się dzieje, jeżeli uda się takie pozycje osiągnąć przez obie strony, czyli rzeczywistą dobrą wiarę, umiejętność słuchania drugiej strony, poszukiwanie wspólnych pól interesów, przekształcenie tych interesów i zastanowienie się, jak te interesy wspólnie rozwiązać? Dochodzimy wtedy do porozumienia, czasami już po kilku spotkaniach, a czasem dopiero po wielomiesięcznych negocjacjach. Jeżeli jednak nie ma tego przekonania, że mówimy o wspólnym rozwiązaniu problemów, jeżeli jest absolutnie konfrontacyjna postawa, maskowana tylko deklaracją, że możemy rozmawiać, jeżeli jest to postawa, w której w koło powtarza się swoje stanowisko, bez robienia żadnego kroku ku porozumieniu czy próbie zrozumienia drugiej strony, to wtedy kończy się to rozejściem stron jeszcze bardziej skonfliktowanych. Oczywiście mają na to wpływ takie cechy stron, jak egoizm, roszczeniowość czy kompleksy. Wpływają one na temperaturę i zaognianie konfliktu. Jeżeli, z drugiej strony, uda się nam rozmawiać na zasadzie pewności siebie, pewnej asertywności, ale i empatii jako podstawowej postawy zaufania, to wtedy rzeczywiście mamy szansę osiągnąć porozumienie. Opowiem państwu jedną historię. Kilkanaście lat temu w dużych zakładach przemysłowych w Polsce Amerykanie wprowadzali programy uczące negocjacji. W jednej wielkiej firmie zarówno zarząd, jak i działacze związkowi zostali poproszeni o tydzień urlopu. Zabrano ich wszystkich do jednego ośrodka, gdzie poznali świetne techniki nauczania mediacji i porozumień. Obie grupy zamieniały się rolami. Związkowcy musieli grać rolę pracodawców i na odwrót, pracodawcy musieli grać rolę związkowców. Rzeczywiście było to świetne szkolenie. Obie grupy się zintegrowały. Ostatniego wieczoru, podczas pożegnalnej kolacji wstał jeden ze związkowców i

powiedział „bardzo wysoko oceniam to szkolenie. Było wszystko w porządku. Dużo zrozumieliśmy, dużo się nauczyliśmy. Jutro wracamy do zakładu pracy. Tylko że jest jeden podstawowy problem. Ja nie mam zaufania, że to, czego się tu nauczyliśmy i to, co nam tutaj pokazano, rzeczywiście w naszym zakładzie pracy będzie zrealizowane”. Amerykanin, świetnie przygotowany socjotechnicznie i merytorycznie, zgodził się z przedmówcą: „rozumiem pana, ten problem jest także u nas. My też w naszych firmach nie mamy do siebie zaufania”. Czyli brak zaufania to jest też kolejna podstawa konfliktów i ciągnięcia się ich latami. Niedawno byłem w takim sporze, w którym działacz związkowy, wobec argumentów pracodawcy, poprosił o przerwę i zadał mi pytanie, czy ja mogę mu zaufać po kolejnych, wcześniejszych doświadczeniach. Czyli obawiał się, że ten fundament zaufania mógł być nadwyreżony. My nie wierzymy w to, że osiągniemy coś takiego, że druga strona to zrobi i wykona, co obiecała, i że nie pojawi się jakiś nowy konflikt, który będzie wynikał ze złej woli drugiej strony.

Na zakończenie warto przytoczyć bardzo ciekawe stwierdzenie jednego z amerykańskich dużych przedsiębiorców, który powiedział: „negocjacje to jest bardzo trudny problem. Kiedy zaczynam negocjacje, to przede wszystkim odsuwam od nich prawników i księgowych. Jedni i drudzy bowiem nie rozumieją tego, że jeżeli prowadzimy negocjacje, to mówimy coś za coś”. To jest właśnie kompromis. Obyśmy potrafili rozwijać się w jego kierunku, bo nie mówię już o wymarzonym konsensusie. Opierając się na własnym doświadczeniu bycia w trudnych konfliktach, mogę stwierdzić, że u nas w Polsce jest całkowity brak zaufania do rozstrzygnięć i niechęć do zawierania kompromisu. Można tylko mieć nadzieję, że dopiero w długim procesie przekształceń kulturowych mamy szansę dojść do kultury osiągania kompromisu i porozumienia oraz tworzenia fundamentalnej tkanki społecznej darzącej się wzajemnym zaufaniem.

Włodzimierz Wieczorek

Bardzo dziękujemy panu profesorowi za tę syntezę wiedzy związanej z negocjowaniem – szukania wspólnego języka, szukania wspólnych wartości czy też ukazanie kwestii związanej z teatrem odgrywanych ról, postawą dobrej woli słuchania siebie nawzajem. Gdy słuchałem tych rozważań, nasunęły mi się dwie myśli. Pierwsza dotyczy tego, że punktem wyjścia dla zauważania drugiego człowieka jest własna wewnętrzna integracja, zdolność autorefleksji, słuchania siebie. Wcześniej pan doktor też wspominał o kwestii sumienia. Sądzę, że jeżeli osoba jest wewnętrznie zintegrowana, nie jest skłócona ze sobą wewnętrznie, to stanowi to ważny punkt wyjścia do budowania umiejętności słuchania drugiej osoby, do akceptowania jej mimo różnicy zdań.

Druga refleksja jest związana z wspomnianym teatrem. Na co dzień widzimy w mediach przedstawicieli życia społeczno-politycznego. Od kuchni wiadomo, że te osoby, które ostro reagują na siebie nawzajem w telewizji, prywatnie mogą się nawet lubić. Ci przedstawiciele różnych obozów, jak to się mówi językiem militarnym, odgrywający pewne role, są odbierani przez zwykłych ludzi często bardzo dosłownie, co popycha ich do angażowania się w bardzo rzeczywiste zwalczania osób z przeciwnego obozu. Potem dochodzi do ostrych sporów na gruncie rodzinnym, a nawet agresji. Można to zilustrować przykładem sytuacji dużego koncertu na stadionie. Tam sektory wokół dużych głośników są puste, bo siła ich dźwięku może uszkodzić bębenki w uszach. Natomiast w mediach tego nie ma. Teatr przedstawiany przez polityków czy radykalnych dziennikarzy szkodzi ludziom, gdyż często nie są przygotowani do przeżywania takich emocji. Mogą tylko wyłączyć telewizję lub radio.

Teraz chciałbym prosić o przedstawienie swoich doświadczeń pana Andrzeja Ciepiałę, który jest też praktykiem budowania konsorcjów, łączenia przedsiębiorców o różnych interesach wokół wspólnej idei. Jako przedsiębiorca ma pan też doświadczenie szukania dialogu z pracownikami.



Andrzej Ciepela

Andrzej Ciepela

Na wstępie chcę bardzo podziękować moim przedmówcom. Panu doktorowi dziękuję za znakomite podsumowanie rzeczywistości, która nas otacza, a panu profesorowi za instruktaż mediacji. Sam chcę państwu przedstawić historię, która w pewnym sensie się już dla mnie zakończyła, więc mogę popatrzeć na nią z pewnego dystansu. Na wstępie powiem o okolicznościach jej powstania, żeby

państwo mogli się wczuć w powstałą sytuację, a później rozwinę wątki, również te poruszane przez moich przedmówców.

Jest rok 2000. W Polsce powstaje bardzo dużo firm handlowych, które zajmują się stalą. Stal pochodzi z jednego źródła. Jest kilka hut w Polsce i za granicą, ale generalnie jest to cały czas ten sam dostawca. Nie ma czegoś takiego, że można mieć wyłączność na dostawcę z Japonii czy z Ameryki. Jest jedna huta w Krakowie, druga w Katowicach i to wszystko. I są przedsiębiorcy, którzy kupują tę samą stal. To bardzo pożyteczna funkcja społeczna. Wyobraźmy sobie, że gdyby huta miała dostarczać każdemu rolnikowi słupek na ogrodzenie, to byłoby to nierealne. Jest to rola wspomnianych przedsiębiorców. Zresztą cały świat jest tak zorganizowany i nie ma w tym nic dziwnego. Nowością w Polsce było to, że wcześniej ten biznes był w rękach dużych instytucji państwowych. Wraz z końcem systemu komunistycznego cały handel został uwolniony na rzecz wolnego rynku. Od tego momentu każdy może kupować tę samą stal w hucie, przerabiać ją, a później sprzedawać indywidualnym odbiorcom. Sytuacja staje się jednak dość dramatyczna. Przedsiębiorcy kupują w jednej hucie, a wyprodukowane produkty starają się sprzedać tym samym klientom. W tych okolicznościach

każdy z przedsiębiorców jest dla drugiego konkurentem i to często zażartym, bezpardonowym. Równocześnie w tym samym czasie na rynku działał bardzo mocny gracz państwowy. W efekcie tych działań prywatni przedsiębiorcy musieli się zebrać razem, żeby złożyć wniosek do Urzędu Ochrony Konkurencji. Trzeba było więc założyć organizację, gdyż nikt nie liczyłby się z wnioskiem indywidualnym. W takich właśnie okolicznościach zostałem zaproszony, by pokierować taką świeżo założoną organizacją. Godząc się na tę propozycję, miałem absolutnie czystą kartę. Nie znałem prezesów hut, nie miałem zielonego pojęcia o istniejących układach i to właśnie pozwoliło mi na uzyskanie zaufania tych ludzi. Sytuacja była wyjątkowo trudna. Stałem wobec grona bardzo różnych osobowości. Jeżeli mówimy o podziałach, to wydaje mi się, że to było prawdziwe laboratorium podziałów. Grupę bardziej podzielonych ludzi trudno byłoby znaleźć. Oni byli podzieleni pod każdym względem. Zaznaczały się bardzo silne podziały terytorialne, z czego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. Kiedy, na przykład, z kimś się nie zdołałem przywitać, natychmiast słyszałem: „z Warszawy to już się nie wita”. Ludzi dzieliły wzajemne animozje między Kielcami a Katowicami czy Krakowem. Bardzo silnie zaznaczały się podziały ze względu na wykształcenie. W gronie przedsiębiorców byli ludzie obcy, ale też i całkiem prości. Byli tacy, którzy mieli tytuły naukowe, studiowali za granicą, zajmowali się handlem zagranicznym i stworzyli już własne firmy, a też i tacy bez wykształcenia. Stałem przed zadaniem dogadania się z nimi, ze wszystkimi razem. Było to dla mnie wyzwaniem niesłychanie trudne, bo ci ludzie mówili różnymi językami i musiałem znaleźć taki, który dotarłby do wszystkich. Byłem jednak bardzo silnie zmotywowany, bo wiedziałem, że jeżeli ten projekt się uda, to wtedy będę w stanie zapewnić utrzymanie mojej rodzinie.

Organizacja zaczęła funkcjonować, został złożony wniosek do Urzędu Ochrony Konkurencji i wtedy spotkałem się z tym gronem podzielonych ludzi, aby ustalić, co dalej możemy wspólnie zrobić. Stałem przed wyzwaniem namówienia członków organizacji, aby desygnowali jakieś pieniądze, żebyśmy mogli utrzymać biuro i za-

czyć normalnie funkcjonować, żeby nie rozleciała się nasza nowo powstała organizacja. Poświęcałem na to bardzo dużo energii i serca, i wydaje mi się, że pozyskałem zaufanie członków. Staralem się być wobec nich w stu procentach uczciwy. Poznając ich bliżej, znalazłem u nich mnóstwo fantastycznych cech. To budowało nasze wzajemne relacje oparte na zaufaniu. Właśnie to wzajemne zaufanie stało się elementem budowania relacji i przełamywania wszystkich dotychczasowych barier.

Drugim wiążącym tę społeczność elementem było poczucie wspólnego zagrożenia. Nie była to żadna manipulacja z mojej strony, żeby ich nastraszyć. Ogólnie wiadomo, że w obliczu wspólnego zagrożenia ludzie się jednoczą. Był to rok 2000 i za chwilę mieliśmy wejść do Unii Europejskiej, i zagraniczne koncerny już ostrzyły zęby na Polskę. Wtedy wymyśliliśmy, że zaprzyjaźnimy się z naszym potencjalnym wrogiem, czyli z Niemcami i ich organizacją dystrybutorów stali. Pojechaliśmy do Niemiec, zobaczyliśmy, jak wygląda ich biznes. Oczywiście było ogromne zaskoczenie ze strony naszych polskich przedsiębiorców, gdy Niemcy okazali się otwarci i traktowali nas jako kolegów z branży, a nie konkurentów.

Nasza organizacja rosła w siłę. Gdy zaczęliśmy, byliśmy niewielką grupką kilku firm, a w okresie najwyższego wzrostu doszliśmy do setki firm, obejmując praktycznie cały rynek stali w Polsce. Ludzie dołączali do nas, bo wiedzieli, że można dużo zyskać, można się schronić pod naszym wspólnym parasolem przed ewentualnymi zagrożeniami. Odbiliśmy szereg podróży po świecie, zorganizowaliśmy wiele konferencji, których celem było zebranie i przekazanie przedsiębiorcom wiedzy, jak najlepiej prowadzić ich biznes. Dla wielu osób to było pierwsze otarcie się o wielki świat. Pamiętam, chyba lecieliśmy wtedy do Holandii, kilku panów ogromnie podekscytowanych wchodzących do samolotu. Okazało się potem, że był to pierwszy ich lot samolotem.

Otwarcie Unii Europejskiej dla naszego biznesu oznaczało przyjęcie nowych członków zagranicznych, którzy już wiedzieli, że wiele tutaj nie zwojują, bo rynek polski był już bardzo dobrze zorganizowany. I to był nasz wielki wspólny sukces. Organizacja cały czas

funkcjonuje. Niestety nie byłem już w stanie tego dalej ciągnąć, w związku z ogromem pracy, który wykonuję w zupełnie innych branżach, ale przekazałem to w dobre ręce. Spotkałem się ostatnio z kolegami na Europejskim Kongresie Gospodarczym w Katowicach. Wszyscy się mają świetnie i są dobrze zorganizowani. Moja obecna firma zajmuje się innymi sprawami. Celowo. Byłoby mi łatwiej, gdybym się zajmował stałą, ale to byłoby nieuczciwe wykorzystywanie tej wiedzy i kontaktów, które wtedy pozyskałem.

Łza się w oku kręci, kiedy widzę tych ludzi, którzy spotykają się razem, organizują spotkania i walne zgromadzenia i wykrzykują swoje pomysły. Pamiętam początki, gdy siedziałem przy stole, a przede mną stał wzburzony tłum, wściekły na cały świat, tłum, który chciał wykrzyzczyć wszystkie swoje frustracje. Takich sytuacji i takich emocji pamiętam bardzo wiele. To dopiero był teatr. Natomiast to, z czego jestem bardzo dumny, to fakt, że dzięki tym ludziom powstało mnóstwo pozytywnych dzieł. Część firm dotychczas konkurujących ze sobą postanowiła, że zakładają wspólną firmę po to, żeby robić wspólnie zakupy w hucie, bo wtedy mają lepszą pozycję negocjacyjną, zapominają o wszystkich swoich urazach, pretensjach i działają wspólnie. Już powstały dwie takie grupy firm. Zgoda naprawdę buduje i jest możliwa. Przyłożyłem trochę do tego rękę, ale myślę, że bez pomocy Ducha Świętego i niesamowitej wartości tych ludzi nie byłoby to możliwe. Powiem jeszcze, że poznałem oczywiście inne siostrzane organizacje. Przeciętna organizacja polega na tym, że jest prezes, który jest jakimś tam byłym zasłużonym prezesem dużej państwowej firmy. Ktoś doświadczony. Jest ktoś do prowadzenia biura i to w zasadzie jest całą organizacją. A u nas aż kipiało. Dwa razy w roku mieliśmy walne zgromadzenie członków i to było wielkie wydarzenie, bo ono było najwyższą władzą organizacji. Walne zgromadzenie mogło odwołać wszystkich łącznie ze mną. Ludzie mieli władzę i czuli swoją podmiotowość i zaangażowanie. To cały czas trwa i bardzo dzielnie walczą. Na przykład, była sprawa VAT. Były nadużycia związane ze sprzedażą stali bez VAT-u. Pojawiały się firmy, które wyludzały VAT od państwa. Na szczęście członkowie naszej organizacji się postawili i wpłynęli

na ministerstwo finansów, dzięki czemu zmieniono przepisy. Organizacja założona wiele lat temu cały czas trwa i działa. Jest to dobra historia z dobrym finałem.

Włodzimierz Wieczorek

Bardzo dziękujemy panu dyrektorowi za omówienie językiem konkretnego, w jaki sposób na podstawie zaufania i zdefiniowania wspólnych interesów można budować nie tylko porozumienie określonej grupy społecznej, ale też realizować interesy biznesowe. Myślę, że przez analogię możemy myśleć też o innych sytuacjach życiowych, takich, które nas bezpośrednio dotyczą, i z powodzeniem przełożyć przedstawione tu zasady na te sytuacje, które są częścią naszego codziennego życia.

Chciałbym teraz poprosić naszych panelistów o wypowiedzenia czy też komentarze w nawiązaniu do swoich wzajemnych wypowiedzi.

Michał Łuczewski

Wypowiedziane tutaj nasze głosy się uzupełniły. Widać między nami nie tylko kompromis, ale konsensus. Dopowiem parę słów o metaforze teatru. Teatr to nie jest fikcja, tak trzeba patrzeć na nasze życie, że to jest jeden wielki teatr, w którym role są rozdzielone i nie możemy być kimś innym.

Powiem też o moich własnych doświadczeniach teatralnych. W Centrum Myśli Jana Pawła II w okresie Wielkiego Postu robiliśmy festiwal Gorzkie Żale. Mieliśmy taką sytuację, że nasz chór z Centrum Myśli Jana Pawła II, który już trwa dziesięć lat, został zaproszony, do udziału w przedstawieniu „Znak Jonasza”. Ten spektakl opowiadał o tym, jak trzy Maryje czekają na zmartwychwstanie Jezusa i przez te trzy dni, które upływają od śmierci do zmartwychwstania, dzieją się dziwne rzeczy. Przede wszystkim trzeba pokazać, że wychodzą z nas demony. Przystajemy mówić, przestajemy panować nad sobą, panować nad swoją seksualnością, przestajemy być ludźmi. Między śmiercią a zmartwychwstaniem. To było bardzo mocny przekaz i nasz chór do tego zaproszono. Ale podczas prób

okazało się, że jest tam dużo nagości. W spektaklu występowały trzy aktorki, które obnażały się, pokazując, co się dzieje przy takim opuszczeniu. I nasz chór odmówił udziału w spektaklu. Musieliśmy krok po kroku odbudowywać zaufanie między nami, dyrekcją, ale też naszym chórem, żeby pokazać nasze dobre intencje, że to nie chodzi, jak to bywa w teatrze, nagość dla samej nagości, tylko pokazanie istoty tego opuszczenia, powrotu do pierwotnych ruchów, które nie składają się w żadną całość. Te negocjacje z naszym chórem toczyliśmy dwa dni przed premierą w sali Lutosławskiego, najbardziej prestiżowej sali, gdzie już wszyscy czekali, że festiwal się odbędzie, a nasz „Znak Jonasza” był najważniejszym wydarzeniem tego festiwalu. Rzecz się ostatecznie udała. Byłem świadkiem rozmów między aktorkami i naszym chórem, które mówiły, że chór bardzo im pomagał w momentach, kiedy musiały przekraczać same siebie, grając sceny opuszczenia. Chór był ubrany na biało i śpiewał pieśni, które im to umożliwiały. Na samym końcu spektaklu nastąpiło katharsis i do tej pory widzę przed sobą jednego z tych chłopaków z chóru, który mówi, że pięć razy płakał, śpiewając i patrząc, co się dzieje na scenie, a także te piękne aktorki, które mówiły, że dzięki tym chłopakom z chóru one mogły sobie przekraczać. To mnie prowadzi do Biblii, do samego jej początku „mężczyzną i niewiastą stworzył ich”.

Dla mnie sztuka negocjacji jest nie tylko w teatrze, który czasami jest prawdziwy, a czasami nie, ale to jest sztuka, którą uprawia się we własnym życiu. Mam czwórkę dzieci, które cały czas ze sobą walczą. Co możemy zrobić w tej sytuacji? Możemy zastosować przymoc i rozdzielić je do osobnych pokoi, żeby ze sobą nie miały interakcji, ale może to doprowadzić do jeszcze gorszego konfliktu. Albo możemy pracować nad tym, żeby one umiały wychodzić poza siebie, żeby zrozumiały perspektywę drugiej osoby. Dla mnie rodzina jest polem nieustannej walki, gdzie potrzebne jest przebaczenie i umiejętność wychodzenia w stronę drugiej osoby. Dzieci walczą dlatego, że dążą do tego samego. Do tej samej zabawki, do tego samego jabłka, do tej samej bajki. Dzieci są do siebie bardzo podobne. Jest to moim zdaniem ważny element w tym, co panowie mówili.

My ze sobą walczymy, bo jesteśmy tak do siebie podobni. To jest naturalne, że rywalizujemy o to samo. Nasi politycy też mówią to samo, a mówią tak samo i mają takie same interesy, bo są do siebie podobni. Ta konfrontacja, zamiast być przyczyną konfliktów, mogłaby być przyczyną budowania więzów między nami i zaufania.

Na koniec jeszcze parę słów o budowaniu zaufania. Są trzy elementy, które wydają mi się uniwersalne. Pierwszy to ten, że jesteśmy szczerzy wobec siebie, czyli nie udajemy, unikamy manipulacji. Druga strona wierzy, ufa, że jesteśmy szczerzy i mówimy w sposób szczerzy, czyli jesteśmy wierni samym sobie. Drugim elementem jest to, że mówimy prawdę, czyli jesteśmy wierni rzeczywistości. Nie próbujemy wymyślać, owijać w bawełnę, za nami stoją konkretne fakty. I trzecim elementem jest to, że bierzemy pod uwagę innego, że jesteśmy wierni naszemu rozmówcy. Wydaje mi się, że te trzy elementy wierności zawsze będą decydowały o tym, czy jest zaufanie między nami. Jeśli którykolwiek z wymienionych elementów jest zaburzony, zaufanie będzie znikać i my też wtedy nie będziemy tworzyli wspólnoty. Jest jeszcze czwarty element, który pojawiał się w mojej wypowiedzi – to jest element wierności swojemu sumieniu, wierności swojej moralności, który pozwala nam wykraczać poza siebie i zobaczyć to właśnie, że my jesteśmy bardzo podobni do tej osoby, z którą się kłócimy i w związku z tym może warto zrobić coś razem, zamiast ze sobą walczyć.

Kazimierz Kloc

Bardzo mnie zaciekało i zainspirowało to, co padło na początku wystąpienia pana doktora, a mianowicie analiza relacji społecznych w jednej polskiej wsi, gdzie konkluzją było stwierdzenie, że my Polacy ciągle ze sobą walczymy. Jak gdyby całą naszą historię można przedstawić jako proces nieustannej walki. I to mnie inspirowuje do zadania pytania, co takiego jest w nas i czym się w tym zakresie różnimy od innych tradycji i kultur. Jeżeli bada się i zajmuje problematyką negocjacji, rozmów, porozumień, na przykład w krajach skandynawskich, to kulturowo otrzymujemy inny obraz. Wkodowana w ich kulturę postępowania tradycja rozmów i

porozumiewania bardzo się różni się od naszej. My rzeczywiście na tym tle wydajemy się być społeczeństwem, które potrafi się integrować w chwilach wielkich, ale kiedy przechodzimy do codziennego, normalnego życia, to ta nasza integracja ma słabsze podstawy niż istniejące w innych, bliskich nam obszarach kultur europejskich. Co jest więc takiego specyficznego w nas i czym się różnimy od innych krajów kultury europejskiej? Moje spojrzenie jest spazczone przez to, o czym powiedziałem na początku. W mojej praktyce obserwuję sytuacje bardzo ostrego konfliktu. Oczywiście są to sytuacje ekstremalne na tle sytuacji typowych dla całego społeczeństwa. Uwzględniając jednak tę poprawkę, zastanawiam się, z jakich przesłanek naszej tradycji i kultury wynika, że jesteśmy tak właśnie reagującym społeczeństwem, że w chwilach wielkich jesteśmy solidarni, a w chwilach codzienności rozbici i skonfliktowani.

Jeszcze na tle doświadczenia praktycznego chciałbym wrócić do rozróżnienia konsensusu od kompromisu. Zilustruję to przykładem z rodziny. Wyobraźmy sobie matkę, która ma dwójkę dzieci i jedną pomarańczę do podziału. Każde z dzieci chce całą pomarańczę i wydaje się, że nic nie da się wynegocjować. Każdy się upiera, że chce mieć całą pomarańczę dla siebie. Co robi matka? Bierze nóż, dzieli pomarańczę i każdemu wręcza połówkę. To jest kompromis. Specjaliści od negocjacji proponują jednak, aby spytać każde z dzieci, dlaczego ono chce całą pomarańczę. I wtedy może się okazać, że jedno dziecko chce mieć tylko miąższ pomarańczy, a drugie tylko skórkę. Kiedy przeszliśmy od pozycji „chcę mieć całą pomarańczę”, do pytania „a dlaczego chcesz mieć całą pomarańczę?”, otrzymujemy odpowiedź, która pozwala na zaspokojenie interesów obydwójga dzieci i zawarcie konsensusu. Dlaczego w normalnych warunkach tak trudno nam zawrzeć kompromis, nie mówiąc już o konsensusie? Jest to pytanie do socjologów, czy jest coś specyficznego w nas, co warto byłoby zbadać, opisać i zdiagnozować, co pomogło by nam wyjść z tego zakłętego kręgu.

Włodzimierz Wieczorek

Dziękuję bardzo. Mówiąc o podziałach społecznych, trzeba umieć rozpoznać to, co jest podłożem podziałów. Niektóre z nich mogą mieć charakter zasadniczy, odnoszący się do wysokich wartości, a inne mogą mieć podłoże jedynie charakterologiczne. Przykładem fundamentalnego podziału społecznego opisanego językiem poezji jest ten fragment „Dziadów” Adama Mickiewicza i ta fraza Poety mówiąca o podziale społecznym między grupą społeczną symbolizowaną przez lawę gorącą, która jest w środku i tą grupą „salonu” społecznego, która jest symbolizowana skorupą – skorupą, która musi się odkleić od tej lawy, odpaść, zwietrzeć.

Piotr Wysocki w zakończeniu „Salonu warszawskiego” (Scena VII w III części „Dziadów”) wypowiada następujące słowa:

„Nasz naród jak lawa
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyiębi
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi...”

Nie wchodząc w szczegóły interpretacji, dość powiedzieć, że Poeta ukazuje głębokie pęknięcie społeczne, tak jak on je widział w swojej epoce, między salonem a prostym ludem. Trzeba się zastanawiać, czy tego rodzaju podział jest obecny współcześnie, choćby między grupami opisującymi się przymiotnikiem patriotyczny a tymi, którzy w opozycji definiują swoje wybory i postawy jako nowoczesne.

Jest też opisany inny rodzaj podziału, oparty raczej na naszym zbiorowym temperamencie, jeśli można o takim mówić. Ilustruje to film „Sami swoi” w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego, z niezapomnianymi rolami Wacława Kowalskiego jako Pawłaka i Władysława Hańczy jako Kargula. Film pokazuje codzienną rzeczywistość, w której sąsiedzki konflikt stanowi ośnowę akcji i w jakiejś artystycznej mierze filmowe lustro, w którym powojenny widz miał się przeglądać, dostrzegając swoje zalety i wady. Tam istota konfliktu nie opiera się na fundamentalnej różnicy wartości, ale wynika raczej ze spraw charakterologicznych. Jest w tej lekkiej

formie też i przekaz głębszy, który ilustruje prawdę, że działanie na szkodę drugiego wyrządza szkody działającemu. Jest tam taka scena, w której Kargul z Pawlakiem spotykają się obok ogrodzenia dzielącego ich podwórko. Ta propozycja „Chodź no tu do płota” doprowadziła do tego, że każdy z nich w emocjach sporu zaczął niszczyć rzeczy suszące się na płocie. Dopiero po dłuższej chwili tłuczenia garnków i rwania w strzępy wiszących tam ubrań okazało się, że każdy z nich niszczy rzeczy należące do swojej rodziny, sądząc, że niszczy dobytek upartego sąsiada.

Te dwa przykłady pokazują spór znaczący i błahy. Uczą odróżniać to, co jest istotne w sporach, od tego, co jest wytworem emocji, temperamentu. Pokazują jednak także potrzebę prowadzenia dialogu i budowania społecznego spoiwa pod podziałami. Bez tego wolność społeczeństwa będzie się albo degenerować, albo zostanie mu odebrana.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chcę opowiedzieć zabawne zdarzenie z czasów naszego dzieciństwa dotyczące zawierania konsensusu. Mieszkaliśmy wtedy we Wrocławiu, w dzielnicy uniwersyteckiej, bo mój ojciec był profesorem wydziału prawa. Naszym sąsiadem i przyjacielem moich rodziców był wybitny matematyk, profesor Hugo Steinhaus, specjalista od matematyki stosowanej. Bardzo go lubiliśmy. Kiedyś przed imieninami moimi lub mojego brata, już nie pamiętam czyimi, powiedział nam „ja wam pokażę, jak podzielić tort, żeby wszyscy byli zadowoleni”. To, czego nas nauczył, zastosowaliśmy w czasie naszego spotkania. Było wielu naszych kolegów, koleżanek i był duży tort. Pierwsza osoba z siedzących w kręgu wokół tortu dzieliła tort i pytała kolejną osobę, czy wszystkie kawałki są równe. Jeżeli ta zgadzała się, to pytanie przechodziło do następnej osoby. Tak było, aż któraś z osób sprzeciwiła się i wskazała na kawałek, który według niej był większy od pozostałych. Miała wtedy za za-

danie odciąć od niego kawałek i dołożyć do tego, który wydawał się jej mniejszy, z tym że ten kawałek, który uszczupliła, miał być jej. Wiedząc o tym, nikt zbytnio nie zmniejszał swojego przyszłego kawałku. Po obejściu całego kręgu osób tort wprawdzie był daleki od swojej pierwotnej urody, ale wszyscy byli zadowoleni z podziału, uważając, że ich kawałek był co najmniej taki jak inne lub nawet od nich większy.

Druga historia jest bardziej serio i pokazuje wiele elementów ważnych w porozumieniu społecznym. Przez ponad 30 lat współprowadziliśmy z moim mężem rekolekcje dla małżeństw w ramach ruchu Spotkań Małżeńskich, a następnie Małżeńskich Dróg. Są to rekolekcje pokazujące wartość dialogu w rodzinie. Żeby on mógł zaistnieć na rekolekcjach, a potem przenieść się na życie w rodzinie, trzeba było stworzyć atmosferę zaufania między uczestnikami a prowadzącymi. Prowadzące małżeństwa przez mówione świadectwa, często wstrząsające, poruszające do głębi wszystkich uczestników, budowali klimat zaufania, który udzielał się też uczestnikom. Przez to, że prowadzący mówili w absolutnej prawdzie o sobie, stwarzało atmosferę umożliwiającą otwarcie się na siebie małżonków uczestniczących w rekolekcjach. Mówili oni o tym na koniec rekolekcji.

Inna sprawa to jest nauka dialogu, w którym podstawową sprawą jest słuchanie. Słuchanie z zaangażowaniem, czyli takie, żeby zrozumieć drugiego człowieka. Efekty rekolekcji czasem przekraczają nasze wyobrażenie. Pary małżeńskie, które przyjeżdżają na rekolekcje skłócone lub ze złożonymi już papierami o rozwód, po rekolekcjach wracają do siebie i piszą o nowym szczęśliwym życiu. Podobnie są prowadzone rekolekcje dla narzeczonych. Zapotrzebowanie na nie jest ogromne. Czasem po ogłoszeniu w internecie już na drugi dzień wszystkie miejsca są zajęte.

Opierając się na naszych doświadczeniach z prowadzonych rekolekcji, pomyślałam sobie, czy nie warto byłoby stworzyć jakichś podmiotów edukacyjnych dla wszystkich osób, które myślą o pracy w zakresie polityki czy działań społecznych. Myślę też, że takie formacyjne warsztaty organizowane dla nowo wybieranych parlamen-

tarzystów lub samorządowców pozwoliłyby tym osobom rozumnie spojrzeć na kontakty z ludźmi inaczej myślącymi.

Magdalena Filaber

Jestem wdzięczna za przedstawienie tylu przykładów świadczących o tym, że można się dogadać, wystarczy spotkać się i rozmawiać. Właśnie dlatego, że wierzę w znaczenie dialogu i w pozytywną komunikację między ludźmi, jestem członkiem grupy o nazwie Lokalny Komitet Dialogu. Została ona stworzona w Wołominie w efekcie pewnego niezrozumienia. Obiecywano mieszkańcom stok narciarski, a stworzono wysypisko śmieci. Bo Warszawa nie chce mieć śmieci i smrodu, to teraz będą one w Wołominie. Kłopot jest kolosalny, bo wydano już na to ogromne pieniądze. Z jednej strony jest gmina i Miejski Zakład Oczyszczania, które chcą się rozwijać, a z drugiej mieszkańcy, którzy nie chcą tych śmieci i smrodu. Spotykamy się raz w tygodniu. Spotkania trwają po sześć i więcej go-



Magdalena Filaber

dzin. Na razie jesteśmy na etapie rozmowy o tym, co wiemy. Są takie krzyki na sali, że państwo sobie nawet nie wyobrażają. Mediator, który jest z nami, bezskutecznie prosi nas o spokojną dyskusję. Bardzo się boję, że my będziemy dyskutować, a w tym czasie wysypisko i tak powstanie. Konflikt już jest tak mocno ugruntowany, że bardzo ciężko będzie ludziom wyjść poza swoje pozycje. Każdy bardzo dokładnie wie, czego chce i to niestety jest tak jak z tą pomarańczą. My nie chcemy smrodu, a oni chcą mieć stanowiska pracy i MZO nie chce słuchać pomysłów na funkcjonowanie, mówi, że już pró-

bowali innych działań i one się nie powiodły. Wysypisko, ich zdaniem, jest jedynym słusznym rozwiązaniem. A takie okopanie się na stanowiskach właściwie uniemożliwia osiągnięcie porozumienia.

Kazimierz Kloc

Bardzo się cieszę, że ten przykład padł, bowiem najbardziej klasycznym konfliktem w społecznościach lokalnych jest spór związany z usytuowaniem uciążliwej inwestycji. Szczególnie symboliczne są śmieci. Nie wiem, czy państwo pamiętają, jakie były konflikty, gdy w jakiejś miejscowości chciał zbudować swój ośrodek Monar. Spalarnia śmieci i ośrodek Monaru zawsze wywołują w społecznościach lokalnych obawy w wielu wymiarach. Są to zarówno kwestie ekonomiczne, spadek wartości ziemi, mieszkań i domów, ale też kwestie warunków życia na tym terenie. Otóż specjaliści od negocjacji proponują wtedy „coś za coś”. Na przykład, budowa spalarni śmieci o odpowiednich warunkach technologicznych niepowodujących poważnego spadku wartości powietrza i funkcjonowania lokalnej społeczności. A z drugiej strony – co ta społeczność mogłaby za to otrzymać dodatkowo. Jest to więc klasyczne rozwiązanie „coś za coś”. Niestety, mediacje nie kończą się samymi sukcesami. Jeżeli miałbym robić rachunek sumienia, to z bólem serca stwierdzam, że rośnie ilość mediacji, które nie kończą się porozumieniem. To obserwuję w ciągu ostatnich dwudziestu paru lat. Wynika to z wielu różnych przyczyn. Z obawą patrzę na to, co jest odzwierciedleniem w różnych wymiarach naszego bieżącego problemu wojny polsko-polskiej. Niestety, narasta niechęć do porozumienia się w tych sytuacjach. Strony są już tak negatywnie do siebie nastawione, tak wyedukowane, tak starają się wykorzystać socjotechniki, że niestety ilość porozumień w takich procedurach spada.

Urszula Kossowska-Cezak

Przed wszystkim podzielę się uwagą, że czytając temat dzisiejszego naszego spotkania od razu odpowiedziałam sobie na postawione dwa pytania. Podziały społeczne, czy mam na nie wpływ? Z mojego osobistego stanowiska, jakie zajmuję w społeczeństwie,



Urszula Kossowska-Cezak (z mikrofonem)

muszę z żalem powiedzieć, że nie mam żadnego wpływu. Natomiast „czy działam na rzecz pojednania?”. Od razu pojawia mi się pytanie: jeżeli mamy się pojednać, to znaczy, że jesteśmy wrogami? A tymczasem, ku mojej wielkiej uldze, nie było tu mowy o pojednaniu, ale o porozumieniu. Uważam, że dyskusja była niezwykle pasjonująca. Zresztą już w tej chwili mogę powiedzieć, że to było dla mnie jedno z najciekawszych Konwersatoriów, na jakich byłam, jak i z tych wszystkich, które przechodzą przez moje ręce przy opracowaniu redakcyjnym.

Chciałabym podzielić się z państwem jednym spostrzeżeniem. Mimo że nie pełnię żadnych ważnych funkcji i jestem zwykłym szarym człowiekiem, to oczywiście mam do czynienia z różnymi osobami, z którymi rozmawiam, dyskutuję. W kontekście dzisiejszego spotkania pomyślałam sobie o moich kontaktach z różnymi osobami. Otóż zdarza się, że w rozmowie o potocznych, codziennych sprawach mamy różne poglądy czy stanowiska. I przekonałam się, że są osoby, z którymi jakiegokolwiek porozumienie jest z gruntu niemożliwe. Bez względu na to, jakiego tematu dotyczy rozmowa, one uważają, że mają rację, i na koniec rozmowy ich zdanie musi być wygłoszone na końcu. I tak się dzieje nawet wtedy, kiedy mówią

ewidentne głupstwa, nie mając pojęcia o sprawie, o której się wy-
powiadają.

Skąd się to bierze? Wydaje mi się, że przyczyną może być cho-
robliva, niepokonywalna pycha lub głębokie kompleksy. Takiemu
człowiekowi wydaje się, że gdyby odstąpił od swojego zdania i dał
do czegoś się przekonać, to by przegrał. Traktowałby to jako swoją
klęskę. Wydaje mi się, że gdyby ci ludzie zmienili sposób myślenia,
to nasze życie w społeczeństwie byłoby dużo łatwiejsze.

Monika Ciepela

Chciałabym powiedzieć o inicjatywie, która moim zdaniem prze-
ciwdziała konfliktom społecznym. Mianowicie młode pokolenie za-
przyjaźnione z facebookiem robi od kilku lat akcje w ramach grup
(kooperatyw), które w rzeczywistości są społecznymi grupami zaku-
powymi. Zachęciła mnie do zapisania się do takiej grupy na Ursy-
nowie moja córka i od dwóch lat jestem w ten projekt zaangażowana.
Nasza kooperatywa obejmuje lokalną społeczność południa War-
szawy. Oprócz młodych zaangażowane są też mamy i babcie. Jest to
więc społeczność wielopokoleniowa. Ta społeczność zaczęła pączko-
wać w procesie współdziałania na różnych płaszczyznach.

Pierwszym, zasadniczym tematem były wspólne zakupy u pro-
ducenta żywności, czyli lokalnego rolnika, lub producenta prze-
twarzającego żywność. Często dostawca wybierany był z polecenia,
ważne było, że mogliśmy zaufać i nie niepokoić się, że żywność,
którą kupujemy, będzie na przykład zanieczyszczona chemią itp.
Drugi temat to fantastyczny projekt, czyli RWS – rolnictwo wspie-
rane przez społeczność. Pomysł dotarł do Polski z zachodniej Eu-
ropy i USA, gdzie tego typu projekty znane są od dawna. Społeczność miejska kontraktuje u rolnika, na przykład, warzywa,
płacąc z góry i biorąc współodpowiedzialność zarówno za urodzaj,
jak i za jego brak. Naszym rolnikiem jest młody chłopak (absolwent
socjologii), który przejął gospodarstwo po rodzicach i przystosował
je do produkcji warzyw. Namówił rodziców do ponownego włą-
czenia się w pracę w gospodarstwie, unowocześnił je, budując na-
mioty foliowe i doprowadzając wodę. Obecnie obsługuje 3



Monika Ciepela

kooperatywy w Warszawie i sprzedaje całą swoją produkcję. Członkowie kooperatywy kontraktują warzywa przed sezonem i płacą z góry za całą produkcję, którą rolnik wytworzy i co tydzień od maja do października dostają świeże warzywa w ustalonej ilości. Produkcja rolna odbywa się bez użycia szkodliwej chemii, co powoduje, że atak szkodników staje się wielkim problemem. Ostatnio, na przykład, żarłoczny robak zaatakował korzenie sałaty, ale na szczęście ktoś z kooperatywy słusznie zauważył, że ten robak znacznie bardziej lubi ziemniaki. Przy sałacie zostały więc wsadzone w ziemię ziemniaki, robak przeszedł do ziemniaków, sałata została uratowana i nie musieliśmy używać żadnej chemii.

Niezależnie od dwóch głównych tematów w ramach kooperatywy dzieje się także wiele innych. Powstają coraz to nowe grupy wymieniające się doświadczeniami z różnych dziedzin, a gdy ktoś ma kłopoty, to zwraca się o pomoc i reakcje społeczne tych wszystkich młodych ludzi są naprawdę budujące. W tych powstających

społecznościach nikt nie jest sam. Wsparcie jest na bardzo różnych poziomach. Każdy należący do tej społeczności ma obowiązek przynajmniej raz w miesiącu wykonać pracę na rzecz kooperatywy. Może wydać towar, przygotować towar do wydania, może pojechać do rolnika lub zebrać pieniądze. Jest tabela aktywności i ktoś, kto nie jest aktywny, jest wykreślany z grupy. Uczy to społecznych zachowań – nie tylko dostajemy, ale też musimy sami dawać. Myślę, że tego typu inicjatywy są nadzieją na to, że młodsze pokolenie naucone tego społecznego współdziałania i współżycia będzie znacznie mniej skonfliktowane.

Andrzej Ciepiela

Jeszcze ostatnie słowo na podsumowanie. Wydaje mi się, że zadaniem osób, które są świadome, że chcą dobra, jest stwarzanie warunków dla funkcjonowania mechanizmów konkretnego współdziałania. Unia Europejska, której nam zazdroszczą na świecie, powstała w wyniku mechanizmu wspólnego działania w obrębie Wspólnoty Węgla i Stali. Powstawanie społeczności lokalnej, o której mówiła moja żona, oparte jest też na mechanizmie współdziałania. Mechanizm współdziałania buduje pozytywne relacje między nami na wielu płaszczyznach.

Włodzimierz Wieczorek

Bardzo dziękuję. Niech ta wypowiedź będzie puentą naszego spotkania. Resztę dopisze życie. Dzisiejsze Konwersatorium jest ostatnie w bieżącym roku akademickim. Teksty i zdjęcia z wszystkich Konwersatoriów tego roku znajdują się w 11. tomie książki „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”. Tymczasem są do nabycia wszystkie poprzednie tomy „Odpowiedzi...”, jak i różne inne książki, wydawane przez Wydawnictwo Szkoły Wyższej Przy mierza Rodzin w Warszawie. Można je zakupić w sekretariacie Uczelni lub zamówić przez internet.

Jeszcze raz bardzo dziękuję wszystkim panelistom i słuchaczom za poświęcony czas, podzielenie się własną wiedzą, doświadczeniem i refleksją. Na kolejne Konwersatorium zapraszam w październiku.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

„Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”

Spis treści

Tom pierwszy, 2005/2006

- I **Czy angażować się w politykę** – ks. Adam Zelga, Jacek Cichocki
- II **Jak pogodzić rolę ojca, matki z karierą zawodową?** – ks. Adam Zelga, Anna i Łucjan Sokołowski
- III **Czym dla współczesnego człowieka jest modlitwa?** – ks. Adam Zelga, Magda i Wojtek Wicher, Jacek Grabowski, Maks Pudłowski, Ania Pogłód
- IV **Wolontariat – służba potrzebującemu** – ks. Adam Zelga, Janina Fabisiak, Iwona Iwińska, Małgorzata Wielopolska
- V **Czym we współczesnym świecie jest jałmużna?** – ks. Adam Zelga, s. Małgorzata Chmielewska, Janina Ochojska, ks. Mieczysław Jaworski
- VI **Czym jest dla mnie post i wyrzeczenie?** – ks. Adam Zelga, ks. Krzysztof Sielski
- VII **Sport w przesłaniu Ojca świętego** – ks. Adam Zelga, Robert Korzeniowski
- VIII **Odpowiedzialność – jak ją rozumiem?** – ks. Adam Zelga, Sławomir Ratajski, Ryszard Szaniawski, Jacek Waksmundzki

Tom drugi, 2006/2007

- IX **Prosta droga w chaosie dzisiejszego świata** – Adam Pietrzak, ks. Józef Maj, Robert Tekieli, Marcin Jędrzejczak
- X **Czy małżeństwo katolickie jest przeżytkiem?** – ks. Adam Zelga, Anna i Krzysztof Łoskotowie, Agnieszka i Sławomir Jaworscy

- XI **Czy rodzina może obronić ład społeczny?** – ks. Adam Zelga, Jolanta i Tadeusz Epszteinowie, Maria i Jerzy Berlińscy, Krystyna i Grzegorz Styczkowie
- XII **Jakie wartości wynieśliśmy z domu rodzinnego?** – ks. Adam Zelga, Paweł P. Piotrowicz, Aleksander Ciepiela, Jerzy Górski, Zofia Epsztein, Filip Osmański, Łukasz Pilch
- XIII **Prawda i kłamstwo w naszym życiu** – ks. Adam Zelga, Ewa i Maciej Bednarkiewiczowie, Tomasz Terlikowski, Marian Wiśniewski
- XIV **Co dziś dla nas znaczy „dzień święty święcić?”** – ks. Adam Zelga, Irena i Maxymilian Byliccy, Agnieszka i Jan, Maria Jackowscy, Andrzej Ciepiela
- XV **W czym wyraża się współczesny patriotyzm?** – ks. Adam Zelga, Anna Radziwiłł, Izabela Dzieduszycka, Tomasz Borecki, Maciej Dąbski
- XVI **Nasz stosunek do innych ludzi: życzliwy, obojętny, czy wrogi?** – ks. Adam Zelga, Krzysztof Dowgiałło, Grzegorz Nurkiewicz, Jacek Waks-mundzki

Tom trzeci, 2007/2008

- XVII **Czy byliśmy kochani w dzieciństwie i jak to wpływa na nasze dorosłe życie?** – ks. Piotr Hartkiewicz, Krystyna Dylak, Sabina Zalewska
- XVIII **Nagroda czy kara są ważniejsze w wychowaniu?** – ks. Adam Zelga, Róża Piwoni-Cieślińska
- XIX **Czy puste nakrycie przy wigilijnym stole jest dla nas wyłącznie symbolem?** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Anna Grocholska, Maria Górka-Zabielska
- XX **Jaki według ciebie powinien być proboszcz w twojej parafii?** – ks. Adam Zelga, ks. Tadeusz Aleksandrowicz, Teresa Kapela, Anna i Łucjan Sokołowski, Krzysztof Olęcki

- XXI **Co dla nas znaczy przykazanie „nie kradnij”?** – ks. Adam Zelga, ks. Piotr Hartkiewicz, Maria Rotkiel
- XXII **Czy potrafimy przyjmować dary z wdzięcznością?** – ks. Piotr Hartkiewicz, Grzegorz Gruca
- XXIII **Jakie znaczenie ma dla mnie cisza?** – ks. Adam Zelga, s. Stella Drużdżel, Wojciech Brański, Krystyna Dolebska, Jerzy Rakowicz, Andrzej Lipsk
- XXIV **Jaką wartość ma dla mnie dane słowo?** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Piotr Bejnarowicz, Jacek Krawczyk, Franciszek Podlacha, Jacek Waksmundzki

Tom czwarty, 2008/2009

- XXV **Czy jestem świadomym członkiem społeczeństwa obywatelskiego?** – ks. Adam Zelga, Dorota i Jacek Cichoccy, Rafał Miastowski, Krzysztof Zanussi
- XXVI **Czy starość Panu Bogu się udała?** – ks. Adam Zelga, Wiesław Chrzanowski, Krystyna Długosz-Kuczabowa, Izabela Dzeduszycka
- XXVII **Czy oferta handlowa zabija w nas ducha świętowania (mieć czy być)?** – ks. Adam Zelga, Aleksandra Siewko, Krzysztof Tyszowiecki, Mikołaj Wróblewski, Marek Łuszczyna
- XXVIII **Czy potrafię w pełni zaufać Bogu i ludziom?** – ks. Adam Zelga, ks. Tomasz Bieliński, Maria Berlińska
- XXIX **Czy to co robię uważam za swoją misję?** – ks. Adam Zelga, Robert Kościuszko, Grzegorz Polak, ks. Tomasz Szyszka
- XXX **Jak wpływa na mnie posiadanie władzy i/lub sławy?** – ks. Adam Zelga, Marek Kamiński, Rafał Muchacki, Przemysław Babiarczyk, Dariusz Kowalski
- XXXI **Czym mnie wzbogaca sport i turystyka?** – ks. Adam Zelga, Jerzy Engel, Ewa Twarowska, Jarosław Prugar, Tomasz Leżajski, Krzysztof Wojtkowski

- XXXII **Moja droga do Pana Boga** – ks. Adam Zelga, Monika i Krzysztof Oczkowski, Zenon Kosicki, Małgorzata Bালিকা, Jarosław Babiński

Tom piąty, 2009/2010

- XXXIII **Czy potrafię dostrzec ludzi słabszych od siebie (starych, chorych, dzieci...)?** – ks. Adam Zelga, Paweł Wdówik, Krystyna Mrugałska, Rafał Strent, Jarosław Kalinowski
- XXXIV **Co dla mnie znaczy Boży nakaz: Czyńcie sobie Ziemię poddaną?** – ks. Adam Zelga, Andrzej Zalewski, Tomasz Borecki, Joanna Angiel, Iwona Waksmundzka
- XXXV **Kto jest dla mnie autorytetem i dlaczego?** – ks. Zdzisław Wojciechowski, Franciszek Kampka, Małgorzata i Jacek Grabowscy, Maciej Dąbski, Anna Ciepiela.
- XXXVI **Co dla nas znaczy fragment Modlitwy Pańskiej: Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom?** – ks. Adam Zelga, Rafał Wieczyński, Sebastian Domagała, ks. Włodzimierz Kwieciński, Tadeusz Pieńkowski
- XXXVII **Czy wiara w Boga ma wpływ na moje codzienne życie?** – ks. Adam Zelga, Jakub Papierski, Monika Nagórko, Leszek Marks
- XXXVIII **Czym jest dla mnie i jaka powinna być praca zawodowa, społeczna, domowa itp.?** – ks. Adam Zelga, Maria i Witold Płotczykowie, Tomasz Berent, Andrzej Ciepiela
- XXXIX **Czy jestem szczęśliwa/y i czy potrafię dzielić się moim szczęściem z innymi?** – ks. Adam Zelga, Zofia Zielińska, Ewa Błaszczak, Paweł Szczęsny
- XL **Czy liczę się z drugim człowiekiem, czyli miłość bliźniego w praktyce?** – ks. Adam Zelga, Zdzisław Bielecki, Alojzy Witeska, o. Benedykt Malewski, s. Kazimiera Fleran

Tom szósty, 2010/2011

- XLI **Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną – co to znaczy w moim życiu?** – ks. Adam Zelga, ks. Eugeniusz Guździół, Radosław Pazura, Dorota Kaczmarowska
 XLII **Jakie są dla mnie granice kompromisu?** – ks. Adam Zelga, Andrzej Mastalerz, Andrzej Filipiak, Jerzy Kijowski, Krzysztof Haman
 XLIII **Co dla mnie znaczy przykazanie >Nie cudzołóż< ?** – ks. Adam Zelga, Sylwester Laskowski, Magda Korzekwa
 XLIV **Czy potrafię śmiać się... również z siebie?** – ks. Piotr Hartkiewicz, ks. Bogusław Kowalski, Katarzyna Łaniewska
 XLV **Jakim powinien być człowiek, którego nazywam swoim przyjacielem i jakim ja sam jako jego przyjaciel?** – ks. Adam Zelga, ks. Marek Dziewiecki, Maria i Mateusz Środoń, Paweł Zajac
 XLVI **Czy przeżyte cierpienie ubogaciło mnie wewnątrznie?** – ks. Adam Zelga, Magdalena i Piotr Konczewscy, Krzysztof Ziemięc
 XLVII **Czy doceniam otrzymane błogosławieństwo i czy nie skąpię go innym?** – ks. Adam Zelga, o. Wojciech Jędrzejewski OP, Jan i Dorota Szubscy, Zenon Kosicki
 XLVIII **Czy Dekalog stosuję w życiu w całości, czy wybiórczo?** – ks. Adam Zelga, Adam Pietrzak, Irena i Jerzy Grzybowski

Tom siódmy, 2011/2012

- XLIX **Czy Jan Paweł II miał wpływ na moją twórczość?** – ks. Adam Zelga, Małgorzata Ajnenkel, Andrzej Horubała, Jerzy Derkacz, Krzysztof Osman
 L **Wyznawane wartości i ich realizacja w moim codziennym życiu** – ks. Adam Zelga, Justyna Cyran-Wak-

smundzka, Maria Łubowicz, Jarosław Świdorski, Paweł Wilski, Michał Grodzki

- LI **Jakie są moje możliwości zwyciężania zła dobrem?** – ks. Adam Zelga, s. Małgorzata Chmielewska, Elżbieta Strzałkowska, Elżbieta Wydra
- LII **Czy potrafię kształtować w sobie charakter, silną wolę i świadczyć o tym innym?** – Andrzej Dowgiałło, Jan Wilczak, Aleksander Ciepela
- LIII **Czy i jak strapionych pocieszam?** – ks. Adam Zelga, ks. dr Jan Sikorski, Adam Pietrzak, Maciej Syka
- LIV **Wierność w małżeństwie – jak ją rozumiem?** – ks. Piotr Hartkiewicz; Karol i Katarzyna Wyszyńscy, Dominika Figurska i Michał Chorosiński, Anna i Krzysztof Łoskotowie
- LV **Czy słucham głosu sumienia?** – ks. Włodzimierz Kwieciński, Zofia i Sławomir Ratajscy, Alicja i Peter Węgorzewscy-Whiskerd
- LVI **Czego szukam i do czego dążę w życiu?** – Teresa i Marek Stankiewiczowie, Anna i Maciej Srebro, Konrad Falkowski

Tom ósmy, 2012/2013

- LVII **Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie** – ks. Adam Zelga, Maria Płotczyk, Wojciech Puzyna, Andrzej Skoczek
- LVIII **Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni** – ks. dr Henryk Małecki, Adam Pietrzak, Joanna Krupska, Kazimierz Szałata,
- LIX **Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię** – ks. Adam Zelga, Karolina Pietruk, brat Kazimierz Dmitrzak, Alojzy Witeska, Małgorzata Jabłońska, ojciec diakon Wojciech Mojecki

- LX **Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni** – ks. Adam Zelga, Izabela Szwarocka, Jerzy Wratny, Zdzisław Bielecki
- LXI **Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią** – ks. Adam Zelga, brat Mirosław Kruk, Joanna Trzcionka, siostra Małgorzata Ochęduszek, Anna Niepiekło
- LXII **Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą** – ks. Adam Zelga, Jadwiga Puzynina, s. Kazimiera Fleran, Paweł Zuchniewicz
- LXIII **Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazywani synami Bożymi** – ks. Adam Zelga, Andrzej Szpor, ks. dr Paweł Wojtas, Maja Komorowska, Anna Słomka
- LXIV **Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie** – ks. Adam Zelga, Emmanuel Hakizimana, Halina Bortnowska, Krzysztof Dowgiałło, siostra Rafaela (Urszula Nałęcz)

Tom dziewiąty, 2013/2014

(w roku bł. Edmunda Bojanowskiego tematy spotkań zostały poświęcone jego przesłaniu)

- LXV **Czy praca u podstaw ma dziś znaczenie w kształtowaniu tożsamości narodowej?** – ks. Adam Zelga, Kazimierz Adamaszek, Anna i Piotr Goławscy.
- LXVI **Czy potrafię rozmawiać z trudną młodzieżą, lub z młodzieżą w tzw. trudnym wieku?** – ks. Adam Zelga, s. Jolanta Głapka, ks. Wacław Pokrzywnicki, Alicja i Krystyn Nawroccy.
- LXVII **Czy jestem zaangażowanym członkiem Kościoła Katolickiego i jak to realizuję mimo trudności?** – ks. Adam Zelga, Waldemar Bieniak, Tatiana Cariuk, Magda Korzekwa, Aleksander Ciepiela.

- LXVIII **Czy rozumiem i doceniam wartość Mszy świętej i jakie widzę możliwości w doksztalcaniu się w tym zakresie?** – ks. Jarosław Piłat, Maria Pieńkowska, Zbigniew Witecki, Alicja Dyrda, Sebastian Tull, Mirosława Misiejuk, Joanna Żywot.
- LXIX **Jakie widzę możliwości wykorzystania wartości religijnych jako sposobu kształtowania sumień?** – Agnieszka Jackowska, Joanna Jackowska, Maciej Srebro, Andrzej Srebro, Anna Słomka, Bogna Słomka, Katarzyna Gromelska.
- LXX **Czego oczekuję od oświaty w zakresie kształtowania godności człowieka?** – ks. Adam Zelga, Maria Łubowicz, S. Katarzyna Szulc, Alicja Siemak-Tylikowska, Ewa Jurewicz, ks. Michał Jabłoński, Dariusz Wasik.
- LXXI **Czy doceniam wartość męskiej przyjaźni w wychowaniu chłopców i jak ją realizuję?** – ks. Adam Zelga, Maciej Górski, Ojciec Tomasz Rojek OP; Adrian Anczarski, Szymon Fulara.
- LXXII **Czy doświadczyliśmy cudów we własnym życiu?** – ks. Adam Zelga, Maria Preisner, Stanisława Augustyn; Krzysztof Żurowski, S. M. Loyola Opieła, S. Jolanta Glapka,

Tom dziesiąty, 2014/2015

- LXXIII **Czy widzę władzę jako służbę?** – Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, Maciej Trybulec, Elżbieta Piórkowska, Jerzy Szyszko, Wojciech Zabłocki, Paweł Zalewski.
- LXXIV **Moje powołanie – jak je rozumiem i realizuję?** – ks. Adam Zelga, s. Leonarda Brzozowska, Ewa Cygańska, Ewa Ślizień-Kuczapska, Lech Królikowski.
- LXXV **Czy tradycyjne zwyczaje dnia Wigilijnego, Bożego Narodzenia i Święta Trzech Króli są dla mnie ważne i**

- dlaczego?** – Elżbieta Mycielska-Dowgiało, Magdalena i Mateusz Dembińscy, Małgorzata i Jan Żaryn, Joanna Puchalska.
- LXXXVI **Czy sumienie w zawodzie uważam za zbędny balast czy czynnik rozwoju?** – ks. Adam Zelga, Bogdan Chazan, Michał Otrębski, Witold Kołodziejski.
- LXXXVII **Jak rozumiem odpowiedzialne rodzicielstwo?** – ks. Tadeusz Bożelko, Marta i Andrzej Witeccy, Joanna i Mariusz Dzieciątko, Barbara i Grzegorz Cieślik, Maria i Lech Łubowicz.
- LXXXVIII **Jakie są moje uzależnienia i jak z nimi walczę?** – ks. Tadeusz Bożelko, Artur Groszek, Jacek Racięcki.
- LXXXIX **Czy opieka nad chorym człowiekiem jest wzajemnym obdarowywaniem?** – ks. Adam Zelga, s. Teresa Toczydłowska, Barbara Kowalska.
- LXXX. **Czy biorę odpowiedzialność za Kościół i jak ją realizuję?** – ks. Adam Boniecki, Jacek Waksmundzki, Joanna Święcicka, Marek Cichucki, Grzegorz Polak.

Tom jedenasty, 2015/2016

- LXXXI **Jak być w mediach świadkiem wiary?** – ks. Adam Zelga, Przemysław Babiarz, ks. Henryk Drozd, Paweł Lisicki, Tan Turnau.
- LXXXII **Wrażliwość na potrzeby bliźnich. Jak realizuję miłosierdzie w swoim życiu?** – Grzegorz Polak, Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, Zbigniew Kaliszuk, o. Hubert Matusiewicz, Renata Trzeszczak, Elżbieta Byrtek.
- LXXXIII **Kim jest dla mnie uchodźca, bliźnim czy zagrożeniem?** – ks. Adam Zelga, o. Mariusz Batuzi, o. Zygmunt Kwiatkowski, Shadi i Lady Kassis, Zeinab Hashmat-Makowska.
- LXXXIV **Fair play w moim życiu. Czy uczciwość popłaca?** – ks.

Adam Zelga, Dorota i Jacek Cichoccy, Jerzy Engel, Małgorzata Ludwikowska, Grzegorz Polak.

LXXXV **Jak rozumiem feminizm?** – ks. Adam Zelga, Aneta Gawkowska, Elżbieta Mycielska-Dowgiałło, Zofia Ratajska, Biruta Przewłocka-Pachnik.

LXXXVI **Polsko, co zrobiłaś ze swoim chrztem? Jak to widzę?** – Grzegorz Polak, Iwona Waksmundzka, Krzysztof Zanussi, Marek Barański, Tadeusz Wyszomirski.

LXXXVII **Czym jest dla mnie praca społeczna i jak ją realizuję?** – ks. Adam Zelga, ks. Kardynał Kazimierz Nycz, Jacek Waksmundzki, Maria Środoń, Marta Bejnar-Bejnarrowicz, Adam Wiśniewski, Szymon Fulara, Ignacy Dembiński.

LXXXVIII **Podziały społeczne – czy mam na nie wpływ? Czy działam na rzecz pojednania?** – Włodzimierz Wieczorek, Kazimierz Kloc, Michał Łuczewski, Andrzej Ciepela.

Wydawnictwo
 Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
 ul. Marii Grzegorzewskiej 10
 02-778 Warszawa
www.swpr.edu.pl
lpilch@swpr.pl
 (48) 22 644-07-97

Wydawnictwo SWPR wydaje zarówno książki, jak i wydawnictwa ciągłe i seryjne. Pełen spis wydanych pozycji znajduje się na stronie internetowej. Książki można zamawiać drogą internetową.

Poniżej znajdują się tylko wybrane pozycje.

Z zakresu pamiętników i wspomnień:

- *Kucem na Ursynów* – Izabela Dzieduszycka (2011)
- *Spotkani na drodze* – Leszek Starkel (2011)
- *Chwile czasu minionego* – Andrzej Mycielski (2012 – wydanie trzecie, rozszerzone)
- *Ci, o których powinniśmy pamiętać. Fascynujące życiorysy Polaków rozsianych po świecie*, tom I, II i III – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło (2010, 2011, 2012)
- *50 lat Wspólnoty Parafialnej Opatrzności Bożej na Rakowcu w Warszawie, 1962-2012* – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło (2012)
- *Chleb stał się granicą* – Leon Kowalski (2013)
- *Ballada marcowa* – Jan Białek, Jan Cichy, Klaudia Dawidko, Michał Dudek (2013)
- *Polscy pianiści* – Jan Sierpiński (2014)
- *Od Uralu po Brazylię i nie tylko...* – Alina M. Lenczewska (2014)
- *Kocham twą urodę złą, najdroższe miasto na świecie. Wspomnienia z getta łódzkiego* – Salomea Kape (2014)
- *Na drogach czasu i przestrzeni. Saga rodziny kresowej XIX-XXI wiek, wspomnienia nauczycielki* – Barbara Majewska-Luft i Maria Borsuk-Majewska (2014)

- *Wojenne dzieciństwo. Losy mojej rodziny (maj 1939 – marzec 1945)*.
– Elżbieta Wichrzycka-Lancaster (2014)
- *Rozmowa z Umarłymi* – Jean Clair. Tłumaczenie Maria Żurawska (2015)
- *A jednak przeżyłem... Losy pilota dywizjonu 305 Stefana Zygnerskiego* –
Krystyna Kenig (2016)

Z zakresu podręczników i monografii:

- *Podstawy meteorologii i klimatologii* – Urszula Kossowska-Cezak (2007)
- *Badania cech tekstualnych osadów czwartorzędowych i wybrane metody oznaczania ich wieku* – pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło (2007)
- *Chemia dla przyrodników* (wyd. II) – Hanna Rembertowicz (2010)
- *Człowiek i paideia. Realistyczne podstawy filozofii wychowania* (wyd. II)
– Mikołaj Krasnodębski (2009)

Z zakresu wiedzy historycznej:

- *Opactwo Czerwińskie w średniowieczu* – Marek Stawski (2007)
- *Kościół i Państwo w dziejach, źródłach i studiach nad przeszłością* – pod
red. Marka Stawskiego (2008)
- *Duchowieństwo i laicy* – pod red. Andrzeja Wałkowskiego (2010)
- *Kościół i społeczeństwo* – pod red. Janusza Grabowskiego (2013)
- *Ksiądz Bolesław Stefański, żołnierz bezdomny* – Jacek Żurek (2014)

Z zakresu publicystyki społecznej i pedagogicznej:

- *Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata* – pod red. Elżbiety
Mycielskiej-Dowgiałło, tom I – X (2006 – 2015)
- *Nowy Nauczyciel – Nowa Edukacja* – pod red. Magdy Lejzerowicz, Te-
resy Stankiewicz, Mikołaja Krasnodębskiego (2014)
- *Mysł pedagogiczna neoscholastyki i neotomizmu* – pod red. Andrzeja
Murzyna i Mikołaja Krasnodębskiego (2014)
- *Gender – spojrzenie z różnych perspektyw* – pod red. Włodzimierza Wie-
czorka (2015)

Z zakresu poezji:

- *Kiedy będę do Ciebie szedł* – Marek Antoni Wasilewski (2010)
- *Na geograficznych ścieżkach życia (eseje geograficzne)* – Joanna Angiel
(2012)
- *Rozmowy z Panem* – Bona (2012)
- *Odrobina Pana Boga* – Bona (2013)

- *Stabat Mater. W cieniu krzyża* – Bona (2014)
- *Tchnienie Ewangelii* – Bona (Bożena Fabiani) (2014)
- *Blżej Boga* – Bona (2015)
- *Geograficzne wędrówki myślowe* – Joanna Angiel (2015)

Z zakresu wydawnictw ciągłych recenzowanych:

- Zeszyty Naukowe SWPR trzech serii: geograficzno-turystycznej, pedagogicznej i humanistycznej. (Zeszyty naukowe serii geograficzno-turystycznej i pedagogicznej są na liście czasopism punktowanych).